

Joe Biden
Uparty i do bólu lojalny**Książdz Olszewski**
na mękach**Robert Walenciak**
Pomieszanie z poplątaniem**Ludowa historia**
Górnego Śląska**70% niezadowolonych z wyglądu**

WIELKIE POPRAWIANIE URODY



ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



♦ TEATR CAPITOL ♦

NAJLEPSZE KOMEDIE ♦ PIKANTNE FARSY ♦ GWIAZDORSKIE OBSADY



ŁÓŻKO PEŁNE CUDZO- ZIEMCÓW

AUTOR
DAVE FREEMAN

REŻYSERIA
JERZY BOŃCZAK

PRZEKŁAD
ELŻBIETA
WOŹNIAK

♦ KUP BILET ♦ www.teatrcapitol.pl ♦

Wakacyjne terminy spektaklu:
12 i 13 lipca oraz 4, 9, 10, 28 i 30 sierpnia

CAPITALNE LATO!

GRAMY CAŁE WAKACJE

- klimatyzowane sale •
- orzeźwiające koktajle •
- niezapomniane wrażenia •

UWAGA, SPRAWDŹ NASZĄ RESTAURACJĘ!



Patroni Medialni

RMF
MAXX

onet

W RZECZPOSPOLITĄ

TV

Kobiety

ams

Familie.pl

P

Partnerzy Teatru

Gazeta

O bag

kicket

AKTYWNA
WARSZAWA

STREFA
MUSIC

umzo

and



Zatrzymać gigantów

Krzyk rozpacz. Albo, jeśli ktoś woli, jęk z okolic dna, na którym znalazły się w Polsce małe i średnie media. Choć i te największe, jeśli nie są własnością kapitału zagranicznego, cienko przędą. W szybkim tempie zaczynają dominować wielkie koncerny technologiczne. Patent na gigantyczne dochody mają bardzo prosty. Biorą z tradycyjnych mediów śmietankę, czyli treści wypracowane przez dziennikarzy, przerabiają je i jako swoje przekazują użytkownikom Google'a czy YouTube'a (Alphabet) albo Facebooka lub Instagrama (Meta). Mają moc i gigantyczne zasięgi, więc są bardzo atrakcyjne dla reklamodawców. I właśnie reklamy są tym czystym i ogromnym zyskiem.

Napisałem, że to czysty zysk, co jest prawdą, ale tylko księgową. Bo gdy ocenić sposoby dochodzenia do tych pieniędzy, to z regułami uczciwego biznesu rynkowego nie mają za wiele wspólnego. Giganci silni potęgą pieniędzy, wpływami politycznymi, najnowocześniejszymi technologiami i algorytmami, za którymi nikt poza nimi nie potrafi nadążyć, są dziś potężniejsi od rządów zdecydowanej większości państw na świecie. A może i od tych największych. Za ich interesami chodzą tabuny lobbystów. Interwenują premierzy. Ileż razy ambasador USA w Polsce pilnował, żeby zawsze było tak, jak chcą giganci! A chcą dalej brać od tradycyjnych mediów wszystko i nic im nie płacić. Stąd apel wydawców, redakcji i dziennikarzy, który my także drukujemy. Adresatem tego apelu są politycy. A konkretnie parlament i rząd, które potraktowały nas z aroganckim

lekceważeniem. Jak papierową chusteczkę jednorazowego użytku. Żywiąc przekonanie, że famy gazet oraz studia telewizyjne i radiowe ciągle będą przed nimi otwarte.

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Sejm były w pełni poinformowane o sytuacji i o skali problemu. Mało tego, znając ich skromne kompetencje, środowisko dziennikarskie przygotowało bardzo konkretne i niewygórowane propozycje rozwiązań poprawiających nasze położenie. Niestety, te argumenty nie dotarły do posłów i urzędników. Zobaczymy, co z naszymi postulatami zrobi Senat. Jeśli i tam, podobnie jak w Sejmie, będzie mur i kompletnie niezrozumiała obojętność na interesy polskich mediów, trzeba będzie zrobić coś więcej niż apel. Może pora na dzień bez polityków w gazetach, programach telewizyjnych i radiowych? A może tydzień? Byłby czas na poważniejszą refleksję i zaproszenia dla ludzi nauki i kultury. Wielu czytelników, widzów i słuchaczy z pewnością by temu przyklasnęło.

Działanie w interesie bezwzględnych i kierujących się wyłącznie zyskiem światowych gigantów, czyli w konsekwencji udział w eliminowaniu z polskiego rynku kolejnych mediów, jest bezgraniczną głupotą. Nie ma na to innych słów.

Chcących wspomóc PRZEGLĄD proszę o wpłaty na konto:

Fundacja Oratio Recta

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

BAKOWSKI



PRZEGLĄD także dla NIEWIDOMYCH i SŁABOWIDZĄCYCH

Zachęcamy osoby z takim orzeczeniem niepełnosprawności do zarejestrowania się w internetowym kiosku **Stowarzyszenia „De Facto”** i czytania **bezpłatnie** naszego tygodnika.

Bardzo prosimy o poinformowanie bliskich lub sąsiadów o możliwości czytania **PRZEGLĄDU** w tej formie.

Zgłoszenia
na www.ekiosk.defacto.org.pl



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Układ zamknięty**
Kto chciał upadku Leszka Czarneckiego
- 14 Obiecanki cacanki**
A za prąd słono zapłacimy
- 16 Książd Olszewski na mękach**
Prawica ma nowego herosa

OPINIE

- 10 Robert Walenciak**
Pomieszenie z popłataniem
- 34 Hanna Dobrowolska**
Sąd nie jest twierdzą (cd.)
- 36 Janusz M. Kowalski**
Marnowany potencjał

OBSERWACJE

- 20 Taka teraz polska uroda**
Moda na operacje plastyczne
- 54 Biebrza wymaga poświęcenia**
Rzeka rzek. Gdzie ma źródło?

ZAGRANICA

- 24 Biden albo nikt?**
Zbyt uparty, za lojalny, za stary
- 27 Izrael jest demokracją.**
Słabą, etniczną, ale demokracją
– rozmowa z Samym Smoohą
- 30 Gdziekolwiek jesteś, tam jest twój dom**
Uchodźcy w Niemczech

EURO 2024

- 38 Cieszynki i smuteczki**
Meczu naszego codziennego żal

HISTORIA

- 40 W cieniu konfliktu**
Śląsk w latach 20. i 30.
- 60 100 lat temu w Paryżu**
Letnie igrzyska 1924 na fotografiach

KULTURA

- 46 Taki przebiegły to ja nie jestem**
– rozmowa z Wojciechem Farugą
- 50 Strażnik Płaskowyżu Śmierci**
Albania w książkach Ismaila Kadarego
- 52 Culturalia**
- 66 Magia spotkania**
Rzeźby Łukasza Krupskiego

ZDROWIE

- 58 23 łyżeczki cukru**
Otyłość chorobą całej rodziny

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Zatrzymać gigantów
- 19 Jan Widacki**
Co ma polityka do historii?
- 45 Andrzej Romanowski**
Umysły zniewolone
- 49 Roman Kurkiewicz**
Powieść prawdę ci powie
- 53 Tomasz Jastrun**
Złe wiadomości
- 57 Wojciech Kuczek**
Do lasu (odc. 2)
Mieszczuszek wjejski



30 ZAGRANICA

**GDZIEKOLWIEK JESTEŚ,
TAM JEST TWÓJ DOM**
Uchodźcy w Niemczech

38 EURO 2024



CIESZYNKI I SMUTECZKI

Meczu naszego codziennego żal



100 LAT TEMU W PARYŻU

Letnie igrzyska 1924 na fotografiach

60 HISTORIA

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. SHUTTERSTOCK (8)

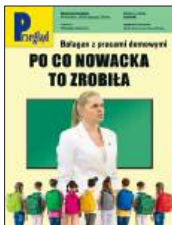
epresa.pl 29f4649f98



Deweloper wciśnie ci wszystko

Patrę na nowe osiedla, na niewielkie odległości pomiędzy budynkami – zero prywatności, balkon w balkon, ale co tam, sprzeda się na pniu. To jest patodeweloperka. Na szczęście mieszkam na starym osiedlu, gdzie przewidziano miejsce dla małych dzieci i nastolatków grających w piłkę. Jest dużo zieleni, ale osiedle było budowane w latach 80. Najbardziej oburza mnie fakt, że buduje się gdzie popadnie, nie patrząc na architekturę otoczenia. Poza tym kiedyś pokój z otwartą kuchnią będzie przekleństwem, bo niewielka powierzchnia pomieszczenia zwanego salonem szybko się brudzi. Nie pomoże nawet dobry pochłaniacz. Ceny takich mieszkań są nie do przyjęcia. Kogo na nie stać? Polityka pomocowa państwa się nie sprawdziła, dlatego pora na budowę mieszkań na wynajem. Młodzi ludzie szybciej się usamodzielnią, bo wielu nie stać na kredyt. Podzielam opinię autora artykułu co do fatalnej sytuacji mieszkaniowej.

Danuta Drelich-Pacanowska



Po co Nowacka to zrobiła

Zmiany w systemie edukacji dokonywane w ciągu ostatnich lat w imię „podniesienia jakości” to pozorna (polityczna) troska o dobro uczniów. Świadectwa ukończenia wydawane są praktycznie wszystkim chętnym (system musi mieć co najmniej 75-procentową sprawność, czytaj zdawalność) i dla wielu mają wartość pamiątki „straconych lat”. Wśród tych ze świadectwem są przygotowani do pracy lub dalszej nauki i nieprzygotowani/przegrani. Główną przyczyną tego stanu są „warunki realizacji kształcenia” w danej szkole. By uzyskać określone „umiejętności

i kompetencje”, uczeń musi wykonać pracę w szkole i w domu (prace domowe). Zakres tej pracy powinien wynikać z podstaw programowych, żeby wszyscy na jednakowym poziomie realizowali ich treści i ducha, co zapewni absolwentom w miarę jednakowy status niezależnie od szkoły. Samodzielność szkoły to sobiepaństwo, realizacja własnych celów, ukryte pod nazwą „autorskich programów nauczania”.

Zbigniew Milewski



Tylko pokój nas uratuje

Artykuł prof. Kołodki – znakomity. Dodam, że historia ludzkości to czasy pokoju i wojen. Jest coś takiego w naturze człowieka, że zdobywanie siłą było, jest i będzie. Pamiętam okres przed II wojną światową i oczywiście czasy wojny. Starzy już nie żyją, a młodzi dają się wciągać w tryby tej potwornej maszyny.

Leszek Kłoch

Rozsypał się lewicowy elektorat

Mogę głosować na Lewicę (na PO, tak jak na PiS czy PSL – w żadnym wypadku), ale wtedy, gdy będziemy wybierać do władz przedstawicieli wyborców, a nie przedstawicieli panów Czarastego czy Biedronia. Chciałbym wybierać ludzi, którzy będą nas reprezentować, a nie cwaniaczków, którzy, aby wyludzić nasze głosy, obiecują wszystko. Szkoda, że w Polsce nie ma tradycji, by spisane obietnice wyborcze były podstawą do pozwu sądowego, gdy obiecujący nie realizują tego, co obiecali, a korzystają z pożytków, które im osobiście przynosi mandat wyborczy.

Józef Brzozowski



ZDJĘCIE TYGODNIA



Zmiana na Downing Street 10. Nowy premier Wielkiej Brytanii, laburzysta Keir Starmer, na spotkaniu z Karolem III. Pałac Buckingham, 5 lipca 2024 r.

Xi Jinping, prezydent Chin, przypomniał prezydentowi Dudzie, że w tym roku obchodzimy 75-lecie relacji dyplomatycznych i że Polska jest jednym z pierwszych krajów, które uznały nowe Chiny. Ciekawe. Duda mówi przecież, że wtedy Polska była w niewoli.

Kulisy rządów pisowszczyków w Orleniu to historia wielkiego skoku na państwową kasę. I łupienia firmy na najbardziej wyszukane zachcianki. **W ciągu pięciu lat zarząd spółki przeznaczył 14 mln zł na koszty reprezentacji.** Tylko w 2023 r. Daniel Obajtek wydał ze służbowej karty prawie 1 mln zł. Kasa szła na protetykę zębową i botoks, kilkadziesiąt tysięcy na kubańskie cygara i zakupy w londyńskim Harrodsie.

Od stycznia 2023 r. do stycznia 2024 r. z **WOT odeszło 11 102 żołnierzy.** Co tam się dzieje?

Zmarł Andrzej Mularczyk, wybitny pisarz, reportażysta i scenarzysta m.in. filmów „Sami swoi”, „Dom”, „Nie ma mocnych”, „Niespotykane spokojny człowiek”, „Powidoki”. Zapamiętamy jego „Kargul, podejdź no tu do płota, jako i ja podchodzę”.

Zmarł Waldemar Kuchanny, redaktor naczelny tygodnika „Nie”. Funkcję objął po śmierci Jerzego Urbana i mimo ciężkiej choroby prowadził redakcję w bardzo trudnych warunkach, w jakich znalazła się prasa drukowana. Zespołowi „Nie” współczujemy z powodu tej czarnej serii.

Przedstawienie „Les Émigrants” w reżyserii Krystiana Lupy wystawione po konflikcie w Genewie w paryskim teatrze Odéon **dostało nagrodę francuskiej krytyki** dla najlepszego spektaklu w sezonie 2023/2024.

Grzegorz Łoszewski, znany scenarzysta, **został nowym prezesem Stowarzyszenia Filmowców Polskich.** Wygrał czterema głosami z wieloletnim prezesem SFP Jackiem Bromskim (355 do 351).

Kernel, największe gospodarstwo rolne na Ukrainie, ma oficjalnie 360 tys. ha (nieoficjalnie ponad 500 tys. ha). Spółka akcyjna Kernel jest zarejestrowana w Luksemburgu i w 2023 r. miała przychód na poziomie 3,5 mld dol. (ok 14 mld zł) i zysk netto na poziomie 300 mln dol. (ok 1,2 mld zł). Wojna nie wpłynęła ani na dochody Kernela, ani na skuteczność lobbingu, który uprawia on w interesie udziałowców, a są nimi: norweski bank Norges, holenderski NN Investment oraz Vanguard Group (zarządzający 7,2 bln dol.).

Siedmiu wykładowców Uniwersytetu Artystycznego im. Magdaleny Abakanowicz w Poznaniu zostało oskarżonych o molestowanie, utrzymywanie intymnych stosunków ze studentami, upijanie i narkotyzowanie. Wśród oskarżonych są: znany plakacista, autor prac o rasizmie i homofobii oraz autor antyrasistowskiego muralu w Poznaniu. Sprawą zajęła się Fundacja Czas Kobiet.

PRZEBŁYSKI

Sprawa Garmondu

Apel do Tomasza Chróstnego i Sebastiana Mikosza

Czy Jerzy Szmid, prezes kolportującego prasę Garmondu, wygra z regułami państwa prawa? Czy Garmond, mający wieloletnią umowę i monopol na sprzedaż prasy w placówkach Poczty Polskiej, może w tych lokalach uprawiać propagandę polityczną i sekować tytuły, które nie są w grupie mediów dojrzałej zmiany? Przez osiem lat rządów PiS Garmond zasypywał Poczta Polską tytułami powiązanyymi z partią Kaczyńskiego. I dalej to robi. Im dalej od Warszawy, tym bezczelniej. Czytelnicy „Przeglądu” pytają prezesa Sebastiana Mikosza, czy Garmond nie łamie umowy zawartej z Poczta Polską, bo jako kolporter nie może dyskryminować tytułów, które krytykowały PiS. Czy to, co robi Garmond w lokalach PP, to już sprawa do prokuratury? A prezesa Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów Tomasza Chróstnego powrotnie pytamy: czy to, co robi Garmond, nie podlega interwencji UOKiK?

Nasi czytelnicy to często ludzie starsi i kupno „Przeglądu” na pocztę to dla nich najlepsze rozwiązanie. Nie odpuścimy walki o ich prawa.



Izabeli Pek „Noce z Dudą”

„Lubię Pani szalony styl bycia, taki WOW! Zupełnie inny od mojego ;-))) . Ukłony!”. Tak pisał 5 kwietnia 2017 r. prezydent Duda do Izabeli Pek, eksmodelki.

A teraz? Skandalistka, znana głównie z pikantnego romansu ze Stanisławem Piętą, ultrakatolickim posłem PiS i bogobojnym ojcem rodziny, opowiada w tygodniku „Angora” o kulisach tego, co się działo w środowisku PiS. Gdy młodziutka Izabela pytała Dudę o opinię na temat Pięty, to 18 maja 2017 r. dostała taką wiadomość: „Staszek Pięta jest OK. Trochę radykał, ale dobry człowiek. Kręgosłup ideologiczno-polityczny jak u dinozaura. Skamieniały kompletnie. Facet z zasadami i kulturalny”. Wiemy więc, jakie zasady promuje Duda. Złagany erotoman, który uwiódł młodą dziewczynę, obiecując jej pracę, to dla Dudy dobry człowiek. A co jeszcze o prezydencie pisze Pek w książce „Noce z Dudą”? „Nie wiedzieć czemu uparł się udawać stukniętego proboszcza” i „po angielsku duka tak, że dzieci w Bangladeszu się z tego śmieją”.

Nawrocki na walizkach

Wywiady, sesje zdjęciowe i podróże – codzienne życie celebryty. Ale nie tylko ludzi znanych z niczego. Podobnie żyje sobie Karol Nawrocki, prezes IPN. Twardy zawodnik, eksbokser. Od trzech lat nie rozstaje się ze skakanką, bo uprawia tzw. trening 300 Spartan. Przerzucający dzień w dzień po kilka ton ciężarów Nawrocki jest betonowym filarem PiS. I to dosłownie. Trenuje wszędzie. Nawet w Meksyku i Nowym Jorku. Jako człowiek z misją głosił „prawdę” o polskiej historii w 110 miejscowościach, które odwiedził ze skakanką. W tygodniku „Sieci” w cyklu pokazującym ludzi z walizką Nawrocki zwierzył się, że niezbędny dystans do życia daje mu lektura Księgi Koheleta ze Starego Testamentu. Pochwalamy czytanie Biblii. I liczymy, że może kiedyś Nawrocki dojdzie do miejsca, w którym mowa o tym, żeby nie kłamać. I szanować bliźniego jak siebie samego.





PYTANIE TYGODNIA

Jak III RP radzi sobie z wypoczynkiem dzieci?

EWA KŁANIECKA,

*działaczka Związku Alternatywy
w Miejskim Ośrodku Pomocy Rodzinie
w Piotrkowie Trybunalskim*

Współczesna Polska wciąż jest krajem, w którym ogólny poziom życia wzrasta, ale utrzymuje się wysoki poziom ubóstwa, w tym najmłodszych. Co gorsza, w 2023 r. doszło do znacznego wzrostu bezwzględnej biedy, co dotyczy też dzieci. Poniżej minimum egzystencji żyło aż 7,6% najmłodszych, czyli o 1,9 pkt więcej niż rok wcześniej. To dzieci, które nie tylko nie odpoczywały, ale nawet miały ograniczony dostęp do podstawowych dóbr i usług. Z corocznych badań CBOS wynika, że w ostatnich latach co trzecie dziecko nie wyjeżdżało na wakacje i nie miało choćby tygodnia wypoczynku poza miejscem zamieszkania. Najwyższy czas, by rządzący podjęli systemowe działania na rzecz poprawy dobrostanu dzieci i młodzieży.

DR MARTA MAJORCZYK,

pedagożka, Uniwersytet SWPS

Oferta wakacyjna dla dzieci jest dziś bardzo rozbudowana. Inną kwestią jest, czy wszystkich rodziców stać na dwutygodniowy wypoczynek. Do tych, którzy nie mogą sobie na to pozwolić lub uważają, że ich dziecko nie jest gotowe na samodzielny wyjazd, skierowane są półkolonie organizowane często przez dom kultury, bibliotekę, klub sportowy czy prywatne firmy zajmujące się rekreacją bądź turystyką. Taka forma spędzania czasu wolnego przez dziecko może być pełnopłatna lub częściowo współfinansowana przez gminę, urząd miasta. Duża oferta cieszy, jednak z perspektywy finansowej może być trudna dla rodziców. Czasy bezpłatnych atrakcji, jakie były przed inflacją, skończyły się. Najbardziej poszkodowane są dzieci z terenów wiejskich, gdzie nie ma odpowiedniej infrastruktury. Tam

nadal trudno o atrakcje nawet współfinansowane przez gminę.

HM. MARTYNA KOWACKA,
naczelniczka ZHP

Letni wypoczynek młodych osób to coraz częściej obozy Związku Harcerstwa Polskiego. W 2023 r. wzięło w nich udział 62 703 harcerzy i harcererek. Tendencja wzrostowa sprawia, że w tym roku spodziewamy się jeszcze większej liczby uczestników. Obozy ZHP mają różnorodne formy, od wyjazdów do lasu po międzynarodowe podróże i samodzielnie planowane obozy wędrownie. Ważnym elementem jest zdobywanie sprawności, które przekładają się na praktyczne umiejętności przydatne w życiu codziennym. Obozy to nie tylko wypoczynek, ale przede wszystkim okazja do nauki, rozwijania pasji i zacieśniania przyjaźni. To czas spędzony z dala od ekranów, blisko natury i w duchu braterstwa.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

Andrzej Sikorski

Dopiero po czterech latach od przesłania przez prokuraturę do sądu aktu oskarżenia rozpoczął się proces byłego szefa Komisji Nadzoru Finansowego Marka Chrzanowskiego, który żądał łapówki od Leszka Czarneckiego w zamian „za ochronę” jego banku.

Sprawa jest dla PiS niewygodna, dlatego Sąd Rejonowy dla Warszawy-Śródmieścia, którego prezeską jest nominatka Zbigniewa Ziobry sędzia Aleksandra Smyk (wcześniej prezesami byli Joanna Przanowska-Tomaszek i rzecznik nielegalnej KRS Maciej Mitera), wyznaczył termin pierwszej rozprawy na listopad 2023 r., czyli już po wyborach parlamentarnych. Co niepokojące, proces został utajniony, a dziennikarze dostali jedynie dostęp do aktu oskarżenia. Opinia publiczna nie dowie się więc, co zawierają akta sprawy, m.in. jaki był plan śledztwa prokuratury, jakie czynności zostały wykonane, a jakie nie, co zeznali świadkowie w trakcie śledztwa i jakie zeznania złożył podczas procesu.

Zadziwiające jest, że Chrzanowski, który żądał łapówki, oskarżony został z art. 231 par. 2 Kodeksu karnego. Dopowiada on do par. 1, stanowiącego, iż „funkcjonariusz publiczny, który, przekraczając swoje uprawnienia lub nie dopełniając obowiązków, działa na szkodę interesu publicznego lub prywatnego, podlega karze pozbawienia wolności od lat 3”, że jeśli robił to „w celu osiągnięcia korzyści majątkowej lub osobistej, podlega karze pozbawienia wolności od roku do lat 10”. Czyli prokuratura założyła, że szef KNF działał sam, choć taka wersja zdarzeń jest mało prawdopodobna.

Afera wybuchła jesienią 2018 r., gdy „Gazeta Wyborcza” ujawniła nagranie, na którym Marek Chrzanowski podczas spotkania w siedzibie KNF złożył propozycję korupcyjną jednemu z najbogatszych Polaków, Leszkowi Czarneckiemu, właścicielowi Getin Noble Banku i Idea Banku. Chrzanowski chciał, by Czarnecki zatrudnił w swoim banku podstawionego człowieka, radcę prawnego Grzegorza Kowalczyka, który nie miał wprawdzie doświadczenia zawodowego koniecznego do nadzorowania

restrukturyzacji banku, ale był znajomym żony szefa KNF. Chciał również, aby Kowalczyk otrzymywał wysokie wynagrodzenie prowizyjne, ok. 40 mln zł. W zamian za to będący w kłopotach finansowych Getin Noble Bank miał zostać uratowany.

Chrzanowski nie tylko obiecywał za łapówkę ocalić bank Czarneckiego. Twierdził, że Zdzisław Sokal, przedstawiciel prezydenta Andrzeja Dudy w KNF i jednocześnie prezes Bankowego Funduszu Gwarancyjnego, ma plan doprowadzenia do upadłości banku, a potem przejąć go za symboliczną złotówkę. „Między nami, to Zdzisław (Sokal) ma swój plan, który wygląda w ten sposób, że on uważa, że Getin powinien upaść, za złotówkę zostać przejęty przez jeden z tych dużych banków i on chciałby dokapitalizować to kwotą 2 mld zł. Czyli już ten bank, który to przejmie. I to jest jego wizja rozwiązania sprawy. I nas (czyli resztę składu KNF) atakuje za każdą decyzję, którą podejmujemy, pozytywną w stosunku do banku (Getinu), u prezydenta, u premiera...”, mówił przewodniczący KNF, proponując Czarneckiemu pomoc w usunięciu Sokala z komisji.

Leszek Czarnecki oburzył się, że takie przejęcie banku „jest sprzeczne z prawem”. „Jeżeli celem jest przejęcie tego banku za złotówkę i przekazanie go czy też znacjonalizowanie, to nazywam rzecz po imieniu, to jest po prostu kradzież (...), i to kradzież, powiedzmy, systemowa”, dodał. Przewodniczący KNF odparł

Układ zamknięty

Czego prokuratura nie wyjaśniła w aferze korupcyjnej przewodniczącego Komisji Nadzoru Finansowego



Marek Chrzanowski, były już szef Komisji Nadzoru Finansowego, podczas briefingu prasowego w 2018 r.

szczerze: „Jest sprzeczne z prawem, ale rozmawiamy przy pełnej dyskrecji, tak?”. Jednak Zdzisław Sokal nie był aż tak zuchwały, by nielegalnie przejąć bank, więc posłowie PiS – za pomocą tzw. wrzutki do procedowanego rządowego projektu ustawy o zmianie niektórych ustaw w związku ze wzmocnieniem nadzoru oraz ochrony inwestorów na rynku finansowym – wprowadzili przepisy, które pozwalały zrealizować już zgodnie z prawem „plan Zdzisława”. Czyli błyskawiczne przejęcie jednego banku przez drugi przy akceptacji KNF. Za zmianą przepisów miał stać Marek Chrzanowski, który domagał się od postów szybkiego tempa prac legislacyjnych.

Słuchając nagranej potajemnie przez Czarneckiego rozmowy, można odnieść wrażenie, że Chrzanowski przedstawiał się jako reprezentant grupy w ówczesnych władzach państwa, która może pomóc bankierowi w jego kłopotach i problemach z resortem finansów oraz Bankowym

Funduszem Gwarancyjnym. Wielokrotnie pada nazwisko prezesa NBP Adama Glapińskiego. Chrzanowski powołuje się na niego jako swojego przyjaciela i protektora i mówi o dwóch obozach: jeden to Ministerstwo Finansów, a drugi to „obóz skupiony wokół NBP”. Ze słów Chrzanowskiego wynikało, że Glapiński jest głównym rozgrywającym w państwowych finansach i to jemu posadę zawdzięcza także Zdzisław Sokal. „Sokal przyszedł do mnie i prezesa Glapińskiego i poprosił o pomoc, że nie ma z czego żyć, a był tutaj człowiekiem Skrzypka (Sławomira Skrzypka, związanego z PiS prezesa NBP, który zginął w katastrofie smoleńskiej – przyp. A.S.). I prezes Glapiński polecił go prezydentowi. Prezydent nie był do końca zadowolony”, opowiadał Chrzanowski Czarneckiemu. Zaraz po spotkaniu szefa KNF z bankierem nastąpiło drugie – Chrzanowski zaprowadził Czarneckiego do Adama Glapińskiego, który miał powiedzieć, że cieszy się, iż „panowie się dogadali”, i że „sprawę pana Sokala rozwiążemy we własnym zakresie, albowiem jest to nasz wewnętrzpartyjny problem”.

Wszystko wskazuje na to, że Chrzanowski był tylko pośrednikiem i nie działał z własnej inicjatywy. Tropy prowadziły zaś do Glapińskiego, jednego z bardziej zaufanych ludzi Jarosława Kaczyńskiego. Prokuratura nie zainteresowała się tym wątkiem, a prezes NBP został w śledztwie przesłuchany jako świadek. Polskie służby, które dysponowały oprogramowaniem Pegasus, mogłyby wyjaśnić ewentualną rolę Glapińskiego. Według moich informacji nie wykorzystano cyberbrodni, której z wielkim zaangażowaniem używano przeciwko tym, których ówczesna władza uważała za swoich wrogów. Czyżby obawiano się, że wypłyną kompromitujące informacje dotyczące wpływowych polityków PiS i najważniejszych osób w państwie?

Leszek Czarnecki korupcyjnej propozycji nie przyjął. Zemsta obozu władzy była sroga. Stracił większość majątku, a jego banki zostały przejęte przez nadzór finansowy. Aby dobić Czarneckiego, na polecenie Zbigniewa Ziobry prokuratura zrobiła go głównym odpowiedzialnym w aferze spółki windykacyjnej GetBack,

która miała ściśle związki z PiS m.in. poprzez reklamowanie się w propisowskich mediach i sponsorowanie imprez, podczas których nagrody dostawali Jarosław Kaczyński i Mateusz Morawiecki. Prokuratura kilkakrotnie występowała z wnioskiem o areszt dla Czarneckiego, ale sądy zawsze odmawiały. W obawie o bezpieczeństwo bankier przebywa za granicą. „Oskarżając mnie, władza chce załatwić dwie sprawy: zemścić się za ujawnienie korupcji w KNF i wskazać winnego afery GetBacku”, mówił w rozmowie z „Newsweekiem”.

Śledztwo w sprawie korupcyjnej propozycji Chrzanowskiego było prowadzone w sposób budzący wątpliwości. Zostało wszczęte tydzień po tym, jak mec. Roman Giertych, który reprezentował Leszka Czarneckiego, złożył zawiadomienie w Prokuraturze Krajowej o popełnieniu przestępstwa przez

Kamiński, wiceprezes PiS. Jego syn Kacper dzięki Adamowi Glapińskiemu dostał intratną posadę w Banku Światowym w Waszyngtonie jako przedstawiciel NBP (prasa donosiła, że mógł zarabiać nawet 600 tys. zł rocznie). Dyrektorem Departamentu Edukacji i Wydawnictw w NBP jest była żona Kamińskiego Anna Kaspryszak, a jej zastępczynią żona Marka Chrzanowskiego. Choć to Czarnecki był poszkodowanym, bo od niego żądano łapówki w zamian za uratowanie banku, został odcięty od śledztwa i nie otrzymał statusu pokrzywdzonego. Brak takiego statusu oznaczał, że bankier ani jego pełnomocnik Roman Giertych nie mieli wpływu na postępowanie. Nie mogli np. brać udziału w przesłuchaniach i zadawać podczas nich pytań, nie mieli też dostępu do akt. Gdy rozpoczął się proces, prawnikom Czarneckiego odmówiono statusu oskarżycieli posiłkowych.

Marek Chrzanowski podczas spotkania w siedzibie KNF złożył propozycję korupcyjną jednemu z najbogatszych Polaków, Leszkowi Czarneckiemu.

Chrzanowskiego. Do przeszukania siedziby KNF przez agentów CBA doszło dopiero 14 listopada 2018 r., 24 godziny od oficjalnego wszczęcia śledztwa i ujawnienia przez „Gazetę Wyborczą” afery, którą żyła już cała Polska. W tym czasie Chrzanowski spokojnie zdążył wrócić z Singapuru, pojechać do kancelarii premiera, by złożyć rezygnację, następnie do KNF, gdzie spędził ponad trzy godziny. Po co tam pojechał, co robił, z kim się kontaktował – tego nie ustalono. A Chrzanowski, będąc w swoim gabinecie, mógł np. zniszczyć lub ukryć niewygodne dokumenty czy nośniki pamięci. Zaskakująca opieszałość prokuratury i CBA, które słynie z tego, że zatrzymań i przeszukań dokonuje o godz. 6 rano, wskazuje, że ktoś „na górze” dał na to przyzwolenie. Dopiero 27 listopada 2018 r. Chrzanowski został zatrzymany przez CBA i trafił na dwa miesiące do aresztu.

Dlaczego służby działały w tak mało profesjonalny sposób? Być może dlatego, że na ich czele stał Mariusz

O tym, że sprawa propozycji korupcyjnej Chrzanowskiego była dla ówczesnego obozu władzy bardzo niewygodna, świadczy mejl ujawniony przez stronę Poulfna Rozmowa, publikującą wiadomości, które wyciekły z prywatnej skrzynki byłego szefa kancelarii premiera Michała Dworczyka. Otóż Piotr Agatowski, nieformalny doradca Mateusza Morawieckiego, napisał do premiera mejl, w którym proponował, jaką strategię należy obrać w obliczu afery. I chodziło nie o to, żeby potępić Chrzanowskiego, ale by odwrócić kota ogonem i winę zwalić na Czarneckiego. „Być może warto zastanowić się jeszcze nad jednym przekazem (...). Należy się zastanowić, czy ta sytuacja nie jest paniczną próbą ratowania mających ogromne problemy instytucji finansowych kierowanych przez pana Czarneckiego bądź próbą zrzucenia na instytucje państwowe odpowiedzialności za te problemy”, instruował Agatowski, a narracja ta była potem powtarzana przez propisowskie media. ■

POMIESZANIE Z POPLĄTANIEM

POLSKA POLITYKA ŻYWI SIĘ NASZĄ NIEPAMIĘCIĄ, CHAOSEM I MITAMI

Robert Walenciak

Mamy to przed oczami – i rzecz dotyczy nie tylko Polski, ale też całego zachodniego świata. Pomieszenie z poplątaniem.

W Stanach Zjednoczonych ogłoszono wielkie zwycięstwo Donalda Trumpa w debacie z Joem Bidenem. Choć jeśli ktoś wsłuchał się w to, co mówią obaj politycy, to Biden mówił sensownie, a Trump jak chłopek-roztropek, chaotycznie i przecząc sobie w co drugim zdaniu. Ale nie o treść tu poszło, lecz o formę. I forma wygrała.

Partie stały się wodzowskie, liderzy są ważniejsi niż treści, które niosą. Nie mędrca więc poszukujemy, ale wodza.

We Francji mamy wielki triumf (niezależnie od wyników drugiej tury) Zjednoczenia Narodowego, partii populistycznej, rasistowskiej, antyeuropejskiej. Wszyscy zastanawiają się, jak ugrupowanie rodziny Le Pen, jednoczące różnorodną prawicową szurinę – katolików tradycjonalistów, nacjonalistów, rewolucjonistów, suwerenistów, nową prawicę – zdobyło tak wielkie poparcie. Jakim cudem do drugiej tury dostała się kandydatka, która z radością fotografowała się w czapce oficera Wehrmachtu?

Odłóżmy te pytania na bok. Zwróćmy uwagę na inną rzecz – Trump króluje w stanach, w których kiedyś dominowali demokraci. To elektorat ludowy jest jego siłą.

Zjednoczenie Narodowe Marine Le Pen najsilniejsze jest w regionach,

które przez lata były twierdzami lewicy, także tej komunistycznej. Czyli na północy kraju, w dawnym górniczym regionie Nord-Pas-de-Calais, oraz na południu, w okolicach Marsylii i Tulonu.

A Polska? W wyborach europejskich w dziewięciu województwach Lewica nie przekroczyła progu 5%. Również w tych, w których przez lata była potęgą – śląskim, kujawsko-pomorskim i świętokrzyskim. Oczywiście elektoraty falują... Ale ciekawsze jest to, że dawni wyborcy SLD, zwłaszcza z mniejszych i średnich miast, dzisiaj twardo głosują na PiS. Skąd ta zmiana? Jak to się

dzieje, że ludzie głosują od ściany do ściany, że zmieniają poglądy, czasami nawet nie zdając sobie z tego sprawy?

Jest kilka powodów. Pisałem o tym już parokrotnie – partie stały się wodzowskie, liderzy są ważniejsi niż treści, które niosą. Nie mędrca więc poszukujemy, ale wodza. Nie programu – ale mitu. „Błaganie o mit” – tak zatytułował tydzień temu felieton na łamach PRZEGLĄDU prof. Stanisław Filipowicz. „Magowie świata polityki – przywódcy – muszą uzbroić swój język w schematy transmitujące mowę mitów – przypominał. – Kto tego nie rozumie, niech się nie bierze do polityki. W spektaklu władzy musimy ujrzeć walkę żywiołów i usłyszeć głos sławiący jej

bohaterów”. Dodając, że PiS ma mity, a liberalni demokraci – opowieść o ciepłej wodzie w kranie.

Nasuwa się jednak pytanie kolejne: po co to błaganie o mit? Dlaczego chcemy bajek i postaci z bajek? Twardzieli, nieomylnych, prowadzących nas słuszną drogą? Można rzec, takich przewodników potrzebują dzieci, osoby niesamodzielne. Natomiast świadomi, kierujący się wiedzą obywatele wodzów nie potrzebują. Ale czy tak jest do końca?

Demokracja, emancypacja mas, gigantyczny rozwój mediów – to wszystko stworzyło nową rzeczywistość. Bardziej skomplikowaną, niż była kilkadziesiąt lat temu. Życie publiczne, media wymuszają i na politykach, i na wyborcach, by na kluczowe sprawy mieli poglądy. By na wszystkim się znali. Lista tych spraw rozwijana jest bez umiaru. Przejrzyjmy główne tematy poruszane w polskich mediach w ostatnich dniach: wybory w Wielkiej Brytanii, wybory we Francji, szczyt NATO, wojna w Ukrainie, granica polsko-białoruska, CPK, ceny energii, ustawa o związkach partnerskich, sytuacja mediów kontra wielkie platformy, śledztwo w sprawie Funduszu Sprawiedliwości, lista lektur i wyniki matur... Do tego mamy debaty na temat globalnego ocieplenia, cyberbezpieczeństwa, sztucznej inteligencji, katastrofy demograficznej, imigracji, przyszłości Unii Europejskiej...

Żadna głowa tego wszystkiego nie jest w stanie opanować. Rzeczywistość wygląda więc tak, że każdy z nas jest w większym lub mniejszym

stopniu dyletantem, zabiera głos w sprawach, na temat których ma ograniczoną wiedzę.

Cóż to oznacza? Że musimy mieć zaufanie do specjalistów, do tych, którzy wiedzą. To oczywiste – w sprawach chorób ufamy lekarzowi, w sprawach awarii instalacji wodnej – hydraulikowi, w sprawach gospodarki – ekonomistom itd.

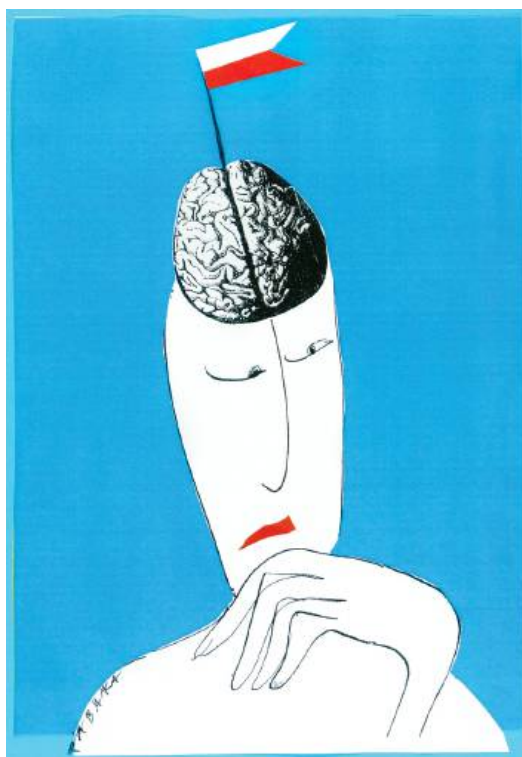
Ale co mamy robić, gdy eksperci mają różne zdania? Świat, który jeszcze 150 lat temu wydawał się stabilny, do ogarnięcia ludzkim rozumem, dziś jest pulsującą i stale nas zaskakującą dżunglą. W tej dżungli nie ma prostych ścieżek, nie ma wyznaczonych dróg, a przewodnicy się kłócą. Co nam pozostaje?

Próbujemy na własną rękę rozstrzygnąć, kto ma rację. Bazując na naszej szczątkowej wiedzy, na intuicji, na domysłach. Patrząc, jak zachowują się inni. To przynosi różne skutki.

Przykładem tego jest ruch antyszczepionkowców, który rozwinął się podczas pandemii COVID-19. Półprawdy pomieszane z kłamstwami, różne teorie o chciwych koncernach farmaceutycznych wystarczyły, by tysiące ludzi nie chciały się szczepić. Nie tylko przeciw COVID-19, ale też przeciw innym chorobom.

PiS ma mity, a liberalni demokraci – opowieść o ciepłej wodzie w kranie.

A gospodarka? Gdy państwo przeprowadzało reformy Leszka Balcerowicza, media zgodnie uznały je za ruch najmądrzejszy i bezalternatywny. Każdy, kto wówczas zgłaszał jakiegokolwiek wątpliwości, był kierowany do osłej ławki. Tak m.in. potraktowano Karola Modzelewskiego. Dzisiaj sytuacja jest zupełnie inna, króluje przekonanie, że pieniądze zawsze można dodrukować, że płacę minimalną można podwyższać bez zastanowienia się, niemal do poziomu płacy średniej. Od ściany do ściany.



Za chwilę będziemy mieli 80. rocznicę wybuchu powstania warszawskiego i znowu pojawiają się dyskusje nad jego celowością. Czy warto było rzucać na stos życie 200 tys. mieszkańców miasta w imię iluzji gry politycznej. Nie mam złudzeń, znów będę musiał słuchać o bohaterstwie powstańców, o tym, że ich poświęcenie nie poszło na marne, że bez ich ofiary Polska nie wybiłaby się w roku 1989 na niepodległość, no i o tym, że ten, kto te „prawdy” kwestionuje, nie jest godzien miana Polaka. Będzie nam znów wmawiane, że gromada nieprzeszkolonej, prawie bezbronnej młodzieży, kierowana przez garstkę oficerów marnej jakości, mogła dać sobie radę z wielokrotnie liczniejszymi jednostkami armii regularnej.

Oto trzy przykłady, które ewidentnie świadczą o tym, że rozumem w swoich opiniach kieruje się coraz mniejsza grupa Polaków, że ślepa wiara w różne aktualnie modne teorie nas przytłacza. Dlatego tak bardzo chcemy komuś zaufać.

To pomaga. W średniowieczu pomagało zrozumieć burzę, pioruny, epidemie i inne podobne zjawiska.

Dziś zjawiska, których mechanizmów nie znamy i nie rozumiemy (to żaden wstyd), także próbujemy tłumaczyć na skróty. I dlatego chcemy przewodników. Chcemy w ich ręce złożyć nasze strachy, nasze nadzieje. Niech oni myślą i decydują za nas.

Współczesny człowiek o innych sprawach niż dotyczące wąskiego wycinka rzeczywistości, którym zajmuje się zawodowo i w zakresie którego jest kompetentny, dowiaduje się najczęściej z mediów.

Media zmieniły świat, zarzucając nas tysiącami mniej lub bardziej potrzebnych informacji, wciągając w różne sprawy, przedstawiając różne zagadki. Nie na naszą głowę jest ten natłok różnorodnych bodźców. I to jeszcze podawanych w chaosie – bo najczęściej media żyją jakąś sprawą, a później ją porzucają (bo już odbiorców nudzi) i zaczynają zajmować się czymś innym. Wszystko zaczynają, niczego nie kończą.

Do tego media manipulują. Często nieświadomie, często celowo. Spójrzmy na imigrantów – gdy zobaczymy obrazek zabiedzonej kobiety z dzieckiem, współczujemy jej i chcemy pomóc. Ale gdy zobaczymy zdjęcia agresywnych młodych mężczyzn rzucających kamieniami, odczuwamy niechęć i strach. I domagamy się twardej reakcji.

To wszystko – i nadmiar bodźców, i ich fragmentaryczność, i odwoływanie się do emocji – pogłębia chaos, który nosimy w sobie.

W świecie liberalnej demokracji chaos powinny nam porządkować instytucje. Media, uniwersytety, na końcu – politycy. Ale ten czas minął. Nie ma już autorytetów, którym wszyscy by wierzyli i mediów, które byłyby dla wszystkich, polityków, których byśmy nie podejrzewali o intrygi i gierki. Wszyscy są – w powszechnym przekazie – źli. Dobrzy są tylko tzw. przeciętni Polacy. O ich doskonałości słyszymy każdego dnia, najczęściej od polityków. Wiadomo, z wyborcą trzeba ostrożnie.

► Nie ma co się rozwodzić nad tym, jak politycy walczą między sobą. Ograniczmy się do konstatacji, że wolą niszczyć, niż budować. Kampania negatywna to dziś esencja polityki, nie tylko w Polsce. Dotyka ona nie tylko samych polityków, ale również ich współpracowników i różnych ekspertów, niepoddanych kontroli. To jest jak ostrzał artyleryjski pozycji wroga – niszczenie autorytetów, tych, którzy mogą mieć niezależne zdanie, którzy mają wpływ na opinię publiczną.

Politycy wolą niszczyć, niż budować. Kampania negatywna to dziś esencja polityki, nie tylko w Polsce.

Efektem wojny politycznej w Polsce jest całkowite ich zdemolowanie.

To nie jest zjawisko ostatnich lat. Po roku 1989 mieliśmy potężny atak na osoby związane w ten czy inny sposób z poprzednią władzą. Nie liczyły się wiedza, umiejętności, liczyło się, czy ktoś jest z PZPR (więc jest zły), czy z Solidarności (więc jest tym dobrym). W ten sposób budowano (z różnym skutkiem) nową hierarchię autorytetów w kolejnych środowiskach – w mediach, w profesurze, w kulturze, w dyplomacji...

Wojna PiS z PO to dalsza część wojny rozpoczętej w roku 1989. Tragizm mieszał się w niej ze śmiesznością. Jak ocenić mianowanie mgr Julii Przyłębskiej, marnej sędzi z Poznania, z niewielką praktyką, najpierw członkiem Trybunału Konstytucyjnego, a później na stanowisko przewodniczącej? Wstydu nie odczuwano. Pisowskie media nagradzały Przyłębską tytułem człowieka roku.

A jak ocenić kariery w spółkach skarbu państwa działaczy partyjnych, przerabianych naprędce na menedżerów? Tu też wstyd zniknął. W pisowskiej telewizji wydarzenia polityczne komentowali wciąż ci sami prawnicy dziennikarze. Za wierność partii otrzymywali pieniądze i utudę ważności.

Dwa piętra wyżej wojnę toczyli ze sobą partyjni liderzy. Nie były to polityczne szachy, lecz zwykła pyskówka. Jedni i drudzy wymyślali sobie od zdrajców, agentów Putina i komunistów.

W takiej atmosferze, zimnej wojny domowej, każde świństwo – o ile wyrażane jest przeciwnikowi – urasta do rangi cnoty. A każde kłamstwo – o ile służy „naszym” – staje się działaniem pożytecznym. Tylko że nie warto wówczas brać udziału w dyskusjach, w jakiegokolwiek debacie, skoro z założenia jest ona fałszywa.

Jak można w takiej sytuacji być wiernym jakimkolwiek poglądom, jakiegokolwiek sprawie, jeżeli wszystko jest sponiewierane i ośmieszane?

Kiedy nic nie wiadomo? Kiedy media ograniczają się do partyjnego przekazu, a własnych tematów nie potrafią prowadzić – coś zaczynają, ale rzadko kiedy kończą. Ich odbiorcy są zatem tacy sami – coś wiedzą, ale tylko trochę, mają w głowach groch z kapustą.

• Nie dziwny się temu – ludzie z reguły mają różne przekonania i poglądy, częstokroć wzajemnie się wykluczające. To nie jest żadne odkrycie. Pisał o tym Leszek Kołakowski, że każdy z nas jest konserwatywno-liberalnym socjaldemokratą.

Helmut Kohl, były kanclerz Niemiec, nie czytał Kołakowskiego, ale mówił to samo. Że przeciętnemu

Media zmieniły nam świat, zarzucając nas tysiącami mniej lub bardziej potrzebnych informacji.

Niemcowi, jeśli chodzi o sprawy gospodarki, najbliżej do FDP, jeśli chodzi o sprawy obyczajowe i stosunek do państwa – do CDU, w sprawach usług publicznych i prawa pracy – jest bliski SPD, a w ochronie środowiska – najbliżej mu do Zielonych. I kampania wyborcza polega na tym, żeby nacisnąć odpowiedni guzik, żeby te, a nie inne sprawy stały się dla wyborcy najważniejsze.

• Dziś „naciskanie guzika” wygląda inaczej niż za czasów Kohla. Politycy korzystają z zamawianych przez

partie badań opinii publicznej, sondaży, badań fokusowych. Zanim zaczną „grać” jakimś tematem, wiedzą, jak poszczególne grupy będą na daną sprawę reagować. Widzieliśmy to podczas kampanii wyborczych – gdy nagle PiS jak jeden mąż mówiło o zagrożeniach – powodowanych a to przez imigrantów, a to przez osoby LGBTQ+. Teraz PiS mówi o Niemcach, reparacjach i o tym, że Tusk jest niemieckim lokajem.

Platforma ma swoje badania i swoje „klucze do polskiej duszy”. Będzie więc mówiła o złodziejstwie poprzedniej ekipy, o korupcji, o godnym miejscu Polski w Unii Europejskiej.

Zwróćmy uwagę, mimo że mówią w Polsce, mówią o czym innym, inne wątki chcą uczynić głównymi w debacie, inne guziki chcą naciskać. To stwarza szansę na przejmowanie wyborców. Przynajmniej tych mniej zagorzałych, którzy nie przeszli na pozycję fanatycznych kibiców. Bo można sobie wyobrazić wyborcę, który czuje obawy wobec Niemiec. I gdy PiS sprawę nagłośni – tej partii przykłąśnie. Ale jednocześnie może mu zależeć na godnym miejscu Polski w Europie. I gdy zobaczy, że Tusk potrafi o to zadbać – przykłąśnie jemu.

A wtedy blakną, odpyływają w przeszłość inne sprawy, te, o których się nie mówi. Tak jak w przeszłość odpłynęły spory o powstanie

styczniowe, o Dmowskiego i Piłsudskiego. Owszem, one mogą wracać – tak jak wracają spory o „żołnierzy wyklętych” czy o targowicę. Ale muszą być siły, które chcą te spory reanimować. Albo może być zupełnie odwrotnie – wielki spór o Polskę Ludową może zostać oddany samobójczo walkowerem.

Oto polska polityka – która żywi się naszą niepamięcią, nieuważnością, chaosem i podsuwanymi nam mitami.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeгляд.pl

POLITYCY!

Nie zabijajcie polskich mediów!

Polskie media są ważną częścią życia każdego z nas – wszystkich żyjących, mieszkających i pracujących w Polsce.

Są częścią naszego dziedzictwa kulturowego i systemu demokratycznego. I jako takie muszą przetrwać.

W całej swojej, także niedawnej historii stały na straży wolności, demokracji, obywatelskiego prawa do debaty publicznej, prawdy i odpowiedzialności za słowo. W interesie Polski jest, by to się nie zmieniło.

Niestety, musimy mierzyć się z groźbą, jaką jest dominacja globalnych gigantów technologicznych na rynku polskich mediów. To organizacje niezwykle potężne i wpływowe.

Wskutek szybkiego rozwoju przejęły lwia część środków reklamowych finansujących dotąd polskie media. Bezkarne i nieodpłatnie wykorzystują tworzone przez nas treści, a zyski przekazują za granicę.

Dlatego, by przetrwać, musimy mieć wsparcie demokratycznego państwa. Tego samego, którego zawsze z tą samą pasją bronimy. Niestety, po raz kolejny państwo w tej roli się nie sprawdza.

Podczas uchwalania przepisów o prawie autorskim w świecie cyfrowym kompletnie zlekceważono nasze postulaty. A o wiele nie zabiegaliśmy.

Oczekiwaliśmy wprowadzenia instrumentów mediacji między platformami i wydawcami w przypadku sporu o należne nam tantiemy, sprawiedliwej rekompensaty za ekspozycję naszych treści w sieci oraz ochrony przed ich kopiowaniem.

To były nasze główne postulaty, kompletnie zignorowane przez MKiDN i Sejm.

Sprawy, o których piszemy, są kluczowe dla polskich mediów, ambitnego dziennikarstwa i rzetelnej debaty o sprawach publicznych.

Niechęć rządzących do zajęcia się tym problemem świadczy o braku odpowiedzialności i krótkowzroczności. Dziś nie jest jeszcze za późno.

Apelujemy do władzy, do posłów i senatorów wszystkich opcji politycznych, by wystuchali naszych racji i poprawili szkodliwe prawo.

Oddanie tych obszarów w całości globalnym graczom technologicznym nie tylko poważnie zuboży nas jako społeczeństwo, ale może też zagrozić demokracji, jaką znamy. Nie wolno do tego dopuścić. Politycy – zróbcie coś nie tylko dla zagranicznych gigantów technologicznych, ale też dla Polski, Polek i Polaków!

Polscy wydawcy, redakcje i dziennikarze

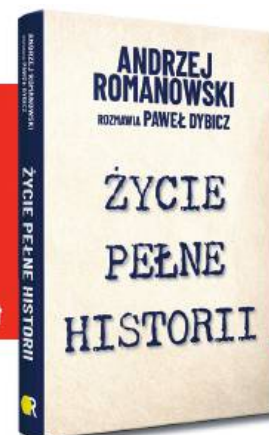
NOWA KSIĄŻKA PRZEGLĄDU

W pasjonującej rozmowie
prof. Romanowski wspomina spotkania
z Giedroyciem, Miłoszem i Michnikiem.
A także z Terleckim, Rokitą i... Rydzykiem.

Dostępna także w formie e-booka



79 zł



Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl lub wpłać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa.
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Poczta Polska.

Obiecanki cacanki

Jak rząd premiera Tuska podwyżki za prąd wprowadzał

Grzegorz Rudnik

W czerwcu wiele rodzin otrzymało od dostawców energii prognozy rachunków za prąd, które przyjdzie im płacić w drugiej połowie 2024 r. Jeśli ktoś dotychczas wydawał na światło miesięcznie np. 270 zł, w drugim półroczu będzie sięgał do portfela po 350 zł.

Rodzina z Piaseczna dostała od PGE Obrót SA taką prognozę: w lipcu rachunek za prąd wyniósł 157,32 zł, w sierpniu zaś sięgnął 263,05 zł. Co oznacza wzrost o ponad 50%. A znane są przypadki, gdy miesięczna opłata wzrosła z 350 zł do 800 zł.

Nic dziwnego, że w mediach społecznościowych zaroilo się od komentarzy. Ludzie poczuli się oszukani przez rząd Donalda Tuska.

Z okazji skorzystało Prawo i Sprawiedliwość, które na początku czerwca, ustami szefa klubu parlamentarnego Mariusza Błaszczaka, zaapelowało do marszałka Hołowni o natychmiastowe zajęcie się przez Sejm obywatelskim projektem ustawy o nazwie „Stop podwyżkom cen energii od lipca”, pod którym zebrało 140 tys. podpisów.

Rzeczniczka prasowa marszałka Sejmu Katarzyna Karpa-Świderek wyjaśniła, że projekt nie ma jeszcze nadanego numeru druku, bo trwa liczenie złożonych pod nim podpisów. Po czym sprawa ucichła.

Politycy PiS w licznych wywiadach podkreślali, że podwyżki uderzą w gospodarstwa domowe i drobnych przedsiębiorców, np. w piekarzy, którzy wykorzystują przecież energię i gaz do tego, żeby prowadzić działalność gospodarczą. Telewizja Republika waliła w rząd jak w bęben.

Reakcja odpowiedzialnych ministrów była, delikatnie mówiąc, nijaka. Ministra klimatu i środowiska Paulina Hennig-Kloska publicznie zapewniała, że rachunek za prąd nie powinien wzrosnąć o więcej niż 30 zł miesięcznie. Co tylko bardziej zirytowało Polaków. Rząd mówił o działaniach osłonowych, które obejmą najuboższe rodziny, i zapewniał, że podwyżka opłat za prąd nie będzie znacząca. Tylko mało kto chciał tego słuchać. Pytanie, co się stało.

To nie ja, to kolega

W roku 2023 – za rządów PiS – roczny limit zużycia prądu dla gospodarstw domowych wynosił 2 tys. kWh. Po jego przekroczeniu trzeba było płacić wyższe rachunki. W sierpniu 2023 r. Sejm przyjął przepisy, które przewidywały nawet obniżkę cen energii elektrycznej w roku 2024 oraz podniesienie progów rocznego zużycia prądu dla gospodarstw domowych do 3 tys. kWh. Była to jednak tylko zagrywka kampanijna, która miała dać rządzącym więcej głosów w październikowych wyborach.

Po przegranej 15 października 2023 r. okazało się, że ceny energii elektrycznej mogą wzrosnąć od stycznia nawet o 60%, a rząd Koalicji 15 Października nie ma zamiaru utrzymać wprowadzonych przez

rząd PiS ulg. Rozsądek nakazywałby natychmiastowe podjęcie prac nad wprowadzeniem działań osłonowych w związku z planowanym „urynkowaniem” cen energii i jak najszybsze skierowanie odpowiednich ustaw do Sejmu, by spółki zajmujące się dystrybucją miały czas na przygotowanie nowych taryf, a Urząd Regulacji Energetyki mógł je zatwierdzić odpowiednio wcześniej. Tak się nie stało.

Projekt ustawy o czasowym ograniczeniu cen za energię elektryczną, gaz ziemny i ciepło systemowe oraz o bonie energetycznym wpłynął do łaski marszałkowskiej dopiero 7 maja. Na Wiejskiej procedowano go do końca miesiąca. 7 czerwca prezydent Andrzej Duda złożył pod ustawą swój podpis.

Nowe prawo zobligowało głównych dostawców energii elektrycznej do złożenia do 20 czerwca wniosków taryfowych uwzględniających przyjęte działania osłonowe. Termin był wyjątkowo krótki. „Faktury grozy”, które pojawiły się w sieci i dostarczyły politycznego paliwa liderom Prawa i Sprawiedliwości, były wynikiem tego, że dystrybutorzy prądu, spółki PGE, Energa, Enea i inne, przygotowali prognozy dla klientów PRZED wejściem w życie nowej ustawy.

Wszystko odbyło się zgodnie z prawem i trudno mieć pretensje



do odnowionych zarządów spółek. Za to można mieć pretensje do rządzących, którzy nie przewidzieli tego, co się stało. Za późno podjęli prace na ustawę i nie ostrzegli zarządów spółek, by wstrzymały się z przygotowaniem prognoz cen do zakończenia prac legislacyjnych.

Dziś, gdy rozmawia się o tym z politykami rządzącej koalicji, najczęściej można usłyszeć frazę: „To nie ja, to kolega”. Przy czym nie jest tajemnicą, że w rządzie Donalda Tuska panował w tej sprawie chaos decyzyjny.

Co w tej sytuacji mogą zrobić rodziny, które mają płacić za prąd nie zapowiadane kilkadziesiąt złotych więcej, ale czasem nawet kilkaset złotych?

Okazuje się, że powinny zwrócić się na piśmie do swojego dostawcy energii elektrycznej z wnioskiem o dokonanie korekty stawek, która uwzględni regulacje przewidziane w ustawie o czasowym ograniczeniu cen za prąd, gaz i ciepło systemowe oraz o bonie energetycznym. A dopóki takiej decyzji nie otrzymają, powinny płacić według stawek wyliczonych przez operatora. Łatwo się domyślić, że popularności rządowi Donalda Tuska to nie przysporzy.

Obywatel płaci, rząd zyskuje

Produkcja i obrót paliwami, gazem i energią elektryczną w Polsce nie mają nic wspólnego z gospodarką wolnorynkową. Są niemal w 100% kontrolowane przez spółki należące do państwa albo takie, w których państwo jest największym udziałowcem. Dzięki temu rząd ma wpływ na ceny i osiąga nadzwyczajne zyski, czym nie lubi się chwalić.

Przypomnę, jak w ubiegłym roku przed wyborami PKN Orlen obniżył ceny paliw na stacjach benzynowych, licząc na wdzięczność przy urnach potencjalnych wyborców. Była to decyzja czysto polityczna, która, co ciekawe, nie odbiła się znacząco na wynikach finansowych naszego narodowego producenta benzyny bezołowiowej. Monopol państwa w produkcji i dystrybucji energii elektrycznej oznacza nie tylko

dobrze płatne posady dla swoich, lecz przede wszystkim wysokie dochody budżetu państwa. Od każdej kilowatogodziny część pieniędzy odprowadzana jest w formie podatków na rachunek Ministerstwa Finansów. Czyli im wyższa cena za prąd, tym lepiej dla fiskusa. Dziś ceny prądu w Polsce są jednymi z wyższych w Europie. Identyczne zasady obowiązują w produkcji i handlu paliwami i gazem.

Rodzima energetyka oparta jest na elektrowniach węglowych, więc musi być drogo. Swoje interesy mają kopalnie i górnicy, swoje pracownicy elektrowni, swoje pracownicy spółek zajmujących się dystrybucją. Jeden z większych dostawców prądu do naszych domów, PGE Obrót SA, poinformował ostatnio, że 36% sprzedawanej przez niego energii

wojny w Ukrainie, czyli są kilkakrotnie niższe niż w roku 2022, gdy rachunki za gaz i prąd były mniejsze.

Wiatr i fotowoltaika nie wystarczą

Ewentualna decyzja o obniżce cen prądu i gazu będzie miała charakter nie ekonomiczny, ale polityczny. Docelowo rozwiązaniem byłby większy udział w miksie energetycznym prądu ze źródeł odnawialnych, który jest tańszy od produkowanego w elektrowniach. W roku ubiegłym z tych źródeł pochodziło 30% energii elektrycznej: ponad 11% z energetyki wiatrowej, ponad 10% z energii słonecznej, reszta z biogazu i elektrowni wodnych. Ponad 9% prądu wytwarzały elektrownie gazowe.

Rząd za późno zajął się ustawą i nie ostrzegł zarządów spółek, by wstrzymały się z przygotowaniem prognoz cen do zakończenia prac legislacyjnych.

jest produkowane z węgla kamiennego, a 27% z węgla brunatnego. Czyli aż dwie trzecie prądu dostarczanego do naszych mieszkań pochodzi z nieoobojętnych dla środowiska elektrowni, które wliczają w koszty także cenę uprawnień do emisji dwutlenku węgla. To rządu nie martwi, gdyż oznacza większe zyski ze sprzedaży uprawnień do emisji. W ubiegłym roku budżet zarobił na tym prawie 25 mld zł.

Polskie spółki energetyczne zyskały też na gwałtownym wzroście cen ropy, gazu i węgla po ataku Rosji na Ukrainę. Zarobił również budżet państwa. Minister finansów ściągnął z nich ponad 17 mld zł z tytułu nadzwyczajnych zysków.

I nie ma znaczenia, czy Polską rządzi PiS, czy Koalicja 15 Października. W sprawie spółek energetycznych, paliwowych i gazowych oraz cen paliw, gazu i prądu obie ekipy działają identycznie. Wszystko to ma miejsce w chwili, gdy ceny nośników energii – węgla, ropy naftowej i gazu ziemnego – na europejskich rynkach są na poziomie sprzed wybuchu

Przełomem ma być budowa elektrowni jądrowych. Pierwsza z nich ma stanąć nad Bałtykiem w gminie Choczewo, lecz to pieśń odległej przyszłości. Będzie kosztowała 150 mld zł.

Na krótką metę rozwiązaniem jest budowa elektrowni wiatrowych i zakładanie fotowoltaiki. Wąskim gardłem okazuje się tu jednak stan sieci energetycznych, który dziś nie pozwala na szybkie przyłączanie nowych instalacji. Od dawna wiadomo poza tym, że w Polsce jest miejsce dla setek, jeśli nie tysięcy biogazowni. Jesteśmy jednak krajem rolniczym. Ale i w tej kwestii niewiele się dzieje. W dającej się przewidzieć przyszłości sytuacja się nie poprawi. Kolejne rządy będą się starały wycisnąć jak najwięcej z obywateli, aczkolwiek tak, by się nie zbuntowali. Ekonomiści będą ostrzegać przed wzrostem inflacji, lecz to nie zmartwi ministrów finansów. Wyższa inflacja oznacza wyższe dochody budżetu i niższy dług publiczny. A my będziemy płacili i płakali, że jest drogo.

■

Ksiądz Olszewski na mękach

SMS-y od diabła, salceson i sprawa polska

Maciej Mikołajczyk

Jak ojczyzna długa i szeroka, kluby „Gazety Polskiej” oraz aktyw robotniczo-chłopski rodem z PiS i Suwerennej Polski demonstrują przeciwko nieludzkiemu traktowaniu ks. Olszewskiego. Objawy: wymachiwanie zdjęciami ks. Jerzego Popiełuszki oraz transparentami z hasłami „Uwolnić księdza Michała” i „Jeśli przyjdą zniszczyć ten naród, zaczną od Kościoła, gdyż Kościół jest siłą tego narodu”.

Powód: jeszcze narzędzia tortur nie ostygły po pobycie za kratami Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika, a Tusk zabrał się do dręczenia kolejnej ofiary. Tym razem padło na ks. Michała Olszewskiego, sercanina parającego się egzorcyzmami, a w przerwach budującego za miliony z Funduszu Sprawiedliwości ośrodek dla ofiar przestępców.

Ponieważ kraj znalazł się nad przepaścią, powiadomiono Komitet Przeciwno Torturom (CAT) przy ONZ, a na 9 lipca przed Sejmem zaplanowano ogólnopolską manifestację przeciw stosowaniu wobec księży ubeckich metod.

Ale po kolei.

Śpiewy w ośrodku

Całodobowy ośrodek pomocy ofiarom przestępstw miał być wielce innowacyjny: chciano go wyposażyć w studia nagraniowe, reżyserki i serwerownie (koszt: 43 mln), by ofiary mogły pośpiewać i swoje wokalne występy uwiecznić na płytach. Śpiewanie i nagrywanie ma bowiem silne właściwości terapeutyczne, pozwala pobitym i szykanowanym odetchnąć pełną piersią i zapomnieć o traumie. Prokuratura uznała jednak, że ks. Michał Olszewski pod pozorem budowy placówki wyłudził pieniądze

z podległego Ziobrze funduszu, następnie zaś je wyprał. Duchowny trafił do aresztu tymczasowego, a jak słusznie zauważył arcykapłan Zjednoczonej Prawicy Jarosław Kaczyński, „jego zatrzymanie nastąpiło w Wielki Czwartek, co bez wątpienia miało wymiar symboliczny”.

Mimo to początkowo nic nie wskazywało, że dojdzie do niepokojów społecznych – ksiądz siedział grzecznie i na nic się nie skarżył. Bomba wybuchła dopiero w czerwcu, gdy politycy Suwerennej Polski



Ks. Michał Olszewski wśród licznych talentów posiada i ten do wypędzania diabłów.

zorientowali się, że Fundusz Sprawiedliwości może ich zatopić, i to nie w sensie metaforycznym, ale dosłownie, bo jeśli zarzuty dotyczące wykorzystania w kampanii wyborczej środków z funduszu zostaną potwierdzone wyrokiem, zwyczajnie pójdą na dno. A choć śpiewy w ośrodku dla ofiar stanęły pod znakiem zapytania, coraz bardziej prawdopodobne stawało się, że zacznie śpiewać ks. Olszewski. Prokuratura wystąpiła z wnioskiem o przedłużenie aresztu, sąd do wniosku się przychylił i egzorzysta posiedzi kolejne trzy miesiące. Jaki i spółka dobrze wiedzą, że w zakładach karnych trudno

wytrwać, bo sami, gdy mieli pod butem resort sprawiedliwości, doszli do wniosku, że więzienia to nie sanatoria, i zaostrzyli rygor odbywania kary oraz pobytu w aresztach.

I zaczęły się cuda.

Podpięte pod Zjednoczoną Prawicę media opublikowały „list ks. Michała Olszewskiego”, sugerując, że epistoła została przemyciona z aresztu. Oto jej fragment: „Zawieziono mnie na dołek. Od 6 rano, przez cały dzień (nawet przy czynnościach fizjologicznych) byłem skuty. Ani

na chwilę nie zdjęto mi kajdanek. Usłyszałem, że o tej porze nie ma ani kolacji, ani wody. Ubłagałem pół butelki wody z kranu, przyniesionej w butelce, która stała w celi. Rano, kiedy prosiłem, by zaprowadzono mnie do WC, usłyszałem: Lej do niej. Gdy wróciłem do celi, posprzątałem ją po poprzednim lokatorze i padłem jak nieżywy. Po krótkiej chwili nagle zapaliło się światło. Okazało się, że jestem pod specjalnym nadzorem. Stąd kamera, kajdanki, nawet przy przejściu na spacerniak, odizolowanie od innych (...),

budzenie światłem przez całą noc, co godzinę! Tak było przez pierwsze dwa tygodnie”.

W obronie torturowanego kapłana stanął Jarosław Kaczyński. „W Polsce doszło do wydarzeń, których nawet my się nie spodziewaliśmy, chociaż krytycznie oceniamy obóz Tuska, czyli do tortur. To akt zwykłego bandytyzmu. My tę sprawę będziemy prowadzili wszystkimi możliwymi metodami, począwszy od demonstracji ulicznych, przez spotkanie z rzecznikiem praw obywatelskich, aż po odwołanie się do instytucji międzynarodowych”, wywodził prezes.



Lista miast, w których odbyły się protesty w obronie księdza egzorcysty jest długa – obejmuje m.in. Kraków, Poznań, Płock i Warszawę.

Protesty odbyły się w Krakowie, Poznaniu, Gorzowie Wielkopolskim, Olecku, Płocku i oczywiście w stolicy. Z rozpędu demonstrowano przed zakładami karnymi i nie pomogło nawet oświadczenie pełnomocnika aresztowanego, wskazujące, że „Służba Więzienna księdza nie torturuje, a opisane w liście wydarzenia dotyczą okresu przed aresztowaniem”. Efekt: do SW dotarło kilkaset mejli, które nie nadają się do cytowania ze względu na słownictwo i zawarte w nich groźby. Służba Więzienna zaapelowała „o zaprzestanie

sposobem na pokazanie solidarności z księdzem Michałem. Te działania mogą zwrócić uwagę społeczeństwa i mediów na jego sytuację, co jest niezwykle ważne”.

Wszechstronnie uzdolniony duchowny

Najdalej poszli postowie Suwereknej Polski, zawiadamiając rzecznika praw obywatelskich oraz Komitet Przeciwko Torturom. Ten sam, który za czasów, gdy Woś i Kaleta byli u władzy, stwierdził, że „w Pol-

ani on, ani jego pełnomocnik nie wyczerpali nawet jednej możliwości tkwiącej w rodzimym systemie prawnym. Ale też inicjatorom akcji nie chodzi o to, by wyczerpywać środki przewidziane w kodeksach. PiS gra o mobilizację elektoratu, partyjka Ziobry zaś o to, by nie zostać pożartą przez Kaczyńskiego. Oba ugrupowania zależy nie na uwolnieniu ks. Olszewskiego, lecz na uczynieniu z niego męczennika. Zbyt skuteczne działanie Komitetu Przeciwko Torturom nikomu nie jest wiecej na rękę.

Polska płonie, choć pełnomocnik ks. Michała z zadziwiającą uczciwością wyjaśnił, że list od księdza wcale nie jest listem: „Jest to wier-ny odręczny zapis sporządzony przez jego najbliższych, którym na widzeniach opowiedział szczegółowo tę historię”. Ponadto obrońca ujawnił, że jest 15 kg mniej ks. Olszewskiego od czasu, kiedy został zastosowany areszt, a to nigdy nie był otyły mężczyzna”. Dodał tu, że za spadek wagi odpowiada rząd z Tuskiem na czele, co nie jest odkrywcze, bo od głębokiej komuny wiadomo, że rząd dba wyłącznie o to, by samemu się wyżywić. 15-kilogramowy ubytek księdza brzmi podejrzenie, a gdy dorzucimy do tego kulturowy kontekst salcesonu, mamy przepis na spisek. ▶

Jeszcze narzędzia tortur nie ostygły po pobycie za kratami Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika, a Tusk zabrał się do dręczenia kolejnej ofiary.

powielania nieprawdziwych informacji oraz kierowanie się w prowadzeniu działań informacyjnych zasadami uczciwości, prawdomówności i odpowiedzialności za słowa”. Na próżno – protesty nie ustały, a nawet przybrały na sile.

Być może dlatego, że sercanie opublikowali komunikat zatytułowany „Murem za księdzem Michałem”. W nim zaś passus: „Organizowanie publicznych akcji wsparcia, takich jak manifestacje, wiece czy zbieranie podpisów, może być skutecznym

sce występują zagrożenia dla praw człowieka”. Rządu przed ONZ bronił wówczas jak lew sędzia Łukasz Piebiak, aktualnie oczekujący na postawienie 19 zarzutów związanych z działaniem grupy przestępczej, zajmującej się wzniecaniem nienawiści do sędziów sprzeciwiających się „dobrej zmianie”. Skargi są rozpatrywane przez komitet pod warunkiem wyczerpania dostępnych krajowych środków ochrony prawnej, co oznacza, że na razie ONZ za ks. Olszewskim raczej się ujmie, bo

► Michał Olszewski to bowiem wszechstronnie uzdolniony duchowny, a wśród licznych talentów posiada i ten do wypędzania diabłów. Jeden z egzorcyzmowanych przez niego nieszczęśników miał w sobie 240 demonów i taki brzuch, jakby był w ciąży, ale ks. Michał bez problemu poradził sobie nawet z tak liczną szajką belzebubów. A jak wynika z książki jego autorstwa „Egzorcyzm. Posługa miłości”, z łatwością sprostął również duchom Harry’ego Pottera. „Wejdziecie w przygodę z Harrym Potterem w wielu przypadkach kończy się opętaniem. Gdy kiedyś

Książka zawiera także opisy korespondencji esemesowej pomiędzy księdzem a diabłem. Szatan: „Stoję za tobą i zaczynam cię straszyć”. X: „Nie strasz, nie strasz”. Szatan: „Nie wierzysz? Zastukam trzy razy w drzwi”.

Deprywacja salcesonowa

Najmodniejszy obecnie więzień sumienia nade wszystko jednak znany jest dzięki stosowaniu niekonwencjonalnych i zarazem swojskich technik antydemonicznych. I trudno się dziwić.

Mec. Krzysztof Wąsowski, obrońca ks. Michała i rycerz zakonu Jana Pawła II, wędruje po mediach i opowiada o prześladowaniu swojego klienta, nie kryjąc, że to element strategii procesowej.

podczas egzorcyzmu wyganiałem duchy Harry’ego Pottera, zapytałem: dlaczego weszliście do serca tej osoby? Bo ta osoba oglądała i fascynowała się Harrym Potterem – odpowiadały. Powiedziały jeszcze: Jesteśmy duchami noszącymi insygnia śmierci, duchami Harry’ego Pottera”, przestrzegał miłośników prozy J.K. Rowling.



„Opętana kobieta miała w sobie duchy wegetarianizmu. Zapytałem więc, jaka jest przeszkoda do wyjścia, a duchy odpowiedziały: Nie nakarmisz jej mięsem. Wtedy poprosiłem księdza, który modlił się razem ze mną, żeby przyniósł kiełbasę, na co Zły zaczął wołać: Nie, tylko nie kiełbasa, nie waż się, ty klecho. A wtedy mi się przypomniało, że całkiem niedawno mieliśmy świniobicie, więc mamy też salceson, który jest jeszcze bardziej obrzydliwy dla wegetarian. Powiedziałem więc do księdza: Przynieś salceson, nie kiełbasę. Wtedy Zły zaczął krzyczeć: Nie, błagam, nie. I sam zwrócił się do tego kapłana: Słuchaj, proszę cię, bądź człowiekiem, nie idź po ten salceson. Ale on go nie posłuchał i zrobił to, o co prosiłem. Następnie rozkazałem duchowi jeść i po dwóch wepchanych na siłę kawałkach salcesonu duchy wegetarianizmu wyszły”, czytamy w „Egzorcyzmie...”.

Skoro kapłan podczas pobytu w areszcie schudł o 15 kg, oczywiście jest, że władze więzienia wykreśliły z jadłospisu salceson, albowiem tortura salcesonowa obok podtapiania oraz deprywacji snu jest najstraszliwszą i zarazem najskuteczniejszą metodą wydobywania zeznań i chętnie ją stosują wszelkie reżimy.

Tymczasem sercanie nie próżnują. Po apelu wzywającym do rozruchów

ulicznych opublikowali komunikat następującej treści: „Beneficjent to ktoś, kto coś zyskuje, dostaje coś dzięki czyjejś woli. Termin ten pochodzi z dawnych czasów, wywodzi się z łaciny. Beneficium to po polsku dobrodziejstwo. W ostatnich tygodniach słowo to jest przyklejone do księdza Michała Olszewskiego, który jest przedstawiany jako Michał O. – beneficjent Funduszu Sprawiedliwości, a dalej jest, że egzorcysta (czasami, że były) i że przeganiał demony salcesonem (mimo że nigdy salcesonem nie wyganiał żadnego demona). Gdzie jest prawda? Prawdą jest to, że powstaje Archipelag – wyspy wolne od przemocy. Innowacyjny, pierwszy w Polsce kompleksowy, całodobowy ośrodek pomocy ofiarom przestępstw różnego rodzaju. Prawdą jest, że buduje go be-

neficient Funduszu Sprawiedliwości, ale nie ksiądz Michał Olszewski, lecz Fundacja Profeto, której jest prezesem. Beneficjentem jest więc osoba prawna, a nie osoba fizyczna, w dodatku duchowna”.

Z kolei mec. Krzysztof Wąsowski, obrońca ks. Michała i rycerz zakonu Jana Pawła II, wędruje po mediach i opowiada o prześladowaniu swojego klienta, nie kryjąc, że to element strategii procesowej. „Jeden z polityków powiedział mi, żeby przeczytał »Quo vadis«. Przeczytałem. To jest historia ks. Olszewskiego. Jakby Sienkiewicz przewidział w 1896 r., co się wydarzy w 2024! Nie mamy samych Neronów, ale mamy mnóstwo Petroniuszów. Areszt ma na celu wydobycie zeznań, chodzi o to, żeby ksiądz zaczął mówić to, co prokuratura chce usłyszeć. A prokuratura chce usłyszeć bardzo dużo na polityków. Jestem przekonany, że następny zarzut to będzie udział w zorganizowanej grupie przestępczej. To jest komuna i »Quo vadis« w jednym. Co to byłoby za wrzawa, gdyby Piebiak sądził jakiegoś polityka z Platformy”, perorował na antenie Radia Warszawa. Pijąc do tego, że decyzję o uwięzieniu księdza podjął sędzia, który w 2012 r. był wiceministrem sprawiedliwości w rządzie Tuska.

Maciej Mikołajczyk

Z Galicji



Jan Widacki

Co ma polityka do historii?

Przede kilku laty ówczesny rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar uległ naciskom ze strony polityków PSL i złożył do Sądu Najwyższego kasację od wyroku Wincentego Witosza skazanego w procesie brzeskim. W procesie tym, odbywającym się w 1932 r., Wincenty Witos wraz z innymi przywódcami Centrolewu został skazany przez sąd okręgowy na karę więzienia. Wyrok ten utrzymał w mocy sąd apelacyjny, a Sąd Najwyższy oddalił kasację obrońców oskarżonych. Tym razem, w roku 2020, Sąd Najwyższy ochoczo przyjął kasację i w roku 2023, 23 maja... uniewinnił Wincentego Witosza. Działo się to 91 lat po zapadnięciu prawomocnego wyroku i 78 lat po śmierci oskarżonego.

W moim przekonaniu był to nie tylko prawniczo-historyczny nonsens, ale także niebezpieczny precedens. Aby nie było wątpliwości: osobiście uważam, że Wincenty Witos był wybitnym mężem stanu, człowiekiem o ogromnych zasługach dla Polski, skrzywdzonym przez sanację. O ile wiem, pogląd ten jest w polskiej historiografii powszechny i bez znaczenia dla tej oceny jest to, czy ciążył na Witosie wyrok procesu brzeskiego jest prawomocny, czy też został on po niemal 100 latach przez Sąd Najwyższy uchylony. Wyrok ten mógł mieć zaledwie znaczenie symboliczne. Ale nawet to znaczenie jest mocno wątpliwe. Nie wiem, jak wielu z 38 mln Polaków wie dzisiaj, kto to w ogóle był Witos, a spośród tych, którzy wiedzą, jaki procent ma świadomość, że ciążył na nim prawomocny wyrok z 1932 r. Dla tego wątpliwego efektu symbolicznego stworzono precedens o trudnych do przewidzenia konsekwencjach.

Warto w tym miejscu przypomnieć, że jesienią 1939 r. prezydent na uchodźstwie ogłosił amnestię dla Witosza i pozostałych skazanych w procesie brzeskim. Kwestią prawną jest, czy w stosunku do osoby objętej amnestią można składać kasację. Jak się ma kasacja do wcześniejszej amnestii? Problem nieco podobny do tego, czy można ufaskawić nieskazanego. Jak poważnie wygląda proces, a w nim ocena dowodów po prawie 100 latach? Mniejsza z tym. Ale jeśli uznajemy i urzędowo potwierdzamy, że Witos został skazany niewinnie, to tym samym rodzi się podejrzenie, że skazujące go sądy nie były niezależne, że działały pod naciskiem lub co najmniej na życzenie władzy wykonawczej. Witos zatem był ofiarą zbrodni sądowej. No to konsekwentnie trzeba by wszcząć

śledztwo w sprawie bezpośrednich sprawców tej zbrodni, a nadto ich inspiratorów (tu podejrzanym musiałby być marszałek Piłsudski). Po ustaleniu zaś, że wszyscy oni nie żyją, sprawę umorzyć.

W tego rodzaju śledztwach, jak wiadomo, specjalizuje się Instytut Pamięci Narodowej. Niewykluczone, że zarządzone by ekshumację Piłsudskiego w celu stwierdzenia, że marszałek w dalszym ciągu nie żyje, a w odniesieniu do bezpośrednich sprawców zbrodni sądowej być może wystarczyłaby opinia biegłych medyków sądowych (może z Lozanny, bo to ostatnio w polskich sądach modne), że jest nieprawdopodobne, by sędziowie orzekający w procesie brzeskim jeszcze żyli. Najmłodszy z nich musiałby bowiem liczyć sobie już dobrze ponad 125 lat. Coś, co przy ocenie postaci historycznej, jaką jest Wincenty Witos, było bez znaczenia, ośmieszyło tylko wymiar sprawiedliwości.

Mieszanie polityki i historii oraz próby rozstrzygania sporów historycznych w drodze procesów sądowych prowadzą do nonsensów i co najmniej obniżają autorytet i powagę państwa.

Kolejna sprawa: jak pogodzić wyrok uniewinniający Witosza z równoczesnym kultem marszałka Piłsudskiego, inspiratora zbrodni sądowej popełnionej na Witosie?

No i kolejne pytania. Jeśli stworzono taki precedens, że kasuje się wyroki sprzed prawie 100 lat, to czy nie powinno się złożyć kasacji także w innych procesach, w których wedle historii zapadły niesprawiedliwe wyroki? Na przykład wyrok skazujący Waleriana Łukasińskiego. Może zlecić IPN, szukającemu na siłę uzasadnienia dla swojego istnienia, przygotowanie listy niesłusznych wyroków na przestrzeni ostatniego tysiąclecia? Od skazania św. Stanisława począwszy? Może by konsekwentnie powołać Izbę Historyczną w Sądzie Najwyższym do rozpoznawania kasacji w takich sprawach?

Mieszanie polityki i historii oraz próby rozstrzygania sporów historycznych w drodze procesów sądowych prowadzą do nonsensów i co najmniej obniżają autorytet i powagę państwa. Ale bniemy dalej. Ostatnio wicepremier i minister obrony narodowej chce w zastępstwie historyków i muzealników decydować, co i jak ma być eksponowane w Muzeum II Wojny Światowej. Politycy, odczepcie się wreszcie od sądów i od... historyków. ■

WIELKIE POPRAWIANIE URODY

70% Polek i Polaków
nie jest zadowolonych z wyglądu

Agata Jankowska

– Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy żyli nawet 130 lat w zdrowiu i dobrej kondycji – ogłasza ze sceny chirurg plastyczny i współzałożyciel jednej z najbardziej luksusowych klinik świadczących usługi „medycyny stylu życia” podczas gali otwarcia. Zebrane na widowni osoby (głównie dojrzałe kobiety) przyjmują to bez oznak powątpiewania. Słychać szepoty i poruszenie. – Medycyna regeneracyjna, medycyna prewencyjna, holistyczna koncepcja planu zdrowia pozwolą zachować wam młodość na dekady. Wystarczy, że zainwestujecie w siebie – przekonuje głos ze sceny. Sypią się brawa.

To nie scena z filmu science fiction ani migawka ze szwajcarskiej kliniki, ale nadwiślańska rzeczywistość. Medycyna estetyczna w Polsce przestała być postrzegana jako luksus, na który stać jedynie celebrytów i milionerów. Wraz ze wzrostem popytu i rozwojem technologii w branży pojawiły się bowiem „opcje na każdą kieszeń”. Poprawianie urody zeszło pod strzechy.

Cechy społecznie pożądane

– Uwydatniając cielesne atrybuty uznawane za atrakcyjne, wysyłamy przekaz: „jesteśmy cenni”

– uważa dr Aleksandra Szymków-Sudziarska, profesor Uniwersytetu SWPS specjalizująca się w psychologii ewolucyjnej. Zaznacza, że w upiększaniu ciała nie ma niczego nowego. Pierwszy raz zaobserwowano to już 250 tys. lat temu u neandertalczyków, którzy podobno ozdabiali twarze czerwoną ochrą. *Homo sapiens* wykorzystywali do dekorowania siebie muszelki, orle szpony i pióra, starożytni Egipcjanie dbali o twarz, używając olejków, kremów i pudrów, zaś Rzymianie podkreślali urodę za pomocą fryzur i makijażu.

odwrotnie), co z ewolucyjnego punktu widzenia wiąże się z relatywnie krótkim okresem płodności kobiet.

Społecznych korzyści z bycia atrakcyjną jest więcej – takie osoby są postrzegane jako bardziej kompetentne, więcej zarabiające. Chętniej zawieramy z nimi przyjaźnie. – To niesprawiedliwe i pomimo kulturowego przekazu, że wygląd nie ma znaczenia, raczej nic w tym zakresie się nie zmienia – dodaje badaczka.

Nie powinno zatem dziwić, że najczęściej wykonywanym zabiegiem w polskich gabinetach kosmetycznych jest botoks, czyli toksyna

Jedynie co trzecia osoba decydująca się na zabiegi wymagające iniekcji preparatu medycznego wykonuje je u lekarza.

W Polsce brakuje regulacji, kto może świadczyć takie usługi.

Zdaniem dr Szymków-Sudziarskiej współcześnie jednym z powodów, dla których tak ochoczo sięgamy po coraz to nowe, bardziej wyszukane, ale też inwazyjne narzędzia „upiększania” wyglądu jest zasygnalizowanie pożądanych społecznie cech, np. statusu materialnego. Prywatny trener, dieta pudełkowa, wyjazdy jogowe na Bali to komunikat, że stać nas na dbanie o zdrowie. A obok zdrowia najbardziej pożądaną jest młodość. Szczególnie ceniona przez mężczyzn u kobiet (a nie

botulinowa. Jej wstrzyknięcie powoduje zmniejszenie i wypłylenie zmarszczek poprzecznych czoła, kurzych łapek przy oczach i łwiej zmarszczki między brwiami. Na drugim miejscu plasuje się mezoterapia igłowa, czyli aplikacja mikronakłucia koktajlu hialuronowego w celu przywrócenia młodzieńczej cery. Podium zamyka zabieg powiększania ust kwasem hialuronowym. Pełne wargi (przynajmniej w teorii) mają przywrócić wspomnienie jędrnych ust charakterystycznych dla nastolatków.



Chirurdzy plastyczni z kolei najczęściej wykonują operacje nosa, nie tylko ze względów estetycznych, ale także funkcjonalnych, bo krzywa przegroda może realnie utrudniać oddychanie. Zaraz potem są operacje piersi – powiększenie i podniesienie. Trzecia jest plastyka brzucha, połączona czasem z liposukcją ud. I po udach twarz – plastyka górnych i dolnych powiek lub coraz bardziej popularny lifting owalu.

Co nami kieruje? Jak wynika z najnowszego raportu „Etyka i przyszłość medycyny estetycznej” przygotowanego przez Instytut Badawczy Kantar Public, zdecydowana większość (69%) zwyczajnie nie jest zadowolona ze swojego wyglądu, stąd chęć „poprawienia urody i niedoskonałości ciała”. 11% w ten sposób walczy z procesami starzenia, a 4% traktuje regularne wizyty w gabinetach jako element – tu powtarza się formułka jak z występu – „holistycznego dbania o siebie”.

Medyków niepokoją inne liczby. Jedynie co trzecia osoba decydująca się na zabiegi wymagające iniekcji preparatu medycznego wykonuje je

w lekarza. W Polsce nie ma regulacji precyzujących, kto może świadczyć usługi medycyny estetyczno-naprawczej. Od dawna Ministerstwo Zdrowia stoi na stanowisku, że kosmetolodzy wstrzykujący botoks, stosujący osoczce bogatopłytkowe czy nici liftingujące przekraczają granice prawa, ale na razie przepisy nie nadążają za rzeczywistością. Szukając oszczędności, mniej zażamowani klienci decydują się na tańsze usługi, świadczone przez osoby po kursie kosmetologii lub przez lekarzy innych specjalizacji, którzy skuszeni chęcią szybkiego zysku dorabiają sobie na boku. Co gorsza, głównym źródłem wiedzy na temat zaleceń, przebiegu zabiegów i powikłań u pacjentów są nie specjaliści, ale portale internetowe (57%) i media społecznościowe (41%).

– Regularne korzystanie z social mediów to najsilniejsza zmienna, jaką obserwujemy, wyjaśniająca zwiększony popyt na poprawianie urody – potwierdza dr Szymków-Sudziarska. I tłumaczy: – Ważną motywacją upiększania ciała jest rywalizacja wewnątrzpłciowa, czyli jak naszym

zdaniem wypadamy na tle innych. Media społecznościowe sprawiają, że jesteśmy permanentnie konfrontowani z atrakcyjnymi wizerunkami innych przedstawicieli naszej płci, co automatycznie uruchamia procesy porównywania się. Użytkownik codziennie dokonuje tylu porównań, ilu nasi przodkowie dokonywali najpewniej przez całe nasze życie.

Jak mówi psycholożka, szczególnie destrukcyjnie działa to na kobiety, które rywalizują na poziomie atrakcyjności fizycznej. Kiedy obserwuje się obrobione zdjęcia, z filtrem, lansujące trendy i kanony nieosiągalne dla przeciętnych osób, frustracja rośnie, a pewność siebie spada. Obniża to nastrój, powoduje bezsenność, zwiększa ryzyko zaburzeń lękowych i depresji. Słowem, żyje nam się od tego gorzej.

Tę konstatację potwierdza przeprowadzone w 93 krajach badanie omówione na łamach czasopisma „Evolution and Human Behavior”. Z raportu, którego współautorką jest Marta Kowal, wrocławska psycholożka i badaczka zagadnień związanych z młodością, jasno wynika, że ▶

media społecznościowe wypychają nas w koleiny porównywania się z innymi. Ponadto oferują wiedzę na temat aktualnych produktów, technologii i procedur kosmetycznych na zasadzie tzw. polecajek. Ci, którzy spędzali najwięcej czasu w mediach społecznościowych, poświęcali też średnio dwie godziny więcej dziennie na poprawę swojego wyglądu. Więcej czasu w gabinetach i przed lustrem spędzały osoby, które uważały się za bardziej atrakcyjne, miały gorsze wykształcenie, ale wyższy status socjoekonomiczny, oraz bardziej prawicowe poglądy polityczne. Nie stwierdzono związku pomiędzy

styków od 22 tys. do 27 tys. zł, ale już w nierenomowanych gabinetach 11-15 tys. Porcelanowe licówki kosztują od 750 zł do 1,5 tys. za ząb, kompozytowe mniej, 250-350 zł. Z kolei przeszczep włosów to wydatek rzędu 30-70 tys. zł. W Polsce, bo w Turcji cztery razy taniej.

Wartość tzw. rynku wellness i beauty, czyli zabiegów kosmetycznych i usług medycyny estetycznej rośnie w zaskakującym tempie i Polska nie odbiega tu od świata. Jeszcze dekadę temu eksperci szacowali ten rynek na niespełna 3 mld dol., ale w 2022 r. osiągnął on rekordową wartość 112 mld dol. Prognozy

wyglądu została ustawiona wysoko. Minęły czasy, gdy mężczyzna miał być tylko trochę ładniejszy od diabła. Wypielegnowane paznokcie, nawilżona cera i perłowy uśmiech u panów to dziś basic higieny osobistej. – Nikogo nie oceniamy. Chcieliśmy odpowiedzieć na pytanie, co Polki i Polaków skłania do poprawienia swojego ciała lub twarzy – mówi Magda Mieśnik, która na własnej skórze przekonała się, że zabieg plastyczny może odmienić życie. – Jako dziecko miałam odstające uszy. W szkole mi doku czano i nabawiłam się kompleksów, byłam zahukana, wystraszona, wycofana – opowiada. – Gdy tylko osiągnęłam pełnoletność, poddałam się korekcie. Nadal trudno mi o tym mówić. Głos mi drży na wspomnienie tego, co przeżyłam.

– Gdy dorastałam, Instagram jeszcze nie był tak popularny jak teraz, a i tak nabawiłam się kompleksów, gdy oglądałam te wszystkie piękne kobiety. Kanony piękna w mediach społecznościowych są tak wyśrubowane, że osoby mniej pewne siebie przestają się akceptować. (...) Sami wpędzamy się w kompleksy. Tak było ze mną. Chciałam poczuć się lepiej, dlatego zdecydowałam się coś poprawić – tłumaczy w książce Mieśników Agata Fąk, czyli „Fagata”, jedna z najpopularniejszych influencerów młodego pokolenia (prawie 3 mln obserwujących na TikToku, niecałe 2 mln na Instagramie). Jej filmik na YouTube nagrywany tuż po przeprowadzeniu jednej z najniebezpieczniejszych operacji plastycznych na świecie, czyli BBL (brazylijskiego liftingu pośladków), obejrzało ponad 400 tys. osób. – Odessano mi tłuszcz z podbródka, pleców, brzucha i wewnętrznej strony ud, a potem wstrzyknięto go w pośladki – relacjonuje opuchnięta i obolała dziewczyna, nie szczędząc opisów, jak pluje krwią, nie może utworzyć opuchniętych powiek i jak bardzo bołą blizny. Mimo to nie żałuje. – Pomyślałam o sobie, że jestem bardzo smukła i wyglądam jak sportowe auto – podsumowała efekty. Pytana o zarzuty, że promuje wśród młodych dziewczyn niebezpieczne trendy i lansuje nieosiągalne kanony

Nie tylko kobiety masowo poprawiają wygląd. Mężczyźni w ostatnich latach upodobili sobie Turcję, która stała się imperium przeszczepu włosów.

czasem spędzanym na poprawie atrakcyjności a produktem krajowym brutto na mieszkańca danego kraju.

Tabu obalone

– Jeszcze 10-15 lat temu pacjentka, która przychodziła na wizytę, zachowywała się, jakby była w konspiracji. Dopytywała, czy będzie widać, że coś sobie poprawiła, chciała dokładnie wiedzieć, po jakim czasie zaplanować powrót do pracy, by nikt nic nie zauważył. Dzisiaj ludzie rozmawiają o tym otwarcie, część nawet chwali się w mediach społecznościowych – ocenia dr Tomasz Dębski, chirurg plastyczny związany z Oddziałem Klinicznym Chirurgii Plastycznej w Szpitalu im. prof. W. Orłowskiego w Warszawie i założyciel własnej kliniki. A ceny? – Kiedyś to był „towar luksusowy”, nie każdy miał do niego dostęp. Teraz zarabiamy więcej, a ci, których nie stać od razu na zabieg, odłożą na niego w ciągu kilku lat lub wezmą pożyczkę – odpowiada w wywiadzie zamieszczonym w książce Magdy i Piotra Mieśników „Poprawione. Jak operacje plastyczne zmieniają Polaków” (wydawnictwo Muza).

O jakich kwotach mowa? Powiększenie ust to od 400 zł do 1,5 tys. zł, a piersi u znanych chirurgów pla-

wskazują, że do roku 2030 przychód będzie się powiększał średnio o 14% rocznie (raport firmy Grand View Research).

Znaczący udział w tym wzroście mają i Polacy, którzy w ostatnich latach pokochali nabrzmiałe usta, sztuczne piersi, rzęsy z nerek i przeszczepione czupryny w miejsce ty siejących placków. Na ile wiadomo, z usług chirurgów plastycznych i kosmologów korzysta w naszym kraju ok. 600 tys. osób, specjaliści twierdzą jednak, że to niedoszacowana liczba. Nie sposób bowiem policzyć wszystkich gabinetów, w których wykonywany jest botoks, lifting czy wszczepianie odmładzających „złotych nici”.

Autorów reportażu „Poprawione”, małżeństwo Magdy i Piotra Mieśników, do napisania książki skłoniła nie tylko moda na poprawianie urody, ale także osobista refleksja. Zaobserwowali, że jeszcze kilka lat temu dziewczyna z poprawionym biustem czy nienaturalnie dużymi, rybimi ustami jest botoksała sensację wśród znajomych lub w pracy. Wszyscy gapili się i teatralnie szeptali. Dziś jest odwrotnie – jeśli na imprezie pojawi się szara myszka bez gęstego wachlarza rzęs, to się o niej plotkuje. Również poprzeczka dotycząca męskiego



piękna, odpowiada, że „ze swoimi fanami chce być po prostu szczerą”.

Syndrom narcyza

Wbrew stereotypom nie tylko kobiety masowo poprawiają wygląd. Mężczyźni w ostatnich latach szczególnie upodobali sobie Turcję, która stała się imperium przeszczepu włosów. Także Polacy coraz częściej korzystają z „operacyjnych wakacji”, kuszeni przez tiktokerów ofertą turystyki wellness. Obejmuje ona kompleksowe pakiety, w ramach których pacjenci mają zagwarantowane wizyty w różnych klinikach – od zrobienia „tureckich zębów”, czyli inaczej „hollywoodzkiego uśmiechu”, po modelowanie i pogrubianie penisa. W cenie takiej wycieczki bywa lot, zakwaterowanie w luksusowej willi, transport limuzyną z ciemnymi szybami, wyżywienie oraz atrakcje turystyczne. Każdego dnia w Stambule wykonuje się ok. 2 tys. zabiegów medycyny estetycznej. Tureckie Ministerstwo Zdrowia ogłosiło, że w tym roku spodziewa się napływu 2 mln turystów medycznych i liczy na uzyskanie z tego sektora przychodu w wysokości 20 mld dol.

Niedawno w literaturze fachowej opisano syndrom SIMON, czyli *single, immature, male, overly expectant and narcissistic* (samotny, niedojrzały mężczyzna z nadmiernymi oczekiwaniami i narcystyczny). Dotyczy on 30-latków, którzy są przewrażliwieni

na punkcie swojego wyglądu. Zazwyczaj chcą operować powieki, pozbyć się łysiny, uwydatnić sześciopak na brzuchu, a nawet wszczepić implanty tydek, bo uważają, że to pomoże im w karierze lub sprawi, że zdobędą kobietę w ich mniemaniu z wyższej półki. To trudni pacjenci. Doszukują się wad, których nie ma.

Uporczywe natręctwa

Co, jeśli wciąż ulepszamy ciało, podczas gdy problem tkwi nie w nich, lecz w podsycanym przez trendy w social mediach poczuciu niedoskonałości? Zdarza się przecież, że pacjenci szukają w chirurgii

Kansas School of Medicine ustalili, że z tysiąca pacjentów poszukujących zmiany wyglądu w wyniku zabiegów chirurgii plastycznej aż 44% ma lub miało w przeszłości zaburzenia psychiczne. Najczęstsze były depresja (prawie 51%) i zaburzenie lękowe (niemal 33%).

Na ten problem zwraca też uwagę dr Michał Feldman, psychiatra specjalizujący się w leczeniu chorób zaburzonego obrazu ciała. Coraz częściej do jego gabinetu zgłaszają się osoby, którym operacje plastyczne nie tylko w niczym nie pomogły, ale jeszcze pogorszyły czy wręcz zrujnowały zdrowie psychiczne. – Według niektórych szacunków nawet 30% pacjentów zgłaszających się do chirurgów plastycznych ma cechy umożliwiające rozpoznanie dysmorfofobii (Body Dysmorphic Disorder), czyli uporczywego i natrętnego przekonania o nieestetycznej budowie własnego ciała – tłumaczy lekarz. To demokratyczna choroba, bo dotyczy po równo kobiety i mężczyzn, a nieleczona jest chorobą śmiertelną – co czwarty cierpiący podejmuje próby samobójcze. To najwyższy odsetek wśród chorób psychicznych, porównywalny z chorobą afektywną dwubiegunową i znacznie wyższy niż w depresji.

Dlatego specjaliści są zgodni – przed podjęciem decyzji o poprawie wyglądu, zwłaszcza o ingerencji chirurgicznej, zamiast w lustro spojrzmy

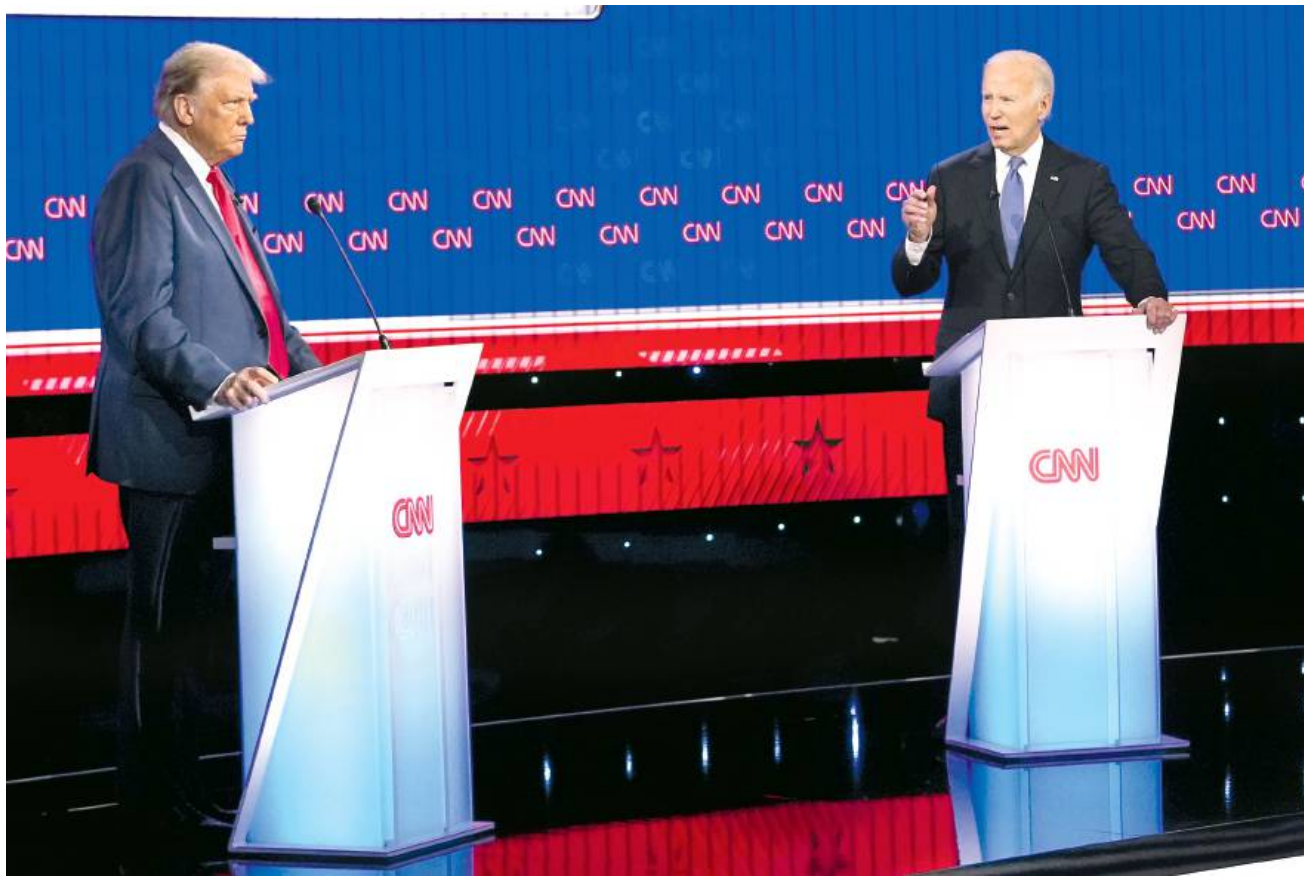
Aż 44% z tysiąca pacjentów, którzy chcą zmienić wygląd w wyniku zabiegów chirurgii plastycznej, ma lub miało zaburzenia psychiczne.

plastycznej sposobu na rozwiązanie swoich problemów psychicznych, zamiast zwrócić się do psychoterapeuty lub psychiatry.

Z badań psycholożki klinicznej Alex Clarke ze szpitala Royal Free w Londynie wynika, że co siódma osoba decydująca się na operację plastyczną cierpi na zaburzenia psychiczne, a lekarze nie dokładają należytych starań, by w porę wychwycić chorobę i odradzić operację. Amerykańscy naukowcy dr Benjamin Jang i dr Dhaval R. Bhavsar z University of

w głąb siebie. – Przemyślmy ryzyko, nie dajmy się zwieść filmikom z TikToka – radzi Magda Mieśnik, podkreślając, by zawsze szukać dobrej kliniki i sprawdzonych lekarzy. Aleksandra Szymków-Sudziarska dodaje z kolei: – Od najmłodszych lat warto inwestować w siebie. A dokładniej w budowanie własnej wartości. Pewność siebie i dobre samopoczucie we własnej skórze mogą dać nam więcej szczęścia niż większe piersi lub wyrzeźbiony brzuch.

Agata Jankowska



Biden albo **nikt?**

Czy jeden występ w debacie pogroźa prezydenta?

Jakub Dymek

Powiedzieć, że pierwsza z cyklu amerykańskich debat przedwyborczych wywołała burzę, to nic nie powiedzieć. Jednak wbrew nadziejom obozu prezydenckiego burza ta nie dotyczyła skandalicznych wypowiedzi Donalda Trumpa czy celnych ripost urzędującego prezydenta. Wręcz przeciwnie. Ledwo upłynął czas przewidziany na konfrontację kandydatów, internet i największe media USA porwała kolejna burza, tym razem wezwała, aby prezydent zrezygnował z wyścigu. Lub chociaż – w imię Boga, patriotyzmu, republiki i wszystkiego, co dobre – to rozważyć. Nietrudno zgadnąć dlaczego.

Obrazki, które popłynęły w świat i zdominowały późniejszą dyskusję,

to Biden, który bełkocze, patrzy pusto w przestrzeń albo miesza słowa i gubi wątek. On nie tylko miał problem z retorycznym wykończeniem Trumpa. Nierzadko miał wręcz problem ze skończeniem zdania. W jednym z momentów, które zostaną zapamiętane na długo, konkurent Bidena, zamiast go kontrować i atakować, przyznał po prostu, że „nie wie, o czym on mówi”. I dodał, że urzędujący prezydent „pewnie sam nie wie”.

Na tle tych zdjęć i klipów, które zalały sieć, merytoryczna strona sporu została zepchnięta do roli detalu. Pytania o to, który kandydat lepiej zaprezentował swój program i osiągnięcia lub ile razy mijają się z prawdą, zajmowały ledwie ułamek uwagi komentatorów, tak bardzo pochłonięto ich roztrząsanie stanu

zdrowia i kondycji Bidena. Czy to sprawiedliwe i uczciwe – pewnie nie. Czy zrozumiałe – niestety tak. Kampania wyborcza ma wszak wyłonić nie kandydata najbardziej szczerego i uczciwego, ale takiego, który udźwignie ciężar prezydentury. Paradoksalnie wobec coraz trudniejszych do ukrycia problemów Bidena to właśnie Trump jawi się rosnącej liczbie Amerykanów jako bardziej godny zaufania.

Historia, która rozgrywa się na naszych oczach, nie dotyczy jednak samego wieku Bidena i jednej (jak na razie) debaty. To również opowieść o wadach amerykańskiego systemu wyborczego, chwiejności opinii publicznej i medialnych manipulacjach, a także uporze prezydenta i jego partii.

Co było na szczycie G7

Dlaczego w ogóle do debaty doszło tak wcześniej? Wybory odbędą się przecież w listopadzie, a najgorętszy okres kampanii dopiero przed nami. Obóz prezydenta liczył – błędnie, jak się okazało – że dzięki takiemu terminowi możliwa będzie „ucieczka do przodu”. To znaczy, że odpowiednio wczesny i dobry występ pozwoli osiągnąć dwie rzeczy. Po pierwsze, znów skoncentruje uwagę szerokiej

przeciwnikiem nie jest najlepszym pomysłem? A zaznaczmy, że gospodarze, czyli stacja CNN, i tak zdecydowali się na format, w którym możliwość przerywania sobie nawzajem i wymiany ciosów między kandydatami została ograniczona do minimum.

Tu zrobmy krok wstecz. Oczywiście, że prezydent USA ma prawo cierpieć na dolegliwości związane z wiekiem. Ma 81 lat, przez dwie kadencje był wiceprezydentem, politykiem jest całe swoje zawodowe życie

– to z pewnością odbiło się na jego kondycji. Całkowicie zrozumiałe jest, że mogą mu się mylić daty i nazwiska

czy zdarzać przejęzyczenia. Do tego o ból głowy przyprawia go dorosły, choć niekoniecznie dojrzały syn Hunter, który wkrótce zostanie skazany za nielegalne posiadanie broni. Jednak dziś inna obawa bierze górę, jeśli chodzi o prezydenckie zdrowie. Nie ta, że Biden posunął się w latach. Raczej, że coś niedobrego dzieje się z jego kondycją, od kiedy objął prezydenturę w 2020 r. I że – z czymkolwiek się mierzy – jego stan wyraźnie pogarsza się od kilku tygodni. Po debacie „New York Times” opublikował obszerny artykuł zbierający relacje na temat zdrowia i formy Bidena. Najbardziej uderzająca była ta z niedawnego szczytu G7. Tam, według informacji gazety, światowi liderzy mieli właściwie prowadzić Bidena pod rękę i dostownie własnym ciałem zastraszanie go przed kamerami. Gdy prezydent dostawał zadyszki, Meloni, Sunak, Scholtz i inni otaczali go kółeczkiem, udając, że o czymś rozmawiają, by taki widok nie poszedł w świat. Inni rozmówcy „New York Timesa” dodają od siebie, że okazji, przy których prezydent zapomina nazwisk, nie potrafi utrzymać uwagi albo patrzy pustym wzrokiem w przestrzeń, w ostatnich tygodniach przybywa.

Uparty i do bólu lojalny

Sztabowcy Partii Demokratycznej musieli o tym wiedzieć, podobnie jak najbliższe otoczenie prezydenta. Niezwykle wymagający kalendarz Bidena, w którym nie brakowało spotkań

po obu stronach Atlantyku i wielogodzinnych lotów, również nie był tajemnicą. Oznaki wycieńczenia były oczywiste, skoro sami ludzie Bidena kazali mu udać się na odpoczynek i zaplanowali czas na drzemki w ciągu dnia w tygodniach poprzedzających debatę. Ale skoro wiedzieli, dlaczego dopuścili do występu niedysponowanego Bidena? To pytanie, które już wraca w tuzinach tekstów, vlogów i analiz. Koncepcje – podobnie jak powody do debaty – są dwie.

Pierwsza mówi, że to celowe działanie. Wszyscy mają świadomość słabej kondycji Bidena, więc konsensus w partyjnych elitach podpowiada, by szybko wyciągnąć ten problem i się z nim zmierzyć. Skompromitowanie Bidena teraz może pomóc wyłonić jakąś nową kandydaturę, póki jeszcze czas. Do tego sam prezydent – ogłuszony burzą wezwań do ustąpienia – tylko w ten sposób da się przekonać do puszczenia sterów kampanii i rezygnacji z wizji reelekcji. To teoria spiskowa.

Druga, bardziej przyziemna, mówi coś przeciwnego. Prezydent wierzy, że wyłącznie on może pokonać Trumpa. Decyzja o kandydowaniu zapadła już dawno i dopóki Bidena w tej sprawie wspiera najbliższa rodzina, niewiele może się zmienić. Kampania prowadzona jest więc niejako na autopilocie. Partia Demokratyczna zdaje się wierzyć, że jeśli do jesieni sytuacja gospodarcza będzie się poprawiać, Biden wygra siłą rozpędu. A tematy, które wywołują ogromną polaryzację – wojna w Gazie i pacyfikacja studenckich protestów, kwestia dozbierania Ukrainy, dyskusje na temat wieku prezydenta – w zgodzie ze świętymi prawami cyklu medialnego umrą do dnia wyborów. I choć z tych dwóch wyjaśnień dużo bardziej ekscytujące jest pierwsze, rozum każe zając się przede wszystkim drugim. Bo zgodnie z zasadą tzw. brzytwy Hanlona nie ma co doszukiwać się zmywy tam, gdzie równie dobrze można znaleźć głupotę.

To prawda, że Joe Biden jest uparty i wręcz do bólu lojalny. Powiedzenie „do bólu” jest bardzo na miejscu. Prezydent USA, a wcześniej wiceprezydent i wpływowy przewodniczący senackiej komisji ds. zagranicznych, ▶

Prezydent jest uparty. Wierzy, że tylko on może pokonać Trumpa.

opinii publicznej na wadach Trumpa i jego „nieprezydenckości”. To z punktu widzenia zaplecza Bidena wygodny temat. Po drugie, nawet lekka sondażowa premia pomogłaby sztabowi prezydenta odzyskać dla niego status faworyta, którego wciąż nie chcą przyznać mu wyniki dotychczas przeprowadzonych badań.

„Dziesiątki milionów dolarów wydane na reklamy nie pomogły zasympać sondażowej dziury. Proces kryminalny Donalda Trumpa nie zmienił kursu tej kampanii. Przewaga finansowa i lepsze zaplecze Bidena dalej nie przynoszą spodziewanych zwrotów”, pisał ponad miesiąc przed debatą „New York Times”. Starcie twarzą w twarz miało to zmienić i przypomnieć Amerykanom, o co toczy się bój. Na to przynajmniej liczyli sztabowcy Bidena.

Przeliczyli się. Znaki ostrzegawcze były jednak widoczne nawet dla postronnych obserwatorów. Już w spocie wyborczym, w którym Biden zapraszał Trumpa na debatę i demonstrował gotowość do starcia, prezydent mówił niewyraźnie i nienaturalnie. Co uważniejsi i złośliwsi dopatrzyli się też, że trwający zaledwie kilkanaście sekund filmik jest efektem wielu montażowych cięć. Pojawiło się zatem pytanie, jak prezydent może wypaść na żywo, skoro potrzebuje aż tylu dubli, by wygłosić kilka zdań bez większych potknięć? Jeśli prezydent ma problem z samodzielnym nagraniem krótkiej wypowiedzi, to może debata z głośnym i agresywnym

► gdy raz za kimś stanie, zdania łatwo nie zmieni. I z powodu lojalności gotów jest bronić złej czy przegranej sprawy. Przykładów można by podać wiele. Dość jednak spojrzeć, jak uparcie Biden nie porzuca takich ludzi jak premier Izraela, jego własna wiceprezydentka i wywołujący kolejne afery syn. Rzecz jasna, więzi łączące prezydenta z tą trójką są bardzo różne, tym lepiej widać, że zostanie ostatni na pokładzie tonącego statku, nie odwróci się od swoich. To cecha godna podziwu u człowieka, ale u prezydenta światowego

piszą swoich przemówień, to zdanie wygląda na szczere słowa samego prezydenta.

Czy Biden rozważa rezygnację?

Problem nie byłby tak palący, gdyby sama Partia Demokratyczna nie stworzyła warunków do pożaru. „Jeśli demokraci i amerykański establishment wierzą, że wygrana Trumpa będzie końcem amerykańskiej demokracji (a tak mówią), a zarazem wierzą, że jego wygrana jest coraz bardziej nieuchronna, to czy nie powinni

II wojnie światowej. Kwestia ewentualnej sukcesji to jednak problem, który demokraci postanowili sami ściągnąć sobie na głowę. W partii szybko podjęto decyzję, że poważnych prawyborów nie będzie. Nikt też nie naciskał wystarczająco na wymianę wiceprezydenta. Nie promowano równoległe innych nazwisk i rozpoznawalnych twarzy – tak jak przez lata po stronie republikańskiej walczył o to gubernator Florydy Ron DeSantis. Co więcej, Biały Dom i demokraci uparcie zaprzeczali wszelkim doniesieniom o złej kondycji prezydenta.

Nagrania pomyłek i lapsusów deprecjonowali jako fake newsy, a nawet wytworzyli złośliwych rosyjskich trolli i sztucznej inteligencji. Jednak sondaże pokazujące, że większość wyborców oce-

nia Trumpa jako bardziej sprawnego i odpornego na stres, nie kłamały.

Czy w teorii partia może porzucić ten kurs i zmienić kandydata? W teorii oczywiście tak. Elektorów na konwencji (która odbędzie się w tym roku w trzecim tygodniu sierpnia w Chicago) nic nie wiąże. Mogą nie poprzeć Bidena, „złamać” konwencję i w trakcie najważniejszego wydarzenia dla demokratów de facto wybrać nowego kandydata. Tylko że to będzie

Kamala Harris, wiceprezydentka u boku Bidena, właściwie od samego początku urzędowania zawodzi pokładane w niej nadzieje.

moć państwa może się przerodzić w ogromne obciążenie.

Kamala Harris, wiceprezydentka u boku Bidena, właściwie od samego początku urzędowania zawodzi pokładane w niej nadzieje. Także ze względu na to, że Amerykanie nie chcieliby jej powierzyć steru rządów (chociaż oczywiście nie jest to najważniejszy powód), Biden startuje ponownie. A przecież początkowo sugerował, że będzie urzędować tylko jedną kadencję, by „przekazać stery kolejnej generacji”. Dziś tym tonącym statkiem jest kampania Bidena, a on sam nie chce porzucić przekonania, że ponownie wygra z Trumpem.

Biden odrzuca też głosy krytyków i malkontentów, bo wielokrotnie dowiódł, że potrafi osiągnąć coś na przekór. Z perspektywy wiekowego polityka protesty studenckie czy medialna wrzawa to zaledwie drobne zmarszczki na tafli wody, on zaś musi wskoczyć na falę i przepłynąć ocean. Po co przejmować się awanturą, która trwa trzy dni albo tygodnie, gdy mam za sobą ponad pięć dekad w polityce i wszystko już widziałem? – być może powtarza sobie w duchu lokator Białego Domu. Dzień po fatalnej debacie ogłaszał na wiecu, że choć „nie mówi już ani nie debatuje tak sprawnie jak kiedyś, wciąż wie, co jest ważne i jak wygrywać”. I mimo że kandydaci sami nie

domagać się wszelkich działań, które pomogą uchronić ich ojczyznę przed stoczeniem się w faszyzm? Na przykład: usunięcia kandydata, który przegrywa w sondażach z Trumpem (tak się składa, że jest to aktualnie urzędujący prezydent), i zastąpienia go kimś innym?”, pytałem w jednym z tekstów jeszcze w styczniu tego roku. Już wtedy było wiadomo, że prezydent staje się zakładnikiem cudzych wojen, cudzego kalendarza i cudzych

Biden wchodzi w ostatni rok kadencji z notowaniami najgorszymi ze wszystkich prezydentów po II wojnie światowej.

decyzji. Niezależnie od realnych chęci brak zdolności Bidena do przełamania impasu w sprawie wojny w Gazie i rozwiązania problemu cen benzyny, inflacji konsumenckiej czy presji migracyjnej na amerykańskie granice pokazywał go jako polityka, od którego zależy coraz mniej. Paradoksalnie decyzja, która zależy wyłącznie od niego, czyli ta o kandydowaniu, stała się dla Bidena priorytetem – i jedną z niewielu dziedzin, w których może on pokazać sprawczość.

Od stycznia sytuacja Bidena i obozu demokratycznego nie poprawiła się znacząco. W ostatni rok kadencji Biden wchodzi z notowaniami najgorszymi ze wszystkich prezydentów po

II wojnie światowej. Kwestia ewentualnej sukcesji to jednak problem, który demokraci postanowili sami ściągnąć sobie na głowę. W partii szybko podjęto decyzję, że poważnych prawyborów nie będzie. Nikt też nie naciskał wystarczająco na wymianę wiceprezydenta. Nie promowano równoległe innych nazwisk i rozpoznawalnych twarzy – tak jak przez lata po stronie republikańskiej walczył o to gubernator Florydy Ron DeSantis. Co więcej, Biały Dom i demokraci uparcie zaprzeczali wszelkim doniesieniom o złej kondycji prezydenta.

Jakub Dymek
j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

Izrael jest demokracją. Słabą, etniczną, ale demokracją

Rozmawia Jakub Katulski

Niektórzy są zaskoczeni, że palestyńscy obywatele Izraela nie przyłączyli się do demonstracji przeciwko izraelskim żołnierzom i państwu, tak jak demonstrowali w 2021 r. Czy dla pana to też zaskoczenie?

– Nie, wcale mnie to nie zdziwiło, ponieważ od dziesięcioleci śledzę arabskie poglądy i zachowanie, a Arabowie w Izraelu nigdy naprawdę się nie zbuntowali. Zdarzyło im się to trzy razy na niewielką skalę, ale, ogólnie rzecz biorąc, nie ma prawdziwej przemocy między Arabami a Żydami w Izraelu. Mówię o arabskich obywatelach Izraela.

Jest wiele przemocy między Izraelczykami i Palestyńczykami po drugiej stronie Zielonej Linii. Ale oczywiście nie rozmawiamy teraz o tym. Arabowie w Izraelu milczą z wielu powodów. Bardzo ważne są powody negatywne. Jednym z nich jest pamięć o Nakbie. Nakba oznacza katastrofę, której doświadczyli w 1948 r., kiedy walczyli przeciwko ustanowieniu Izraela, a następnie przegrali, stając się uchodźcami i nie ustanawiając własnego państwa. To była wielka tragedia dla narodu palestyńskiego. Arabowie w Izraelu pamiętają o tym nawet w czwartym pokoleniu. Czują, że jeśli wystąpią przeciwko Izraelowi jako państwu lub przeciwko Żydom, państwo nie zawaha się i zareaguje zdecydowanie. **Żydzi również są nieufni wobec ludności arabskiej w Izraelu i prawdo-**



SAMMY SMOOHA

– emerytowany profesor socjologii
Uniwersytetu w Hajfie

podobnie obawiają się możliwego buntu.

– Tak, obawiają się. Nie tylko ludność żydowska, ale także państwo, rząd i instytucje. I to jest drugi czynnik strachu. Izraelskie służby specjalne mają wydział ds. Arabów w Izraelu. Śledzą, co oni piszą, co robią, czy nie planują aktów terroryzmu. Arabowie doskonale wiedzą, że jeśli spróbują zrobić coś przeciwko państwu, zostaną znalezieni i ukarani. Jest to więc kolejny czynnik, który ich powstrzymuje.

Ale są też czynniki pozytywne, bo otrzymują oni wiele nagród od Izraela, mimo że są dyskryminowani, wykluczani itd. Jeśli się zbuntują, stracą wszystkie korzyści z bycia częścią demokracji. Dzisiaj mogą głosić, poruszać się po kraju, bo są obywatelami. Mają prawo do pracy, ubezpieczenia zdrowotne, wolność słowa. Mogą się organizować i są zorganizowani w arabskich partiach

politycznych, mogą demonstrować. Są również częścią systemu państwa opiekuńczego i są od niego zależni, ponieważ większość z nich należy do niższych klas społecznych. Pobierają więcej zasiłków i świadczeń od państwa, niż płacą podatków.

Mają też prawa wyborowe, co jest dla nich bardzo ważnym aspektem. Uznawani są przez państwo jako odrębna mniejszość kulturowa, językowa i religijna, choć państwo nie uznaje ich palestyńskiej tożsamości narodowej. Mają także odrębne instytucje, takie jak szkoły arabskie, w pełni finansowane przez państwo. Ponieważ nie chcą się asymilować, chcą zachować swoją odrębną tożsamość, jest to dla nich bardzo ważne. Izrael to nie Turcja, która nie uznaje mniejszości kurdyjskiej i próbuje zasymilować Kurdów. Izrael nie chce Arabów asymilować, więc daje im nagrody, takie jak zwolnienie ze służby wojskowej.

Ale czy to faktycznie nagroda? Czy jest to nagroda dla Arabów, czy może dla ludności żydowskiej lub państwa, ponieważ służba wojskowa w Izraelu bywa narzędziem wypełniania luk między klasami społecznymi, Żydami o różnym pochodzeniu?

– Powiedziałbym, że to przywilej. Kiedy żydowski chłopiec idzie do wojska, traci wszelkie dochody, które mógłby zarobić w ciągu trzech lat. Potencjalnie poświęca też swoje życie, bo może walczyć i zginąć.

Arabowie są tu uprzywilejowani, a rząd zdecydował się dać im ten przywilej, ponieważ podejrzewa ich o nielojalność. I nie chce stawiać ich przed dylematem: być czy nie być lojalnym.

Mówi pan również, że wielu arabskich obywateli Izraela, może nawet większość, identyfikuje się jako Palestyńczycy. Wiemy, że mają rodziny na Zachodnim Brzegu i w Strefie

Sammy Smootha – urodził się w 1941 r. w Bagdadzie. Zajmuje się badaniami porównawczymi relacji etnicznych, podziałami w izraelskim społeczeństwie. Jest autorem konceptu demokracji etnicznej, krytycznie opisującego stosunek Izraela do mniejszości narodowych i etnicznych. Rozmowa została przeprowadzona podczas konferencji Europejskiego Stowarzyszenia Badań nad Izraelem w Pradze 3 lipca 2024 r.

► **Gazy, łączy ich pokrewieństwo. Czy wszystkie te nagrody i przywileje są wystarczające, aby zrezygnowali z więzi z Palestyńczykami w Gazie, dzisiaj ofiarami wojny?**

– Arabowie dokonują racjonalnego wyboru między rewoltą a zachowaniem spokoju. Dla nich nagroda za bycie cicho jest znacznie wyższa niż nagroda za bunt. Podczas konferencji mówiono, że Arabowie w Izraelu porównują się tylko do Żydów. I w porównaniu z osiągnięciami Żydów ich dorobek jest znacznie mniejszy. Arabskie miejscowości są na niższym poziomie rozwoju. To prawda, więc jeśli porównują się tylko do Żydów, to czują się wykluczeni, dyskryminowani. Ale oni porównują się również do innych Arabów! Porównują się z innymi

uwagę wszystkich Żydów i Arabów, to nie różnią się oni aż tak bardzo. Chcą być częścią Zachodu.

W zeszłym roku widzieliśmy duże demonstracje, liczące setki tysięcy osób. W tym roku obywatele też wychodzą na ulice, ale w mniejszych grupach. Demonstracje nie są tak duże. Czy to dlatego, że społeczeństwo stało się mniej spolaryzowane?

– Izrael nie jest mniej spolaryzowany. Gdy trwa wojna przeciwko Izraelowi, każdy Żyd pójdzie i będzie walczył. I nie ma znaczenia, czy jest bogaty, biedny, Aszkenazyjczyk, Mizrach, lewica, prawica, to bez znaczenia. Wszyscy idą, jest solidarność. Ale kiedy wojna się skończy, wrócą wszystkie podziały i konflikty.

Izrael jest państwem ideologicznym i według tej ideologii państwo żydowskie jest niezbędne do ochrony Żydów.

Palestyńczykami i widzą, jak bardzo są uprzywilejowani w porównaniu z tymi, którzy żyją na Zachodnim Brzegu pod okupacją lub w Strefie Gazy. Otrzymują liczne nagrody i nie są zabijani. Widzi pan, co się dzieje w Gazie i na Zachodnim Brzegu. Palestyńczycy są zabijani, tracą mienie, to straszne.

Patrz także na inne wydarzenia w świecie arabskim, takie jak arabska wiosna w 2011 r. Spodziewali się, że w świecie arabskim zapanuje dobrobyt i demokracja. I co się stało? Nic. Zobaczyli więc, że w świecie arabskim nie ma nadziei, dlatego lepiej być częścią Izraela, nowoczesnego państwa, z wysokim poziomem rozwoju gospodarczego. W moich badaniach w ciągu ostatnich 30 lat pytałem respondentów, w jakim kierunku chcieliby integrować Izrael. Z Bliskim Wschodem, państwami arabskimi czy z Zachodem, Europą i Ameryką Północną. 60% Arabów w Izraelu chce być częścią Zachodu, a nie krajów arabskich.

A co mówią Żydzi w tych samych badaniach?

– To zależy. Religijna prawica ma problem z powiedzeniem: „Chcemy być częścią Zachodu”. Ale świeccy Żydzi z klasy średniej mówią to otwarcie. A kiedy weźmiemy pod

Uważa pan, że masowe demonstracje znowu się zaczną?

– Z pewnością pojawią się ponownie, jeśli ten rząd będzie odwlekał wybory, jeśli rozpocznie wojnę z Hezbollahem na północy. Jeżeli Netanjahu nadal będzie rządził krajem, setki tysięcy ludzi wyjdą na ulicę. Ale warunkiem jest to, że muszą ustać działania zbrojne. Dopóki trwa wojna, a ludzie czują się zagrożeni, trudno im wyjść na ulice.

Od kilku dekad jest pan krytykiem izraelskiej demokracji, mówi pan, że Izrael to nie demokracja liberalna, tylko etniczna. Niektórzy naukowcy, nawet Izraelczycy wypowiadają się na tej konferencji, tacy jak badaczka z Uniwersytetu w Kopenhadze prof. Liora Sion, twierdzą, że Izrael w ogóle nie jest demokracją. Ma zaledwie demokratyczne aspekty. Czy zatem Izrael stanie się krajem, który będzie wykorzystywał pojęcie demokracji jedynie jako narzędzie uprawiania dyplomacji na Zachodzie?

– Izrael jest demokracją. Słabą, etniczną, ale demokracją. I przetrwa jako taka, mimo że prawica obecnie osłabia demokrację, próbując zniszczyć jej instytucje, choćby ze względu na demonstracje, które jednak

głównie gromadzą klasę średnią i wyższą, najbardziej uprzywilejowane warstwy społeczne.

A co z klasą pracującą?

– Popiera prawicę. Nie przejmuje się zbyt demokracją liberalną. Prawica jednak również jest przywiązana do demokracji, ale tylko demokracji większościowej – chce, aby decydował o wszystkim ten, kto ma większość w parlamencie i wybiera rząd. Ma więc bardzo złe rozumienie demokracji. Ale ta mimo wszystko jest prawicy potrzebna ze względu na podziały w społeczeństwie.

Jak uregulować te podziały między, powiedzmy, religijnymi i świeckimi? Demokracja jest potrzebna, aby dwie strony mogły negocjować i osiągnąć pewnego rodzaju kompromis. Demokracja jest także potrzebna w przypadku napięć etnicznych, choćby między Arabami i Żydami. Jeśli Arabowie nie będą mogli wyrażać swojego niezadowolenia i protestować, to co zrobią? Będą się buntować. Użyją przemocy. Dlaczego Palestyńczycy na Zachodnim Brzegu i w Gazie używają przemocy? Ponieważ nie mają demokracji. Nie mają żadnych demokratycznych środków, by wyrazić swój sprzeciw.

Uważa więc pan, że dla Izraela demokracja jest narzędziem przetrwania?

– Tak. Demokracja jest najlepszym mechanizmem radzenia sobie z nieporozumieniami i konfliktami.

Skupiamy się na Izraelu, mówimy o erozji demokracji, ale czy Izrael jest wyjątkiem, czy to po prostu część tego samego procesu, który obserwujemy w Polsce, na Węgrzech, w Stanach Zjednoczonych, w całym zachodnim świecie? Do władzy dochodzą siły populistyczne, ponieważ mówią dokładnie to, co ludzie chcą usłyszeć.

– Istnieją różnice i podobieństwa między Izraelem a krajami zachodnimi i trzeba spojrzeć na jedno i drugie. Tak jak pan mówi, na całym świecie obserwuje się tendencję do de-demokratyzacji. Taki jest trend i występuje on również w Izraelu. Także tutaj prawica staje się silniejsza. Takie są podobieństwa.

Jednocześnie jest wiele różnic, choćby konflikt izraelsko-palestyński.



Masowe demonstracje znowu pojawiają się na ulicach, jeśli rząd będzie odwlekał wybory albo rozpocznie wojnę z Hezbollahem na północy. Nz. protest w Tel Awiwie, 11 lipca 2023 r.

Nie ma tego na Węgrzech czy w Polsce, a to bardzo ważny czynnik. Drugim czynnikiem jest syjonizm. Izrael to państwo ideologiczne i według tej ideologii państwo żydowskie jest potrzebne, niezbędne do ochrony Żydów ze względu na historię dyskryminacji, antysemityzmu, Zagłady. Według syjonizmu państwo należy wyłącznie do Żydów, nie do wszystkich obywateli.

zaakceptują syjonizmu. I nie mają żadnego powodu, dla którego mieliby go zaakceptować! Dlaczego Arab miałby akceptować syjonizm, który mówi, że państwo należy tylko do Żydów na całym świecie, a nie do obywateli? Arab w myśl syjonizmu jest outsiderem.

Ale jest wiele rzeczy, które można zrobić, aby poprawić stosunki z Arabami. Uznać tożsamość Arabów

decyzji krajowych, tak jak partia Ra'am (pierwsza samodzielna partia arabska, która weszła w skład izraelskiego rządu po wyborach w 2021 r. – przyp. JK). Ra'am mówi jasno: „Teraz chcemy zasobów, budżetu i inwestowania w Arabów. Nie będziemy mówić o kwestii palestyńskiej. Na razie zdobędziemy zasoby”. To pragmatyczna polityka. Arabowie muszą się zmienić, aby więcej zyskać w kontrakcie społecznym; powiedzieć: „W porządku, akceptujemy Izrael jako żydowski i demokratyczny, akceptujemy ideę, że jest to państwo, które jest żydowskie w swoim języku, kulturze, z żydowską większością itd. Ale nie akceptujemy syjonizmu! Izrael należy również do nas, nie tylko do Żydów”. Jeśli dokonają tego rozróżnienia i rozpoczną dialog z Żydami, może nastąpi jakaś zmiana.

Oczywiście myślę o rozwiązaniach realnych, bo z ich perspektywy najlepsze byłoby przecież państwo dwunarodowe na kształt np. Belgii. Ale izraelscy Żydzi w żadnym wypadku tego nie zaakceptują. Jednak jeśli powiedzą: „Dobrze, damy wam więcej zbiorowych praw narodowych”, wtedy będzie o czym rozmawiać.

Jakub Katulski

60% Arabów w Izraelu chce być częścią Zachodu, a nie krajów arabskich.

Ale są siły, które chciałyby zde-mokratyzować kraj i uczynić go państwem dwunarodowym, jak sam pan powiedział.

– Tylko Arabowie tego chcą.

Czy byłoby to w ogóle możliwe?

– Państwo dwunarodowe? Absolutnie nie. Żydzi w Izraelu są na tyle silni, że na to nie pozwolą. Nie pozwolą. Powiedzą: „Jeśli Izrael byłby dwunarodowy, a nie żydowski, to dlaczego miałbym zostać w Izraelu? Mam Amerykę!”.

W takim razie co dalej?

– Arabowie są mniejszością, która się nie asymiluje, więc nie

jako Palestyńczyków, jako część narodu palestyńskiego, dać im prawa narodowe, prawo do samostanowienia, uznać ich przywódców, negocjować z nimi, uchwalić ustawę, według której proporcjonalna część budżetu państwa przeznaczona będzie dla sektora arabskiego. Skoro jest ich 20%, to 20% budżetu powinno im przyspaść. To nie jest przecież sprzeczne z syjonizmem!

Czy to może się zdarzyć w najbliższej przyszłości?

– Może, jeśli Arabowie zorganizują się politycznie w taki sposób, aby mogli wpływać na podejmowanie

Gdziekolwiek jesteś, tam jest twój dom

Uchodźcom w Niemczech,
jeśli nie przybyli z Ukrainy,
jest coraz trudniej

Jan Opielka

2 czerwca zmarł policjant brutalnie zaatakowany nożem dwa dni wcześniej przez mężczyznę pochodzącego z Afganistanu. 25-letni sprawca mieszka w Niemczech od ok. 10 lat, ma żonę i dwójkę dzieci. Śledczy nadal nie ustalili motywu zbrodni, ponieważ zamachowiec został postrzelony i nie mógł być przesłuchiwany. Nożownik zaatakował w centrum Mannheim podczas demonstracji zorganizowanej przez islamofobiczny Ruch Obywatelski Pax Europa (BPE). Zranił jeszcze pięciu innych mężczyzn.

Niemieccy politycy od lewa do prawa potępiли zbrodnię, aczkolwiek SPD, partia kanclerza Olafa Scholza, stara się tonować emocje. – Od różniamy muzułmanów, którzy do nas należą, od islamistów, których zwalczamy z najwyższą surowością – powiedziała ministra spraw wewnętrznych Nancy Faeser. Jednak współrządzący w Berlinie liberałowie z FDP już zapowiedzieli, że będą się domagać ponownej możliwości deportowania osób z Afganistanu – dotychczas ze względu na katastrofalną sytuację i reżim talibów zazwyczaj nie były odsyłane. Deportacji żądają także politycy głównej partii opozycyjnej, chadeckiej CDU, a przede wszystkim prawicowo-populistyczna Alternatywa dla Niemiec (AfD). Przewodniczący frakcji w Bundestagu, Alice Weidel i Tino Chrupalla, piszą, że chcą „bezpiecznych granic i twierdzy Europa. Imigracja z Afganistanu musi zostać zatrzymana”.

Wiele wskazuje, że cień tragedii z Mannheim padnie też na innych uchodźców. W latach 2015-2022 ok. 2,35 mln osób złożyło wniosek o azyl lub inny status ochrony. Ten ostatni, zazwyczaj tymczasowo, otrzymało 1,8 mln. Dodatkowo w Niemczech przebywa ok. 1,1 mln uchodźców z Ukrainy, którzy podobnie jak w Polsce mają bardziej uprzywilejowaną pozycję i jej nie tracą. Pogorszy się natomiast sytuacja ponad 300 tys. uchodźców z innych krajów, w większości pozaeuropejskich, którzy w ubiegłym roku złożyli wniosek o azyl lub ochronę międzynarodową. I to mimo faktu, że zdecydowana większość tych ludzi nie popełnia przestępstw, a wręcz robi, co może, żeby z Niemcami się zintegrować.

Często są to ofiary przemocy i dyskryminacji – ze strony zarówno urzędów, jak i prawicowo-radykalnych sprawców. W 2023 r. Federalne Ministerstwo Spraw Wewnętrznych odnotowało 15 tys. przestępstw na tle ksenofobicznym, o połowę więcej niż rok wcześniej. Liczba aktów islamofobicznych wzrosła o 140%.

Legalni nielegalni

W pobliżu centrum Hanoweru, stolicy Dolnej Saksonii, organizacja opieki społecznej Arbeiterwohlfahrt (AWO) prowadzi jedno ze schronisk dla uchodźców. Znalazło tam dach nad głową prawie 100 mężczyzn z 15 krajów.

Heavy* również jest uchodźcą, ale nie mieszka tutaj, lecz odbywa sześciotygodniowy staż w ośrodku. 24-letni Kurd pochodzi z Turcji,



z miasta Amed (turecki Diyarbakır). Działał w prokurdyjskiej partii HDP i został uwięziony za udział w demonstracji, ponieważ czytał wiersz. – W wielu krajach Turcję uważa się za państwo demokratyczne, ale rzeczywistość jest inna – mówi. Wkrótce po tym, jak opuścił więzienie, wyznaczono mu datę procesu, dlatego dwa lata temu uciekł za granicę. Pomógł mu w tym przemytnik, który przywiózł go do Niemiec w kamperze wraz z innymi uchodźcami ze Stambułu.

Europol, organ policyjny Unii Europejskiej, szacuje, że ok. 90% osób, które przekraczają zewnętrzne granice UE nielegalnie, robi to przy pomocy przemytników. Termin „nielegalnie” budzi jednak kontrowersje. Ceniony niemiecki portal informacyjny ds. migracji, Medien-dienst Integration, uważa, że sformułowanie „nielegalna migracja” jest stygmatyzujące, „przedstawia nielegalnych migrantów jako przestępców”. A przecież legalne drogi do UE często są dla osób poszukujących ochrony niedostępne. Ludzie nie mogą ubiegać się o azyl lub ochronę międzynarodową na posterunku granicznym państwa członkowskiego, które ma zewnętrzną granicę UE.



Kai Weber i Zahra Lessan z Rady Dolnej Saksonii ds. Uchodźców uważają, że system zajmowania się uchodźcami musi się zmienić.

Zardasht Abdi zamierza starać się o niemieckie obywatelstwo.

Gdyby Heavy został zatrzymany, także zostałby uznany za nielegalnego imigranta. Przy czym on wcale nie chciał uciekać. W Turcji studiował socjologię. Teraz w Niemczech chciałby kształcić się jako pracownik socjalny, dlatego odbywa staż, który jest warunkiem wstępnym na tym kierunku studiów. – Jestem wdzięczny, że zostałem przyjęty przez AWO – podkreśla. Ukończył już staż stolarski i kurs języka niemieckiego na poziomie B1, a teraz przygotowuje się do B2. To wszystko nie bez wysiłku: bierze leki antydepresyjne, a przez pierwsze kilka miesięcy bał się wychodzić z pokoju. – Czasami mam wrażenie, że ludzie w Niemczech myślą, że uchodźcy nie mają uczuć – opowiada z goryczą. Obecnie wraz z kilkoma innymi osobami wynajmuje mieszkanie, również po to, by nauczyć się języka niemieckiego. Nie działa w żadnej kurdyjskiej partii w Niemczech, ale bierze udział w demonstracjach, np. na rzecz praw osób LGBTQ, za którymi HDP opowiada się w Turcji.

Heavy wspomina swoje zaangażowanie w Turcji i represje. – Wyobraź sobie: jesteś w demokratycznej partii, na demokratycznej demonstracji i z tego powodu prześladowają cię; to nie jest łatwe – mówi. Turecka policja

do dziś zastrasza jego rodzinę, która pozostała w Amed. – W Turcji są dla mnie tylko dwie drogi: albo do więzienia, albo w góry, do PKK (podziemnej Partii Pracujących Kurdystanu – przyp. red.). Ale ja tego nie chcę, dlatego tu przyjechałem – tłumaczy Heavy i pomimo wszystkich trudności nie żałuje ucieczki.

Chcą pracować, ale nie mogą

Zdaniem Heavy'ego wiele trudności można zminimalizować – z korzyścią dla wszystkich. – Niemcy każdego roku potrzebują pół miliona

W 2023 r. odnotowano w Niemczech 15 tys. przestępstw na tle ksenofobicznym, o połowę więcej niż rok wcześniej.

nowych pracowników. Jednocześnie wielu uchodźców chciałoby pracować, a nie może – przypomina. On sam nie był w stanie podjąć dwóch prac z powodu braku pozwolenia. – W urzędzie imigracyjnym załatwienie pozwolenia na pracę trwa kilka tygodni, a pracodawcy znajdują w tym czasie innych pracowników. To paradoks: wiele osób w Niemczech twierdzi, że uchodźcy nie chcą pracować. Ale nam nie wolno tego robić.

Te obserwacje Heavy'ego dotyczą przede wszystkim osób, które od niedawna przebywają w Niemczech. Według tegorocznych wyliczeń niemieckiego Instytutu Badań nad Zatrudnieniem (IAB) w pierwszym roku pobytu z powodu zakazu pracy i często niewystarczających umiejętności językowych zatrudnienie znajduje tylko 7% uchodźców. Jednak po sześciu latach pracuje już połowa mężczyzn, a po ośmiu grupa ta ma wyższy wskaźnik zatrudnienia (86%) niż średnia populacja mężczyzn w Niemczech (81%).

Philine Mauricio Tampe, kierowniczka ośrodka AWO w Hanowerze, potwierdza, że oprócz długiego oczekiwania na decyzję o przyznaniu prawa pobytu lub o deportacji i poza przeszkodami w dostępie do opieki zdrowotnej to właśnie kwestie pracy i szkolenia zawodowego są największym problemem. – Należy zwrócić większą uwagę na umiejętności zawodowe, z którymi ci ludzie przybywają – podkreśla. – Ważne, aby nie dochodziło do tzw. dekwalfikacji. Państwo powinno wykonać pracę w tym kierunku i dostrzec, jacy wspierali ludzie przyjeżdżają. W przeciwnym razie znaczna część uchodźców ponownie stanie się ofiarami.

Wielu uchodźców przybywa do Niemiec z Polski, zwykle przedostawszy się przez coraz silniej strzeżoną granicę polsko-białoruską. Ta droga jest obecnie uważana za nowy szlak bałkański, dlatego od połowy października 2023 r. niemiecka policja federalna ponownie przeprowadza

stałe kontrole na granicy z Polską, ale też z Czechami, Austrią i Szwajcarią. I zatrzymuje znacznie więcej uchodźców. W pierwszych czterech miesiącach tego roku ok. 35 tys. osób z Afganistanu, Sudanu, Syrii i innych krajów. Niemcy są wybierane jako miejsce docelowe ze względu na już tam obecnych rodaków, lepszą reputację kraju, możliwości średnio- i długoterminowej integracji oraz dobrze płatną pracę.

► Bariera językowa

Na to wszystko liczy również Zardasht Abdi. Pochodzi z miasta Al-Kamisli, położonego w północno-wschodniej Syrii, przy granicy z Turcją, w zdominowanym przez Kurdów samorządnym regionie Rożawa. 27-latek przybył do Niemiec dwa i pół roku temu w ciężarówce wraz z innymi uchodźcami; podróż trwała kilka dni. – W moim rodzinnym mieście było i jest stosunkowo mniej walk, ale i tam wciąż trwa wojna – mówi.

Zardasht Abdi mieszka w Hanowerze i dobrze mówi po niemiecku, co potwierdza jego certyfikat językowy C1. W Syrii ukończył studia licencjackie z informatyki i przez pewien czas tam pracował. Obecnie korzysta z ochrony uzupełniającej

I widzi dla siebie wiele możliwości kariery. Perspektywy są dobre; po dwóch latach spędzonych w ośrodkach dla uchodźców Zardasht Abdi wynajmuje mieszkanie. Uważa, że kluczowe było skoncentrowanie się na nauce niemieckiego, którego nie znał przed przyjazdem w 2021 r. – Naprawdę rzuciłem się na ten język – śmieje się. – Podręczniki gramatyki, YouTube, szkoła językowa, no i poznałem dziewczynę, która mnie wspiera.

Niemiecki jest jego czwartym językiem – obok ojczystego kurdyjskiego, arabskiego i angielskiego. – Najważniejsze są kontakty społeczne, zarówno prywatne, jak i poprzez moją pracę wolontariacką. A w niemieckich urzędach liczy się nie tyle poziom wykształcenia, ile stopień rozumienia języka.

Ludzie tacy jak Weber powinni wiedzieć, w jaki sposób to zrobić. Organizacja, którą kieruje, może się pochwalić 40-letnim doświadczeniem w pracy z uchodźcami. Rada jest zorganizowana jako stowarzyszenie i ma siedzibę w dzielnicy przemysłowej Hanoweru, zatrudnia ponad 20 osób, choć wiele tylko tymczasowo. Mimo że obecnie otrzymuje również finansowanie od kraju związkowego Dolna Saksonia, różnych fundacji i Kościołów, a także z Europejskiego Funduszu Społecznego, działa, opierając się na tymczasowym finansowaniu projektów. Koordynuje takie projekty jak „Ścieżki do prawa pobytu” dla osób mających przez długi okres zgodę na pobyt tolerowany, a oprócz indywidualnego doradztwa prowadzi też lobbing polityczny.

Weber mówi, że w podejściu do uchodźców wiele się zmieniło – zwłaszcza patrząc z perspektywy 2015 r. i ówczesnej życzliwej polityki, której kulminacją było zdanie kanclerz Angeli Merkel: „Damy radę”. Zmieniło się na dobre i na złe. – Do 2016 r. istniały dobre przepisy na szczeblu federalnym, ale potem nastąpiły komplikacje. W 2015 r. mieliśmy dużą liczbę uchodźców, ale nastroje w społeczeństwie były pozytywne, podczas gdy wcześniej przy znacznie mniejszej liczbie nastroje były bardziej negatywne. To pokazuje, że nie ma prostego związku między liczbą osób ubiegających się o azyl a nastrojami politycznymi – zaznacza. Jego zdaniem można to odnieść również do obecnej sytuacji.

W pierwszych czterech miesiącach tego roku niemiecka policja zatrzymała na granicach ok. 35 tys. uchodźców z Afganistanu, Sudanu, Syrii i innych krajów.

w Niemczech, którą początkowo otrzymał na rok, a następnie przedłużono ją o dwa lata. Teraz ma nadzieję na kolejne przedłużenie, a nawet, że zostanie w Niemczech na stałe. – Spełniłem wymagania dotyczące szybkiej naturalizacji z wyjątkiem pracy, której nadal potrzebuję – wyjaśnia. Od 27 czerwca obowiązuje w Niemczech ustawa nowelizująca prawo o obywatelstwie. Skraca ona wymagany minimalny okres pobytu przed naturalizacją do pięciu lat, jednak w przypadkach szczególnie dobrej integracji jest to możliwe nawet po trzech latach. Abdi spełnia dwa z trzech wymagań: najwyższy certyfikat językowy i regularny wolontariat – od dwóch lat pracuje dla niemieckiego Czerwonego Krzyża i władz regionu jako tłumacz. Towarzyszy ludziom w urzędach lub podczas wizyt lekarskich i uczy seniorów obsługi telefonów komórkowych. – Jeśli znajdę stałą pracę, od razu złożę wniosek o nadanie obywatelstwa – mówi. Jego dyplom licencjacki został w Niemczech uznany, więc teraz studiuje informatykę biznesową (magisterium) w Szkole Wyższej w Hanowerze.

Ważne jest też to, że Abdi w Niemczech ma dwie siostry i brata, który mieszka tu od 2015 r. i go wspiera. Na pytanie, co jeszcze można usprawnić, młody Kurd odpowiada: – Rozpatrywanie wniosków. Potrzeba wielu dokumentów, a sprawy w urzędach zajmują dużo czasu.

Niewydolny system

Kai Weber jest dyrektorem zarządzającym Rady Dolnej Saksonii ds. Uchodźców (Flüchtlingsrat), zaangażowanym w jej działalność od lat 80. XX w. – Istnieje specjalne prawo dla uchodźców; to nie przypadek, że ustawa o świadczeniach dla osób ubiegających się o azyl jest częścią prawa regulacyjnego, a nie ustawodawstwa socjalnego – mówi. Uchodźcy są rejestrowani nie w urzędach pracy, ale w ośrodkach opieki społecznej, z których większość nie pośredniczy w znalezieniu zatrudnienia. – Dotarcie do urzędu pracy zajmuje uchodźcom średnio dwa lata, mimo że mamy niedobór wykwalifikowanych pracowników. Ten system musi się zmienić.

Ból i nadzieje

10 kwietnia br., po latach negocjacji, Parlament Europejski zatwierdził pakiet legislacyjny dotyczący reformy azylowej UE. Przewiduje on znaczne zaostrzenie przepisów azylowych, w tym ujednolicenie procedur na granicach zewnętrznych i nowe przepisy w sprawie relokacji uchodźców. Państwa członkowskie Unii zatwierdziły ten pakiet 14 maja, Polska zgłosiła sprzeciw co do relokacji. W Niemczech współrządzająca partia Zielonych, uchodząca w przeszłości za przyjazną wobec uchodźców, początkowo nie chciała się zgodzić na

restrykcje. W umowie koalicyjnej z 2021 r. wywalczyła zapis: „Chcemy położyć kres cierpieniu na granicach zewnętrznych. (...) Chcemy lepszych standardów dla osób ubiegających się o ochronę w ramach procedur azylowych i integracji w państwach członkowskich UE”.

Jednak udział we władzy zmienia, a indywidualne historie uchodźców i powody ich ucieczki schodzą

wieloletnie doświadczenie w pracy z uchodźcami, mówi, że każdy inaczej doświadcza traumy wojny, ucieczki i niepewnego statusu pobytu. – Dla większości najgorszą rzeczą jest znalezienie się na łasce innych. Przejawia się to w tym, że otwarcie skrzynki na listy wywołuje strach i powrót traumy.

Dzieje się tak, ponieważ osoby ubiegające się o azyl zawsze mogą

rodziny i urodziła dziecko podczas ucieczki. Po roku pobytu w Niemczech powiedziała: „Ten kraj nam pomógł”. Dziś mówi swoim dzieciom: „Teraz wy też musicie coś zrobić”. Ale inna kobieta nosi w sobie ból tak głęboko, że po trzech latach wciąż jest zagubiona.

W Hanowerze Kurd Heavy ma nadzieję, że się nie zagubi, że otrzyma pozytywną decyzję. Pod koniec rozmowy pyta: – Zna pan Dostojewskiego? Uwielbiam tego autora. Napisał: „Gdziekolwiek jesteś, tam jest twój dom”.

Tymczasem kontrole niemieckich granic przez policję federalną zostały przedłużone do grudnia br., prawdopodobnie nie po raz ostatni. Fiodor Dostojewski napisał również: „Być bez domu – to znaczy cierpieć”.

Jan Opielka

* Imię zmienione na prośbę rozmówcy

Kwerenda została sfinansowana z grantu Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej (SDPZ)

Zdobycie pozwolenia na pracę trwa kilka tygodni, a pracodawcy znajdują w tym czasie innych pracowników.

na dalszy plan. Zieloni domagali się łagodniejszego traktowania osób z niepełnoletnimi dziećmi, lecz ich propozycja przepadła. Ministrowie Zielonych w rządzie federalnym zgodzili się z tą decyzją, podczas gdy młodzieżówka i liczni parlamentarzyści mocno krytykowali zastrzeżenia.

Zahra Lessan, która jest doradczynią w jednym z projektów Rady ds. Uchodźców w Hanowerze i ma

znaleźć w skrzynce zawiadomienie o odrzuceniu wniosku i nakaz deportacji. Zahra Lessan nie jest więc zaskoczona, że integracja tych osób na rynku pracy nie zawsze się udaje, nawet przy dobrej woli władz. – Niedawno spotkałam uchodźczynię z Afganistanu, która od kilku lat przebywa w Niemczech, a wcześniej mieszkała w strasznych warunkach w obozie w Grecji – opowiada. – Przeżyła traumę, straciła członków

wishsurfing.pl

Które marzenie wybierzesz?

Wybierz i pomóż spełnić marzenie chorego dziecka, podopiecznego Fundacji Dziecięca Fantazja.

wishsurfing.pl

Sąd nie jest twierdzą (cd.)

Po przeczytaniu w PRZEGŁADZIE artykułu Heleny Kowalik o trudnościach pracy reportera sądowego i ja chciałabym się pożalić

Hanna Dobrowolska

Pracę jako reporter odpowiedzialny za powstawanie tzw. kryminałków zaczynałam w 2011 r. Zdarzenia, które opisywałam jako bieżące, po kilku lub kilkunastu miesiącach były podsumowywane aktem oskarżenia, a co za tym idzie – trafiały do sądu. Wiedzioną ciekawością, co ustalono w toku postępowania przygotowawczego, zaczęłam przygodę z reportażem sądowym. Dopiero na sali rozpraw zrozumiałam, jak płytkie i często nie do końca prawdziwe są informacje o zdarzeniu przekazywane mediom. Bywało, że przed sądem sprawa prezentowała się zupełnie inaczej niż w policyjnym komunikacie. Ja chciałam znać całość, żeby nie wydawać sądów, zanim zrobi to organ do tego upoważniony.

W 2011 r. i wiele lat później ustalenie, jakie tzw. medialne sprawy są rozpoznawane przez sądy powszechne w Warszawie, nie było trudne. Sąd Okręgowy w Warszawie i Sąd Okręgowy Warszawa-Praga miały rzeczników, pręźnie działające sekcje prasowe i newslettery, czyli tabelkę z sygnaturą, datą rozprawy i krótkim opisem, czego proces dotyczy. Było do czego się odnieść i kogo zapytać, co w wokandach piszczy.

W 2024 r. relację między sądami a mediami trudno określić. To, co od kilku lat dzieje się w Warszawie, można by opatrzyć nagłówkami z brukowców: „Dramat!”, „Skandal!”, „Nie do wiary!”. A jednak. Brak newslettera, którym sąd niejako zapraszał przedstawicieli środków masowego przekazu do



Kiedyś można było zadzwonić do sądu i zapytać, co ciekawego w repertuarze. Dziś, jak ktoś już odbierze, to słysząc „nic nie ma”.

uczestnictwa w procesie, jest zaskakujący i szkodliwy. Już wcześniej, zanim go zlikwidowano, Samodzielna Sekcja Prasowa Sądu Okręgowego w Warszawie nie mogła dziennikarzowi udzielić żadnej informacji przez telefon, a mejlowo dopiero po zatwierdzeniu tej informacji przez zwierzchnika. „Samodzielność” tej sekcji była więc tylko w nazwie. Na rzecznika prasowego sądu przez lata nikt się nie pchał. Podobno trochę ze względów politycznych, a trochę z uwagi na ogromne obciążenie, jakim jest wzięcie na swoje barki największego w Polsce sądu i jego wizerunku. Tak więc rzecznika nie było. Jeżeli dziennikarz chciał coś wiedzieć, musiał pisać mejle i czekać. Doprowadzało to do absurdalnych sytuacji, że informacji o np. zastosowanym areszcie albo

wyroku udzielał rzecznik prokuratury, litując się nad dziennikarzami oczekującymi informacji bieżącej, a nie archiwalnej.

Obecnie w Sądzie Okręgowym w Warszawie nie ma do kogo zadzwonić. Są oczywiście numery kontaktowe, np. do rzecznika, ale mnie nie udało się dodzwonić od wielu miesięcy. Napisałam mejl z prośbą o kontakt, rzeczniczka zaś odpisała, że nie ma czasu na rozmowy, bo poza funkcją rzecznika ma także funkcję nadzrędną – sędziego, więc jest na sali rozpraw cały dzień. Poinstruowano mnie, że mogę pisać do sekcji prasowej. Tej „samodzielnej”.

Ostatnio, 27 czerwca, pisałam do tego sądu mejl, szukałam bowiem pewnej sprawy karnej. Znałam mnie, bo od kilkunastu lat pracuję

tam te same osoby. Po trzech dniach dostałam od sekcji prasowej wiadomość z załącznikiem podpisanym przez prezesa Sądu Okręgowego w Warszawie, sędziego Radostawa Lenarczyka. Informował, że jeśli chcę się czegoś dowiedzieć, mam przesłać skan legitymacji prasowej. Ostatecznie po niemal tygodniu od mojego zapytania dostałam lakoniczną odpowiedź.

Podobnie było w kwietniu, gdy składałam wniosek o umożliwienie skopiowania części akt sprawy pewnego brutalnego zabójstwa. Akta

do zmiany decyzji. Nie odpisał mi prezes, tylko zrobiła to specjalistka ds. informacji publicznej. Zastanowiło mnie, że prezes ma czas podpisać się pod jakąś kopiuj-wklej formułką, w której żąda okazania legitymacji służbowej, a przez dwa miesiące nie znalazł przestrzeni, by wybrnąć jakoś z wizerunkowego potrzasku. Nie, bo nie. „Nic nie poradzę, prezes ma takie poglądy”, tłumaczy mi jeden z bliskich współpracowników sędziego.

Kiedyś można było zadzwonić do sądu i zapytać, co ciekawego w repertuarze. Dziś, jak ktoś już odbierze,

odwoławczych w II Wydziale Karnym nie jest w stanie ruszyć, gdyż sędziowie kłócą się między sobą, kto i jak został mianowany, komu wolno orzekać, a komu nie.

Pracownicy sądów, którzy muszą się zachowywać wobec znanych im od lat dziennikarzy, przewracają oczami, gdy pytam, dlaczego tak jest. „Może wkrótce się coś zmieni...”, gdybali jeszcze rok temu. Boją się nawet wprost mówić o swoich frustracjach, mają zakaz współpracy z mediami i już.

„Są na nich skargi od dziennikarzy”, mówią mi rzecznicy innych instytucji z tzw. wymiaru sprawiedliwości. Odnoszę wrażenie, że ktoś za bardzo wziął sobie do serca tę wyższość ze sformułowania „wysoki sędzie”. A przecież sądy rejonowe, okręgowe i apelacyjne to sądy powszechne. Powszechne, czyli dostępne, normalne, służące ogółowi. Komu służy twierdza?

Hanna Dobrowolska jest reporterką sądową. Publikuje m.in. w portalu Kryminalni, Oskarżam na Gazeta.pl oraz w kwartalniku kryminalnym „Newsweeka”

Artykuł Heleny Kowalik ukazał się w PRZEGLĄDZIE nr 26

Kiedyś można było zadzwonić do sądu i zapytać, co ciekawego w repertuarze. Dziś, jak ktoś już odbierze, słyszę: „Nic nie ma”.

były mi wcześniej udostępnione w czytelnici. Wniosek argumentowałam faktem, że były już kopiowane przez inną redakcję, choć – co trzeba przyznać – za czasów innego prezesa. Sędzia Lenarczyk mi odmówił „z uwagi na brzmienie art. 156 k.p.k., który nie przewiduje możliwości czynienia odpisów lub kopii z akt sprawy przez inne osoby niż strony, obrońcy, pełnomocnicy, przedstawiciele ustawowi”.

Wystosowałam wtedy do sądu pismo z prośbą o zmianę tej decyzji. „Dlaczego Sąd Okręgowy w Warszawie wybiórczo stosuje cytowane przepisy kodeksu postępowania karnego względem różnych redakcji, które wnioski składają? Jak to możliwe, że przepis z k.p.k. nie obowiązywał, gdy Sąd wyraził zgodę na kopiowanie akt przez dziennikarza TVN, a gdy z dokładnie takim samym wnioskiem zgłaszam się ja, dostaję odmowę? Domyślam się, że to nie Pan w 2017 czy 2018 r. wydawał zgodę tamtej redakcji. Ale co to zmienia? Czy można przez to rozumieć, że przepisy obowiązują wtedy, kiedy pasują osobie decydującej, więc nie zawsze i nie wobec wszystkich działają tak samo?”, pytałam prezesa Lenarczyka w piśmie wystawnym 23 kwietnia.

Odpowiedź przyszła 21 czerwca, czyli dwa miesiące później. Zawierała jedno zdanie, że nie było podstaw

to słyszę: „Nic nie ma”. W największym sądzie okręgowym w kraju rzekomo nie dzieje się nic. System „na telefon” działa do dzisiaj w Sądzie Okręgowym Warszawa-Praga, czasem, jak ktoś w sekretariacie ma wenę, również w Sądzie Apelacyjnym w Warszawie. Odkąd nieodżałowany rzecznik SA, sędzia Jerzy Leder, przeszedł w stan spoczynku, nikt nie prowadzi kajecika. Tam zresztą trudno o jakąś sprawę na wokandzie, bo większość procesów



www.wydawnictwomg.pl

Marnowany potencjał

Państwo musi skuteczniej pomagać wynalazcom w komercyjnym wdrażaniu efektów ich pracy. Jeśli tak się nie stanie, innowatorzy nadal będą wyjeżdżać na Zachód

Janusz M. Kowalski

Od dawna w szeroko rozumianym obszarze nauki gromkim głosem wołamy, że skandalem jest fakt, iż na badania i rozwój Polska wydaje ledwie 1,46% PKB, podczas gdy średnia unijna wynosi ok. 2,24%. Jeszcze gorzej wypadamy w europejskich rankingach innowacyjności: na 27 krajów UE zajmujemy 24. miejsce, wyprzedzając tylko Łotwę, Bułgarię i Rumunię.

Z racji działalności w środowisku stowarzyszeń naukowo-technicznych sfederowanych w Naczelnej Organizacji Technicznej często uczestniczę w galach konkursów, podczas których wręczane są różne laury za innowacyjność, osiągnięcia naukowe i sukcesy rynkowe. Jednego z członków jury tych konkursów, wybitnego profesora, zapytałem, dlaczego tak często przyznają nagrody, podczas gdy nie widać ich efektów. Odpowiedział: „Może to i trochę na wyrost, ale przynajmniej wzmacniamy chęć podążania w tym kierunku”.

Czy z tej maki będzie chleb?

19 lutego br. w Warszawskim Domu Technika NOT odbyło się forum „Polityka technologiczna Polski”, którego organizatorami były: Polska Izba Gospodarcza Zaawansowanych Technologii (IZTECH), Federacja Stowarzyszeń Naukowo-Technicznych NOT, Konferencja Rektorów Polskich Uczelni Technicznych oraz Rada Dyrektorów Jednostek Naukowych PAN. Celem spotkania było przedstawienie uczestniczącym w forum ministrom: nauki i szkolnictwa wyższego Dariuszowi Wiczorkowi oraz rozwojowi i technologii, którym był wówczas



Krzysztof Hetman, najważniejszych problemów polityki przemysłowej i naukowej, w szczególności dotyczących rozwoju nauk technicznych i technologii. W spotkaniu wzięli udział rektorzy i dziekani uczelni technicznych, prezesi i dyrektorzy instytucji państwowych oraz instytutów naukowo-badawczych, przedstawiciele instytucji organizujących spotkanie, a także reprezentanci innowacyjnych firm i stowarzyszeń naukowo-technicznych.

Moderatorem był prof. Jerzy Buzek, przewodniczący Rady IZTECH. Otwierając dyskusję, powiedział: „Jestem przekonany, że ta setka osób, która w spotkaniu dzisiaj uczestniczy, ma do wykonania wielkie zadania, aby dokonać przełomu w polskiej nauce i transferze technologii do gospodarki. Nadszedł czas, żebyśmy przestali być odbiorcami cudzych osiągnięć sprowadzanych do Polski, a stali się ich współtwórcami”.

Prof. Ryszard Pregiel, prezes Centrum Zastosowań Perspektywicznych Technologii, przypomniał, że w czasie transformacji ustrojowej zniknęły całe gałęzie przemysłu wysokiej techniki, w tym przemysł komputerowy, obrabiarkowy czy telekomunikacyjny. „Nie potrafiliśmy tych gałęzi do dzisiaj odbudować. – Nie mamy ani jednego

przedsiębiorstwa wysokiej techniki, które byłoby widoczne w skali światowej, i jesteśmy pod tym względem jedynym takim krajem wśród sześciu największych państw Wspólnoty Europejskiej. – punktował prof. Pregiel. – Staliśmy się montownią produkcji przemysłowej, a nie kreatorem nowych technologii”.

Potwierdził to minister Krzysztof Hetman, wyrażając chęć współpracy z naukowcami i przedsiębiorcami, by zmienić tę sytuację. Jednak kilka miesięcy później minister Hetman przeniósł się do Parlamentu Europejskiego.

Minister Dariusz Wiczorek podkreślał, że powinniśmy ograniczyć zakup technologii za granicą, zlecając badania polskim instytutom i uczelniom, szczególnie w dziedzinie obronności i wysokich technologii. Zapewnił też, że będzie się starał o systematyczne zwiększanie nakładów na badania i rozwój.

Uczestników bogatej merytorycznej debaty poproszono o nadesłanie swoich wniosków, został również powołany zespół do opracowania założeń polskiej polityki przemysłowej. Praca zespołu powoli postępuje, a czas płynie nieubłaganie.

COP na miarę nowej ery

Niedawno pojawiła się inicjatywa Polskiego Lobby Przemysłowego im. Eugeniusza Kwiatkowskiego, aby sformułować strategię adekwatną do wymogów przemysłu 4.0, czyli przemysłu, który w celu zwiększenia wydajności wykorzystuje integrację inteligentnych maszyn i systemów oraz wprowadzanie zmian w procesach produkcyjnych. Istotą tej strategii ma być powołanie COP 2 – nowego Centralnego Okręgu

Przemysłowego na miarę trzeciej dekady XXI w. Lobby chce tą koncepcją zainteresować najwyższe czynniki i kręgi wojskowe, mając w pamięci, że to wojsko miało wpływ na powstanie przedwojennego COP.

I jeszcze głos z jednej z kilku firm, które można uznać za nośnik nowoczesności. Sebastian Kałuża, dyrektor ds. rozwoju produktu w firmie Nevomo, rozwijającej technologię kolei magnetycznej, podczas Kongresu Infrastruktury Polskiej zwracał uwagę na to, że państwo musi skuteczniej pomagać wynalazcom w komercyjnym wdrażaniu efektów ich pracy. Jeśli tak się nie stanie, innowatorzy nadal będą ze swoimi rozwiązaniami migrować na Zachód. Specjaliści, często inżynierowie, nie mają zwykle czasu ani umiejętności, by zajmować się marketingiem i sprzedażą. „Mnie jako przedstawicielowi start-upu technologicznego bardzo tego brakowało – przyznał

Sebastian Kałuża. – A w kontakcie z instytucjami odpowiedzialnymi za opiekę nad rozwojem nowych technologii można było odnieść wrażenie, że ważniejsze od udanego wdrożenia jest formalne rozliczenie projektu”.

Pracownicy naukowcy, aby realizować ambitne pomysły, nieraz muszą wyjeżdżać za granicę. W efekcie gotowe rozwiązanie nie należy już do firmy z polskim kapitałem. Odkupujemy je potem za znacznie większe pieniądze. Dużo na tym tracimy, choć – jak zauważył przedstawiciel Nevomo – jesteśmy jednym z dwóch krajów o najszybszym wzroście innowacyjności: w ciągu siedmiu lat poprawiliśmy tu wynik o 13 pkt proc. Mamy duży odsetek obywateli z wyższym wykształceniem, bardzo dużą mobilność pracowników, potrafimy wdrażać technologie cyfrowe, takie jak łącza szerokopasmowe. Może na razie wystarczy...

Praca u podstaw

Powinienem też wspomnieć o mojej wieloletniej pracy przy organizacji Olimpiady Wiedzy Technicznej, odbywającej się w tym roku po raz 50. Dała ona polskim politechnikom kilkadziesiąt tysięcy znakomitych kandydatów, a od niedawna nie jest finansowana przez państwo. Dziś z jej laureatów pożytek mają głównie państwa zachodnie, bo większość z nich wyemigrowała, nie widząc szans na realizowanie swoich marzeń i pasji w Polsce.

Innym ważnym tematem w dyskusji jest inflacja poziomu wykształcenia wyższego spowodowana utrzymywaniem tak wielu szkół. Mamy tu znakomite potwierdzenie wielkości naszego Mikołaja Kopernika, który nie tylko wyrócił wiedzę astronomiczną, ale też sformułował wiekopomne prawo: gorsze wypiera lepsze. ■

LIST

✉ Pro domo sua

Prof. Jan Widacki w felietonie „Pro domo sua” (PRZEGŁĄD nr 26) skarży się na to, że Polska Komisja Akredytacyjna i jej „rewizorzy” sprawdzają, „czy wykładowca trafnie wpisał w dokumenty, jakie po tym wykładzie student zdobędzie wiadomości, jakie kompetencje i jakie umiejętności”, chociaż „jak je oddzielić, (...) wiedzą chyba wyłącznie ci rewizorzy. A po co je rozdzielać?”, natomiast „nie oceniają, czy wykład jest na odpowiednim poziomie akademickim ani jak się ma do aktualnego stanu nauki” i w rezultacie „pozytywne oceny dostaje np. Collegium Humanum”.

Może to oczywiście, ale zacznę od stwierdzenia, że PKA wykonuje zadania przewidziane przez ustawodawcę, a jej członkowie i eksperci pochodzą z akademii, więc działanie PKA odzwierciedla w pewnym stopniu to, co się dzieje na uczelniach (przeżyliśmy np. desantologów z KUL), lecz przede wszystkim odzwierciedla zapisy ustawowe. Zgadzam się, że obecny format raportów przygotowywanych przez uczelnie i wizytatorów nie jest optymalny, bo promuje wodolejstwo. Nie pomaga w tym umocowana w ustawie rozwlekła terminologia. Wystarczy kilka razy napisać albo przeczytać, że „harmonogram realizacji programu studiów obejmuje zajęcia kształtujące umiejętności praktyczne”, żeby zrozumieć, skąd się biorą stopy papierów. Gdyby więcej rzeczy ująć w formie punktów i konkretnych pytań, uczelnie nie traciłyby czasu na kwieciste deklaracje, a wizytujący – na dokopywanie się pod nimi faktów. Zgadzam się też, że być może kopaniu nie sprzyja definiowana przez harmonogram dwudniowej wizytacji proporcja pracy z dokumentami do czasu poświęconego hospitalacji zajęć i przeglądaniu prac studentów. Wynika to jednak z istotnej kwestii, która najwyraźniej wymaga wyjaśnienia.



Istotnie, PKA nie pochwali w raporcie, że wykład X na uczelni Y był świetny. Nie takie ma zadanie. Sprawdzi za to, czy wykładu z prawa nie prowadzi magister filozofii; czy wykład nie miał być ćwiczeniami, tylko upchnięto studentów po 50 w grupie, bo tak taniej, i czy po tym wykładzie cokolwiek się weryfikuje, poza obecnością. Po co odróżniać wiedzę od umiejętności? Ano, jeśli student ma wiedzieć, z czego składa się esej, to wystarczy zrobić mu wykład, a potem test a/b/c sprawdzony przez automat, ale jeśli ma umieć napisać esej, to przydałyby się zajęcia w mniejszej grupie, na których naprawdę ten esej napisze. I fikcję w tym zakresie PKA już dostrzeże.

Co tam poziom akademicki! W ciągu dwóch dni wizytacji PKA nie sprawdzi – poza zrzędzeniem losu – czy każdy wykład w ogóle się odbył, czy wykładowca był trzeźwy, czy dukał i nudził, czy sadił mizoginistyczne dowcipy i czy prezentację miał na folii sprzed lat. Sprawdzi za to, czy istnieje drożna ścieżka, gdyby student i współpracownicy chcieli zgłosić problem. Czy na uczelni istnieje wizja, czego ma uczyć dany kierunek i kogo w tym celu trzeba zatrudniać. Czy ktoś panuje nad tym w tak podstawowym zakresie, który pozwala stworzyć spójną dokumentację, wymóc na pracowniku uaktualnienie literatury na zajęcia, zmodyfikować program i rozwiązać wykazane problemy.

Nie pracuję dla PKA długo, ale niemal od razu przekonałam się, że nie wszędzie tak jest. Fakt, że w przypadku Collegium Humanum ktoś posunął się do korupcji, świadczy, że system stawia jednak jasne wymagania, które przestępcy próbowali obejść, by dalej prowadzić intratny biznes. Na pewno patologii do tropienia jest wiele, a system nie jest doskonały. Ale cóż – trzeba go usprawniać.

Rewizorka

Cieszynki i smuteczki

Sposób, w jaki trójkolorowi dostali się do ćwierćfinału, nie ma precedensu w historii – nie zdobyli ani jednej bramki z gry

Wojciech Kuczek

Wszyscy wyrzekają na nieustanny rozrost turniejów mistrzowskich: a to, że liczba uczestników sięga absurdu i w ten sposób obniża się prestiż imprezy, na którą zbyt łatwo awansować; a to, że piłkarze i tak przeciążeni sezonem nie mają już sił i poziom spotkań spada; a to, że oglądalność pojedynków ekip z odległych miejsc w rankingach krajowych będzie niska. A kiedy przychodzi kolejny parzysty czerwiec, kibic

Jedna ósma turnieju dała przyczynek do intensywnych rozVARzań.

jednak ogląda wszystko po kolei, uzależnia się od codziennej dawki futbolu w fazie grupowej, a potem cierpi na syndrom odstawieniowy w pauzach między kolejnymi fazami rozgrywek. Nie ma czym wypełnić popołudnia i wieczoru, myśli o piłce uniemożliwiają skupienie, robotni stają się niegramotni, bo wiedzą, że po pracy nie będzie futbolowego deseru, bezrobotni wpadają w głębsze kręgi depresji, bo nic tak nie odwraca uwagi od rozpacz jak mecz i nic tak nie frasuje jak meczu brak. Lipiec to już diabelska ambiwalencja – radość z wejścia turnieju w fazę decydującą, kiedy pozostali sami najlepsi, jest wypierana przez smutek z powodu nieżońskiego rozrzedzenia meczowego: co mi po tym, że teraz będzie walka o medale, skoro zostało ledwie kilka spotkań do obejrzenia. Żałoba po fazie grupowej, kiedy futbol był smakowitym i pożywnym farszem codzienności,

nie znajduje ukojenia w najcudowniejszych nawet zmaganiach finalistów, tęsknota za grupową nudą i pozornym przesytem jest dojmująca – oto uzależnieni od końskiej dawki narkotyku jesteśmy od niego brutalnie odzwyczajani, wijemy się w cierpieniach niczym Popeye Doyle w drugiej części „Francuskiego łącznika”, gdzie Gene Hackman wstrząsająco odegrał głód heroinisty bez dostępu do dragu.

Futbol to opium dla mas, albo wiem jest najpowszechniejszą religią świata; lipcową deprechę ktoś spoza piłkarskiej wspólnoty wyznaniowej mógłby sobie wyobrazić przez analogię – przyjmijmy, że co dwa lata instytucja Kościoła organizuje święta, które trwają przez wiele tygodni. Już kilkudniówki bożonarodzeniowe, noworoczne i wielkanocne stanowią niejaki kłopot dla zaangażowanych wiernych, bo przejście z czasu uświęconego w czas powszedni wywołuje głód rytuału i niejaki przygaszenie – wyobraź

Tymczasem jednak Euro 2024 dycha jeszcze, piszę te słowa przed ćwierćfinałami, wy je czytacie w chwili, gdy do rozegrania pozostały ledwie trzy mecze. Jedna ósma już na starcie dała przyczynek do intensywnych rozVARzań. O ile w moim mniemaniu centymetrowy spalony pozostaje wykroczeniem wedle przyjętego klucza i nie ma co się zżymać na nieludzką dokładność technologii (gdyby piłka przekroczyła choć o centymetr linię bramkową, raban byłby mniejszy, ale to, że piłkarz o czubek buta spalił pozycję, przypisuje się rozmiarowi jego stopy – cóż za bzdura), o tyle kwestia ręki w polu karnym jest wciąż zależna wyłącznie od sędziowskiej interpretacji, czyli sporna. Obrońcy i tak nauczyli się wbrew instynktowi samozachowawczemu wystawiać na strzał z rękami założonymi za plecami, ale polowanie na rękę nie ustaje – każde odbicie piłki od korpusu zawodnika w polu karnym wywołuje presję na sędziego, piłkarze domagają się sprawdzenia, czy aby ręka była ułożona naturalnie,

Choć na wszystkich turniejach mistrzowskich Ronaldo strzelał z rzutów wolnych 60-krotnie i tylko raz udało mu się trafić do bramki, nie odda piłki nikomu.

my sobie zatem, jak bolesny byłby powrót do rzeczywistości świeckiej dla kogoś, kto przez kilka tygodni uczestniczył w dwóch, trzech, a nawet czterech liturgiach dziennie. Dlatego lada moment będziemy się łąpać każdej namiastki i karmić swoje nienasycenie choćby tak żałosnymi erzacami jak pojedynki naszych ligowców w rundach wstępnych europejskich pucharów.

czy nie da się podciągnąć tego pod rzut karny. Ale w meczu Niemcy-Dania wszystkie decyzje sędziego były prawidłowe, ręka Duńczyka zmieniła tor lotu i bardziej była ewidentna niż wcześniejszy faul ofensywny Niemca, z powodu którego sędzia anulował bramkę Schlotterbecka. Shitstorm rozpętany po tym meczu przez dziennikarzy srodze mnie zażenował – po pierwsze, to



Portugalia 1 lipca męczyła się ze słoweńskim autobusem.
Nz. Cristiano Ronaldo w starciu z Vanją Drkusiciem.

dzięki VAR minęły bezpowrotnie czasy przepychania gospodarzy na rympał, tak jak to było na mundialu w Korei w 2002 r.; po drugie, Niemcy byli wyraźnie lepsi. Choć może nie było tego widać gołym okiem, tak jak w przypadku Szwajcarów, którzy bez szczególnego wysiłku obnażyli kryzys włoskiej piłki reprezentacyjnej. O ile kluby z Italii – głównie za sprawą cudzoziemców – odzyskują powoli europejski prymat, który straciły na rzecz lig angielskiej i hiszpańskiej, o tyle reprezentacja po zdobyciu przed trzema laty mistrzostwa Europy wyłącznie rozczarowuje. A może to po prostu wyczerpanie tytanów przeciążonych sezonem? Najlepsi muszą grać najwięcej, finały pucharów, czyli najważniejsze mecze sezonu, odbywają się grubo po zakończeniu rozgrywek ligowych, więc największe gwiazdy futbolu mają najkrótsze wakacje. A mogą ich nie mieć wcale, jeśli FIFA zdoła wcisnąć do kalendarza jeszcze klubowy mundial. W ten sposób superhity zmieniają się w takie październiki jak mecz

Belgia-Francja, bodaj najłabsze spotkanie turnieju w wykonaniu dwóch drużyn z podium światowego rankingu! Sposób, w jaki trójkolorowi dostali się do ćwierćfinału, nie ma precedensu w historii – nie zdobyli ani jednej bramki

Hiszpanie i Niemcy powinni przeciw sobie zagrać dopiero 14 lipca.

z gry, w ogóle strzelili tylko jedną za sprawą jedenastki wykonanej przez Mbappé, pozostałe dwie strzelali sobie sami rywale.

Jeśli Francuzi uznali, że i tak zdobędą mistrzostwo Europy, grając na 50% swoich możliwości, mam nadzieję, że ta strategia została skarczona przez Portugalczyków (wiedzieć tego nie mogę w przededniu ćwierćfinałów Euro). Inna sprawa, że akurat grając przeciw Belgom, drużyna francuska, oparta w lwiej części na potomkach imigrantów afrykańskich, mogła się czuć cokolwiek

przygnębiona po pierwszej turze przyspieszonych wyborów w ojczyźnie. Portugalia też się męczyła ze słoweńskim autobusem niesłychanie, cały ceremoniał bólu i rozpacz zaprezentował zaś jak zwykle Cristiano Ronaldo – prawdziwy mistrz cierpiennej ekspresji. Choć na wszystkich turniejach mistrzowskich strzelał z rzutów wolnych 60-krotnie i tylko raz udało mu się trafić do bramki, nie odda piłki nikomu, a przecież ma w drużynie lepszych specjalistów. Nie wzruszyły mnie jego łzy po karnym obronionym przez Oblaka; Ronaldo jest nieznośnym 40-letnim atencjuszem, którego szantaże emocjonalne osłabiają moc reprezentacji od lat – nie przypadkiem Portugalia wygrała Euro jedyny raz właśnie wtedy, gdy jej boiskowy dyktator musiał zejść z murawy. Gestykulacje skądinąd stały się pożywką dla dostawców kontentu, żerujących na wszystkim, co wystaje ponad poziom murawy i wykracza poza linie autowe – a to cieszylna Bellinghama, który genialną przewrotną w ostatnich sekundach meczu uratował Anglię, a potem zbyt dosłownie pokazał, że ma cojones; a to nieodpowiednio zgięte palce Demirala, ojca zwycięstwa Turków nad Austriakami. Piłkarze, świadomi tego, że są na nieustannym podglądzie, wystawieni przed obiektywy kamer i aparatów, czyhających tylko na jakąś chwilę nieuwagi, aby można było wypuścić w świat clickbaitowy kompromat, zasłaniają usta podczas prywatnych pogawędek, ale w chwilach nieokietznanej euforii zapominają o poprawności politycznej – ku własnej zgubie.

Na szczęście dla fanów futbolowego piękna ten turniej dostarcza zachwytów: parada roku tureckiego bramkarza w ostatnich momentach meczu z Austriakami, wspomniany gol angielskiego młokosa, furia młodości i talentów całej hiszpańskiej drużyny – wypada jedynie żałować, że pechowa drabinka kazała nam po raz kolejny zobaczyć przedwczesny finał już na poziomie ćwierćfinału: Hiszpanie i Niemcy powinni przeciw sobie zagrać dopiero 14 lipca. ■

Dariusz Zalega

Z powodu słabości rodzimego kapitału i postanowień konwencji genewskiej aż do połowy lat 30. znaczna część przemysłu polskiego Śląska pozostawała w ręku niemieckich koncernów. Rósł również obecnosc kapitałów francuskiego i amerykańskiego, które polskie władze zachęcały do inwestowania w śląski przemysł w nadziei, że podniesie to pozycję państwa na arenie międzynarodowej. Koordynację działań właścicieli wielkich zakładów dalej zapewniał Związek Przemysłowców Górniczo-Hutniczych. W przedsiębiorstwach zaczęli się pojawiać nieliczni polscy dyrektorzy, jednak było to działanie bardziej na pokaz, a inna sprawa, że część z nich okazała się podatna na propozycje korupcyjne. Także do rad nadzorczych koncernów zaczęto kooptować Polaków, chcąc tym samym zapewnić przychylnosc ze strony władz nowego państwa. Obok Korfanteo, który zasiadał w kilku radach nadzorczych, powoływano znanych

Chachary, czyli ludowa historia Górnego Śląska

dwa nacjonalizmy zawzięcie zwalczając, przynosząc nieobliczalne szkody moralne śląskiej ludności obydwóch kierunków narodowościowych". Autor przyjął za rzecz normalną, że Niemcy bronią swych praw, jednak mimo to wierzył, że „współzycie na Śląsku jest możliwe i leży w interesie naszego życia gospodarczego i politycznego. Musimy tylko zrezygnować ze środków walki, które to współzycie utrudniają”.

Sytuację komplikowały jeszcze niemal permanentne problemy gospodarcze, z jakimi musieli

stronie znalazło się aż trzy czwarte wszystkich górnośląskich górników (144 tys.). Wszelkie problemy górnictwa od razu więc odbijały się na nich, a w związku z liczebnością tej grupy także na sytuacji panującej w całym regionie. Hutnictwo zatrudniało trzykrotnie mniej osób niż kopalnie węgla, a jeszcze mniej przemysł przetwórczy. W latach 20. w związku ze wzrostem wydajności pracy liczba górników zmniejszyła się jednak aż o jedną trzecią, do 100 tys. w 1929 r. Okres dobrej koniunktury trwał tylko kilka lat i został przerwany gwałtownie na przełomie lat 20. i 30., wraz z wybuchem globalnego kryzysu gospodarczego.

Regionalny Sejm Śląski stał się symbolem autonomii obiecanej przez polskie władze jeszcze przed plebiscytem. Gwarantowała ona też nienaruszalność wcześniej zdobytych praw socjalnych. Sejm Śląski mógł decydować w sprawach szkolnictwa, policji, organizacji administracji wojewódzkiej i samorządu, rolnictwa czy wyznań. Do czasu gdy sanacyjny wojewoda Michał Grażyński pod koniec lat 20. umocnił swoją władzę, obrady Sejmu były często burzliwe, ale i dość efektywne. Niemniej sama autonomia nie gwarantowała wyższego poziomu zabezpieczeń społecznych niż w reszcie Polski.

Autonomiczny Śląsk pozostawał w tyle za resztą Polski choćby pod względem uprawnień pracowników administracji, zarówno tych opłacanych z budżetu państwa, jak i ze Skarbu Śląskiego. Urzędnicy sądownictwa i prokuratury nie otrzymywali wynagrodzenia za nadgodziny,

Autonomiczny status Górnego Śląska, choć korzystny, nie wystarczał, aby załatwić wszystkie problemy.

prawników, różnego rodzaju „zaśluzonych działaczy”, a nawet arystokratów, takich jak książę Radziwiłł czy hrabia Poniński.

Wszystko to jednak działo się w cieniu wciąż trwającego konfliktu polsko-niemieckiego. Edward Długajczyk pisał: „W szerokich kręgach opinii publicznej panowało przekonanie, że Śląsk wymaga stałego wysiłku polonizacyjnego, gdyż życie w województwie toczy się pod przemożnym wpływem rywalizacji polsko-niemieckiej. Ten sposób widzenia zacieśniał pole praktycznego działania. Dla poszczególnych ugrupowań, wyznających zasady katechizmu narodowego, stał się wygodną odskocznią usprawiedliwiającą niemal wszystkie ich poczynania”. Rzadkie były wówczas głosy takie jak ten Adama Wojciechowskiego z „Gazety Robotniczej”: „Dziś się te

się borykać mieszkańcy polskiego Śląska. W zasadzie tylko kilka lat okresu międzywojennego można uznać za pomyślne pod względem koniunktury gospodarczej. Początkowy okres, do 1925 r., to czas powojennego kryzysu, galopującej inflacji, a także wyzwań związanych z koniecznością dostosowania się przedsiębiorstw do nowych realiów działalności. Okazało się, że niezbyt chłonny polski rynek wewnętrzny nie jest w stanie przyjąć większej części produkcji górnośląskich zakładów, a to, w połączeniu z napięciami w bilansie płatniczym państwa, wymuszało prowadzenie eksportu na granicy dumpingu. Koszty ponosili często krajowi konsumenci, płacący zawyżone ceny za te same produkty, które eksportowano po zaniżonych cenach. Podkreślić przy tym należy, że po podziale regionu po polskiej



Strajk w kopalni węgla kamiennego Klimontów w Sosnowcu, marzec 1933 r. Nz. żony górników czekające pod bramą.

a nauczycielom przysługiwały pensje mniejsze niż w innych regionach (w drugiej połowie lat 30. wahały się od 160 do 260 zł). Podobnie zarabiała większość urzędników państwowych i wojewódzkich. Były to więc zarobki na poziomie płac robotników. Co więcej, wśród pracowników umysłowych panowało chroniczne bezrobocie. Na przełomie lat 20. i 30. pracę straciło ponad tysiąc nauczycieli i blisko 3 tys. urzędników, przede wszystkim miejscowych, ponieważ nie mieli pełnego średniego wykształcenia lub dodatkowych kwalifikacji zawodowych.

Zdecydowanie lepiej mieli na polskim Śląsku księża. Można ich zaliczyć do pracowników budżetówki, gdyż na mocy konkordatu z 1925 r. duchowieństwo katolickie opłacane było z budżetu państwa, a na Śląsku – ze Skarbu Śląskiego. Sejm Śląski przyznał księżom też 20% dodatku drożyznianego. Duchowni mieli zapewnić poparcie wyborcze i brać udział w „przywracaniu Ślązaków do Macierzy”, toteż mogli stawiać warunki. Już w 1922 r. poseł i ksiądz Karol Mathea stwierdził, że w skład Rady Wojewódzkiej nie może wchodzić „ateusz”, a Korfanty dowodził,

że śląską społeczność mogą reprezentować wyłącznie wierzący. Kiedy na forum Sejmu Śląskiego rozgorzała dyskusja w sprawie utworzenia cmentarzy komunalnych, księża Brzuska i Mathea ostro zaprotestowali, a ten ostatni przy tym stwierdził buńczucznie: „Kto może być dopuszczony na nasze cmentarze, tylko my rozstrzygamy”.

Kwestia cmentarzy nie była zresztą błahostką i mogła nawet stać się zapalnikiem poważnego sporu, o czym świadczą wydarzenia ze

wdowa zrezygnowała z pogrzebu w asyście księdza. To ewidentnie zdenerwowało duchownego, który wysłał do rodziny wikarego z informacją o zmianie godziny pogrzebu i przesunięciu go na 13. O tym, co zdarzyło się dalej, „Gazeta Robotnicza” pisała: „W wyznaczony czas zjawiła się masa towarzyszy z Świętochłowic i okolicznych wsi z czterema sztandarami. Z orkiestrą na czele posuwał się kondukt na cmentarz. Zadziwiło jednak wszystkich, że bram cmentarza strzegła sekcja

Przejawem znacznych wpływów Kościoła na Śląsku była sprawa wprowadzenia celibatu dla nauczycielek.

Świętochłowic. Na dzień Wszystkich Świętych w 1923 r. zaplanowany był pogrzeb socjalisty Jakuba Fołtyna, który zmarł – jak napisała „Gazeta Robotnicza” – na „chorobę proletariacką”, czyli na gruźlicę. Rodzina Fołtyna w porozumieniu z jego towarzyszami z lokalnej organizacji PPS ustaliła pogrzeb na 15.30. Proboszcz za pochówek zażądał jednak 4,5 mln marek polskich (przypomnijmy, że to czas hiperinflacji), w związku z czym

policji. Posterunkowy zapowiedział, że z rozkazu burmistrza nie wolno wnieść na cmentarz sztandarów i czerwonych szarf. Wzburzony takim postępowaniem rozpolitykowanego klechy tłum jednak usunął straż i zdążył do kostnicy cmentarnej, gdzie złożono trumnę, ponieważ grób nie był wykopany”. Korespondencja „Gazety Robotniczej” kończyła się przestrogą: „Tylko tak dalej, księża górnośląscy, a przyjdzie czas, ▶

► gdzie lud się obudzi i z wstrętem od was znienawidzających biednych, ale światłych robotników, się odwróci”.

Innym przejawem znacznych wpływów Kościoła na Śląsku była sprawa wprowadzenia celibatu dla nauczycielek. „Wzywa się p. Wojewodę, aby w jak najkrótszym czasie wniósł projekt ustawy, zaprowadzającej w szkolnictwie śląskim celibat dla nauczycielek”, taką rezolucję w czerwcu 1924 r. uchwaliła Komisja Budżetowa Sejmu Śląskiego. Inicjatorem był Klub Chrześcijański

na naukę religii przewidziano więcej godzin, niż wynosiła ogólnopolska norma. Kościół chciał w miarę możliwości utrzymać albo nawet wzmocnić kuratelę nad wychowaniem młodego pokolenia. W latach 30. Kuria Biskupia w Katowicach rozpoczęła otwartą walkę o wprowadzenie w województwie śląskim szkoły wyznaniowej powszechnej i średniej, a przeciwko rozciągnięciu na Śląsk ogólnopolskiej ustawy o ustroju szkolnym, odrzucającej postulaty wyznaniowe.

Duchowni mieli zapewniać poparcie wyborcze i brać udział w „przywracaniu Ślązaków do Macierzy”, toteż mogli stawiać warunki.

Demokracji, kierowany przez Korfantego, a wzór stanowiły regulacje, które wcześniej obowiązywały w Prusach. Ustawę przyjęto ostatecznie w 1926 r. (obowiązywała do 1938 r.), a kobiety musiały od teraz wybierać: praca albo rodzina. Tylko w 1926 r. w wyniku wprowadzenia celibatu zwolniono 250 nauczycielek (także z pełnymi kwalifikacjami), a w następnych latach odchodziło ze śląskiego szkolnictwa z tego powodu co roku kilkadziesiąt kobiet, które otrzymywały trzymiesięczną odprawę, ale traciły w związku z tym prawo do emerytury z okresu wysługi nauczycielskiej. (...)

Ponieważ był problem z mężczyznami, którzy mieliby kwalifikacje do pracy jako nauczyciele, bo albo poległ podczas wojny, albo wyjechali, to na Śląsk z konieczności zaczęły przybywać nauczycielki z innych części Polski. Oczywiście niełatwo im było znaleźć wspólny język z miejscowymi, ale z drugiej strony wносиły pewien powiew nowoczesności do śląskiego szkolnictwa, nad którym po pozbyciu się urzędników „antykatolickich” Prus chciał wzmocnić swoją kontrolę Kościół. Od nauczycieli i nauczycielek oczekiwano wobec tego, że nie tylko będą uczyć, ale również będą współorganizatorami uroczystości religijnych, a może nawet łącznikami między plebanią a ludnością. Nie było też przypadkiem, że w śląskich szkołach

Po wprowadzeniu celibatu dochodziło nawet do denuncjowania przez proboszczów i delegacje „szacownych obywateli” nauczycielek podejrzewanych o utrzymywanie stosunków z mężczyznami. W 1925 r. zorganizowano nagonkę na nauczycielki szkoły w Kobiórze z powodu rzekomego niemoralnego prowadzenia się (polegającego na noszeniu „niewłaściwych” strojów) oraz lekceważenia praktyk religijnych. W ich obronę zaangażowała się jednak część miejscowych mieszkańców, zainspirowana przez dwóch kolegów. Hierarchowie chcieli, aby życie toczyło się zgodnie z zasadami panującymi kiedyś, ale ten dawny świat odchodził już do przeszłości. (...)

oczywiście o idee, a główną motywacją do zmiany barw politycznych była zwykle obietnica awansu czy choćby tylko gwarancja zachowania pracy w czasach kryzysu.

W obu tych obozach politycznych – do których walki często sprowadza się dzieje polityczne międzywojennego Śląska – znaleźli się oczywiście także robotnicy. Jedni z powodów raczej koniunkturalnych, drudzy ze względu na przywiązanie do „tradycyjnych wartości”. Specyficzna struktura społeczna wpływała jednak na charakter głoszonych haseł – nawet prawicowe stronnictwa nie mogły ignorować praw pracowników czy tolerować bierności władz wobec bezrobocia. Z tego względu śląskie ekspozytury ogólnopolskich obozów politycznych sytuowały się zwykle bardziej na lewo względem struktur działających w innych częściach kraju. Było to tym łatwiejsze, że w końcu fabryki były w rękach obcego kapitału, więc radykalne postulaty społeczne można było uzasadniać w kategorii konfliktu narodowościowego. Ciekawe pod tym względem są dzieje Narodowej Partii Robotniczej, opierającej wpływy na strukturach Zjednoczenia Zawodowego Polskiego.

NPR w pierwszych latach niepodległości była jedną z największych sił politycznych na Górnym Śląsku (oficjalnie miała tutaj 50 tys. członków). Wprawdzie uznawała istnienie walki klasowej, niemniej podstawą jej programu był solidaryzm narodowy

Po podziale regionu po polskiej stronie znalazło się aż trzy czwarte wszystkich górnośląskich górników (144 tys.).

Z uwagi na specyfikę regionu wszystkie liczące się siły polityczne musiały z konieczności odwoływać się do robotniczego elektoratu. Chęć Korfantego mocno akcentowała swoje przywiązanie do chrześcijaństwa i tradycjonalizm. Środowisko prostanacyjne gwałtownie zaczęło się rozwijać po zamachu majowym w 1926 r., przede wszystkim dzięki wyciąganiu ludzi działających dotychczas w innych ugrupowaniach. W niewielkim stopniu chodziło

oraz nawiązania do chrześcijańskiej doktryny społecznej. Mimo to jeszcze w 1920 r. Kościół niepokoił się radykalizacją części działaczy tego tzw. narodowego ruchu robotniczego, wobec czego zaczął on tracić poparcie kościelnych hierarchów. Trzy lata później, w 1923 r., zjazd ZPP opowiedział się za stopniowym „uspołecznianiem środków produkcji”, uznając przy tym strajk ekonomiczny za dopuszczalną formę walki robotników, choć wykorzystywaną



Bezrobotni górnicy z kopalni Hrabina Laura na ulicach Chorzowa, lata międzywojenne.

tylko w ostateczności. Postowie NPR w Sejmie Śląskim postulowali rozszerzenie uprawnień rad zakładowych, ale równocześnie przyczynili się do uchwalenia wspomnianej ustawy o celibacie nauczycielek. Lawirując między chadecją i sanacją, partia stopniowo traciła wpływy, opierając swoją siłę niemal wyłącznie na związkowcach z ZZP. Gdy rozeszły się drogi działaczy związkowych i polityków, NPR szybko zaczęła tracić członków (zwłaszcza wśród robotników) i już na początku lat 30. była tylko marnym cieniem dawnej potęgi.

Autonomiczny status Górnego Śląska, choć korzystny, oczywiście nie wystarczał, aby załatwić wszystkie problemy. Zresztą Warszawa dużo ściągała ze Śląska, a w zamian przysyłała spory kontyngent urzędników, często obsadzających wysokie stanowiska. Spoza Śląska pochodziła większość nowych kadr urzędniczych i technicznych, co nieraz rodziło poczucie rozgoryczenia. „Po plebiscycie, pod koniec roku 1922 przybyli do kopalni pierwsi polscy inżynierowie. Radośnie witała ich załoga w nadziei, że będą lepiej traktowani. Ale jakże gorzkie było rozczarowanie. Jeżeli jakiś powstaniec lub działacz społeczny

zwracał się do nich z prośbą o pomoc, to słyszał: »Ja was do powstania nie posyłałem«, wspominał górnik Józef Bankiel. Z kolei Eugeniusz Kopeć przytaczał cytaty z 1927 r.: „Jedną z najczęstszych wad, którą przynoszą ze sobą na Śląsk wyżsi przeważnie urzędnicy z innych dzielnic Polski, to ta wstrętna wielkopańskość i szlacheckość, która w tak zdeokratyzowanym społeczeństwie, jak je spotykamy w województwie śląskim, przynosi wiele szkody”. Kommentując to zjawisko, pepeesowska „Gazeta Robotnicza” wprost pisała, że „robotnik na Śląsku zdobył państwo, ale nie ma w nim ojczyzny.

Ten „import” kadr był pewną koniecznością, ponieważ na Śląsku rzeczywiście brakowało rodzimej polskiej inteligencji. W 1919 r. w zjeździe założycielskim Śląskiego Związku Akademików zrzeszającego osoby utożsamiające się z polskością wzięło udział tylko 110 osób, z czego większość stanowili księża. W tym samym roku w Bytomiu powstało także Towarzystwo Górników i Hutników Ziemi Polskich dotychczasowego zaboru pruskiego, mające skupiać kadrę inżynierską. W jego składzie znalazło się jednak najpierw dziewięć,

a potem 16 osób... Nie było w tym nic dziwnego, skoro w 1911 r. na 91 polskich Ślązaków studiujących w Niemczech tylko dwie osoby wybrały politechnikę. (...) Dokonywały się jednak mimo to pewne korzystne zmiany: w 1928 r. powołano Instytut Pedagogiczny w Katowicach, rok później Śląskie Konserwatorium Muzyczne, a w 1936 r. Wyższe Studium Nauk Społeczno-Gospodarczych. Namiastką politechniki stały się działające od początku lat 30. Śląskie Techniczne Zakłady Naukowe.

W przypadku młodzieży robotniczej aspiracje edukacyjne dodatkowo skutecznie blokowały wysokie opłaty za naukę w szkołach średnich, nie mówiąc już o wyższych. W roku szkolnym 1935/1936 w czwartych klasach szkoły średniej ogólnokształcącej w województwie śląskim uczyło się zaledwie 15% uczniów z rodzin robotniczych (choć jak na standardy ogólnopolskie i tak było to dużo). Dla większości młodzieży zwyciężeniem ścieżki edukacji było więc osiągnięcie statusu robotnika wykwalifikowanego.

W okresie powojennym spadła liczba kobiet pracujących w przemyśle – przy wysokim ▶

► bezrobociu to one zwykle pierwsze tracili pracę. Był od tego jeden wyjątek, czyli bielskie włókiennictwo. (...) Praca kobiet była tańsza i bardziej opłacalna dla właścicieli zakładów. O ile robotnice stanowiły połowę spośród 18,7 tys. zatrudnionych w przemyśle włókienniczym okręgu bielskiego w 1928 r., to w kryzysowym 1932 r. odsetek kobiet sięgnął 60% przy łącznej liczbie 15 tys. pracowników. Inspektorzy pracy wskazywali na fatalny stan urządzeń

osób podlegających opodatkowaniu była z tego obowiązku zwolniona z powodu zbyt niskich zarobków. Pod koniec lat 20. zarobki robotnika górnośląskiego były niższe o 20-30% niż w Zagłębiu Ruhry. Mieszkania były przeludnione, a czynsze należały do najwyższych. (...)

W okresie międzywojennym polski ruch narodowy po niemieckiej stronie granicy systematycznie tracił wpływy. Różnie to tłumaczono: represjami, odpływem najaktywniejszych

wyprodukowano trzy razy więcej stali niż w 1913 r. Trzy czwarte węgla wydobywanego w Czechosłowacji pochodziło wówczas ze śląskiego zagłębia. Dalej ściągali tu więc za pracę ludzie zarówno z Moraw, jak i z Polski. Warto podkreślić, że podczas gdy na Śląsku Opawskim robotnikami byli niemal wyłącznie Niemcy, to na Śląsku Cieszyńskim byli to Polacy i Czesi (stanowili po ok. 70% ludności czynnej zawodowo swych narodowości).

Jak wszędzie w ówczesnej Europie Środkowo-Wschodniej, także tutaj manipulowano statystykami dotyczącymi narodowości mieszkańców. Według oficjalnych danych ze spisu z 1921 r. mieszkało w tym regionie 300 tys. Czechów, 250 tys. Niemców (zdecydowanie dominowali w rejonie Opawy) i tylko 68 tys. Polaków. Tego typu statystyki zmieniały się w zależności od tego, jakie kryterium brano pod uwagę: język używany na co dzień czy poczucie narodowe. Znaczna część ludności polskojęzycznej wybrała opcję „polski Ślązak”, wywołując oskarżenia o zdradę ze strony narodowców.

Pod koniec lat 20. zarobki robotnika górnośląskiego były niższe o 20-30% niż w Zagłębiu Ruhry.

sanitarnych w zakładach i „sypialniach fabrycznych”, omijanie przepisów bezpieczeństwa, brak jadalni...

Utrudniony był również dostęp do mieszkań o przyzwoitym standardzie. Bielscy radni nie byli chętni do przeznaczania terenów na budowę domów dla robotników w obrębie miasta (o co walczyli socjaliści), ponieważ obawiali się, że ulegnie ono „proletaryzacji”. (...)

Podczas gdy na polskim Górnym Śląsku dominowali wśród robotników górnicy i hutnicy, inna była struktura klasy robotniczej w niemieckiej części regionu. Szczególnie wysoka była liczba robotników rolnych, a przemysłowa klasa robotnicza koncentrowała się w rejonie Bytom – Gliwice – Hindenburg. Na wsi trwałoby zjawisko *Landsflucht*, czyli odpływu mieszkańców do pracy w przemyśle, co budziło obawy niemieckich władz przed groźbą „wyludnienia” regionu. Do wyjazdów mogły skłaniać też skutki kryzysu gospodarczego, który po wojnie, powstaniach i plebiscycie dotknął niemiecki Śląsk. Był on m.in. rezultatem podziału regionu, utraty rynków zbytu i zerwania sieci kooperacji w gospodarce, ale też napływu optantów z terenów polskiego Śląska.

Sytuacja wyraźnie poprawiła się dopiero w latach 1925-1928. Dobra koniunktura pozwoliła na znaczące podwyżki płac realnych oraz na poprawę warunków pracy. Mimo to na tle innych regionów Niemiec żyło się tu nadal skromnie, a aż połowa

działaczy lub słabością ekonomiczną polskiej społeczności. Warto jednak zwrócić uwagę na jeszcze jedną rzecz. Kolportowany także na niemieckim Śląsku „Dziennik Berliński” w artykule wzywającym do poparcia Polsko-Katolickiej Partii Ludowej w wyborach do pruskiego landtagu pisał w ten sposób: „Czyż Polacy od tysiąca lat nie należą do Kościoła katolickiego i do kultury zachodnioeuropejskiej?

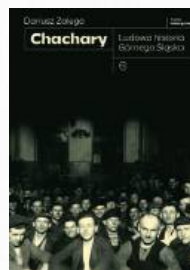
Gdy na Śląsku Opawskim robotnikami byli niemal wyłącznie Niemcy, to na Śląsku Cieszyńskim byli to Polacy i Czesi.

Że Niemiec więcej książek drukuje i więcej gazet czyta, to nie stanowi jeszcze o wyższości kultury niemieckiej nad polską. Przeciwnie, można w tym dopatrzeć się już pewnej nadkultury, która jest objawem niezdrowym jak wszystko przesadzone”.

Ta swoista polsko-katolicka wizja, jakby żywcem wzięta ze świata z końca XIX w., po prostu odstawała od zmieniającego się społeczeństwa regionu. Nie może dziwić, że ufundowany na niej polski ruch narodowy tracił atrakcyjność i przestawał przyciągać zwłaszcza przedstawicieli młodszych pokoleń.

Jeszcze inaczej rozwijała się ta część Śląska, która weszła w skład Czechosłowacji. Tutejszy przemysł okazał się beneficjentem powojennego boomu gospodarczego. W wielkiej hucie w Trzyńcu w 1929 r.

Środowisko polskie było także podzielone z powodu silnych wpływów komunistycznych oraz rozpowszechnionej postawy akceptacji dla dokonanego po wojnie podziału regionu. Z kolei w bardziej uprzemysłowionej części Śląska Opawskiego dominowali niemieccy socjaliści nastawieni lojalistycznie wobec Pragi. Nie ulega wątpliwości, że w porównaniu z sąsiednimi państwami konflikt narodowy nie był tu aż tak zaogniony. Łagodzeniu antagonizmów narodowościowych sprzyjała też sytuacja gospodarcza, znacznie lepsza niż panująca za polską czy niemiecką granicą.



Fragmenty książki Dariusza Zalegi *Chachary. Ludowa historia Górnego Śląska*, Krytyka Polityczna, Warszawa 2024

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Umysły zniewolone

O mawiając recepcję swego „Zniewolonego umysłu”, Czesław Miłosz wspominał, jak został kiedyś „bohaterem Indonezyjczyków”: „Zapytałem, dlaczego, przecież ich gnębi dyktatura prawicowa. Odpowiedzieli: »Nic nie szkodzi, wszystko poza tym się zgadza«”.

Dyktatura prawicowa! Jakże niedawno ją przeżywaliśmy i jak wciąż może do nas powrócić! Przypomniałem sobie tę rozmowę, czytając „Fenomen pisizmu” Jerzego Czecha. Autor, znakomity tłumacz literatury rosyjskiej (ostatnio już tylko ukraińskiej), wypróbował swe siły do ukazania umysłowego zacządzenia. Jego zbiorku nie sposób porównywać z analizami Miłosza, jest on jednak świadectwem podobnym: kapitulacji rozumu przed wiarą. „Sam wyniosłem z domu religijność... – pisze autor – tyle że w odniesieniu do Boga... Ale do dziada z Nowogrodzkiej czy jego nieszczęsnego brata? Tego zgłębić nie potrafię”. Takich dylematów Miłosz jednak nie miał.

Bowiem analizowane przez niego zacządzenie stalinizmem można było mimo wszystko zrozumieć. Po załamaniu się dawnego świata, po najokrutniejszej wojnie w ludzkich dziejach przychodziła oto Nowa Wiara, oferująca likwidację „wyzysku człowieka przez człowieka” oraz zapanowanie – już na zawsze! – „ustroju sprawiedliwości społecznej”. Tak, wiara ta była naiwna i prostacka, ale właśnie dlatego możliwa do przyjęcia przez masy. A przez intelektualistów mogła być zawsze wyprowadzona z poważnych nurtów europejskiej filozofii. Z obecną Nową Wiarą jest inaczej: jest ona od początku wyjąłowana z myśli. Jeżeli do czegoś sięga, to do nauki Kościoła, a tu, po eliminacji przez Jana Pawła II niepokornych teologów, wznosi się już tylko gmach pustoty: zaskorupiały i zmurszały. Dzisiejsza Nowa Wiara musi więc zadowalać się klepaniem zasłyszanych w Kościele formułek. A wytresowana w ten sposób, musi mechanicznie powtarzać kolejne polityczne „przekazy dnia”. Oto miałość naszych czasów.

Naszych czasów – bo nie jest to specyfika wyłącznie polska. PiS płynie – podobnie jak Le Pen czy Trump – z falą światowego populizmu. Przyczyn tych triumfów prawicy nie podejmuję się analizować, ale wiem jedno: pisizm nie wynika z bankructwa wiar. On zrodził się z potrzeby wiary. Z odruchowego irracjonalizmu. Pisizm musi być awanturniczy, bo konflikt wystarcza tu za program. I musi być płytki. A także nudny, banalny do bólu zębów. „Nocna zmiana”, „suwerenność”, „dumny naród”, „przemysł pogardy”... Jak długo można to bębnić?

Ze stalinizmu mógł z czasem zrodzić się ruch dysydencki, z pisizmu wydaje się to wykluczone.

Miałość, jałowość... W pisowskim świecie nie ma prawd stałych i własnych, nie ma zasad. Zdawałoby się, że przynajmniej religia lustracyjna jest tu święta. Ale i to nie. Ona jest święta tylko wtedy, gdy nie bije w „naszych”. Tylko wtedy, gdy jest „politycznym złotem”. Zbi-gniew Herbert – przypomina Czech – nie współpracował oczywiście z esbekami, ale stale wyjeżdżał za granicę, więc by otrzymać paszport, musiał z nimi rozmawiać. Pieszczoszek reżimu? Wszak gdyby „na miejscu Pana Cogito znalazł się ktoś, kto nie ma ksywki »Książę niezłomny« i należy do przeciwnego niż PiS obozu, czekałaby go infamia, której nawet śmierć by nie przekreśliła”. Oto pisowska podwójna moralność.

A oto nielogiczność: „Kiedy – pisze Czech – polski sąd wydał decyzję o odmowie ekstradycji Romana Polańskiego, Ziobro zaczął się pieklić, a z jego słów wynikało, że ustawodawstwo stanu Kalifornia uznaje on... za nadrzędne w stosunku do polskiego”. Tako rzecze polski suwerenista. A oto kłamstwo, znak rozpoznawczy

Zbiorku Jerzego Czecha nie sposób porównywać z analizami Miłosza, jest on jednak świadectwem podobnym: kapitulacji rozumu przed wiarą.

pisizmu. Że Jadwiga Kaczyńska była autorką – tworzonej przez większość istnienia PRL – monografii bibliograficznej Leona Kruczkowskiego, to wiemy. Ale że przyjaźniła się z Luną Brystygierową? Ten smakowity epizod umknął nawet Czechowi. Ze świata pisowskiego prawda została wygnana – pozostały narracje. Jak u Trumpa.

Ale nawet tego mało: na dnie idei jest tu zawsze pa-zerność. Oto recepta Czecha na pisowski sukces: „Zakładamy, powiedzmy, Instytut Wspierania Patriotyzmu, obejmujemy jego dyrekcję... Wyznaczamy sobie pensję, powiedzmy, trzydzieści tysięcy miesięcznie...”. Rzeczpospolita jako „postaw czerwonego sukna”? Gdzieśmy byli przez ostatnie osiem lat? Jakie nowe pigułki Murti-Binga zażyła wtedy połowa społeczeństwa? Od kogo pigułki te kupiła? I czy nadal ma je w zapasach?

Książeczka Czecha, nieraz zabawna, napisana soczystym językiem, upomina się o ludzki rozum. „To, co było, może przyjść”, więc przychodzi nam na odsiecz. A wobec nowych zagrożeń przychodzi w samą porę.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Taki przebiegły to ja nie jestem

Mam pewien opór przed formułą „teatr środka”, bo utarło się, że to raczej przytyk niż świadectwo otwartości



WOJCIECH FARUGA

– nowy dyrektor Teatru Dramatycznego im. Gustawa Holoubka w Warszawie, powołany na pięcioletnią kadencję. Reżyser, scenograf i dramaturg, wystawiał spektakle m.in. w Starym Teatrze, Teatrze Powszechnym w Warszawie czy w Teatrze Polskim w Bydgoszczy, w którym ostatnio był dyrektorem. Laureat Nagrody im. Konrada Swinarskiego dla najlepszego reżysera w sezonie teatralnym 2022/2023.

Rozmawia Tomasz Miłkowski

Dlaczego pan się wspina?

– Tak się złożyło, że w pewnym momencie zacząłem chodzić po górach, potem po coraz wyższych górach, a później się wspinać. Pozwala mi to fizycznie i psychicznie utrzymywać się na powierzchni nawet w najbardziej stresujących chwilach. Reżyser czy dyrektor teatru, choć o tym się nie mówi, to zawody, w których obciążenia psychiczne i stresy są ogromne. Trzeba więc wypracować sobie sposób na trzymanie pionu. Szukanie tego sposobu zajęło mi trochę czasu, ale go znalazłem.

Wspina się pan nie tylko po górach – mam na myśli trwające pod pana

kierunkiem próby „Fausta” Goethego w Teatrze Narodowym w Warszawie. To dopiero wspinaczka – na jeden z najwybitniejszych tekstów dramatycznych, jakie zna Europa.

– Nie bez lęku.

Lęk wysokości?

– Lęk wysokości ma każdy, ważne, żeby sobie z nim poradzić. „Faust” jest wyzwaniem i jeśli sięgać po nie, to z zespołem, któremu się ufa. W ostatnich latach najczęściej, oprócz Teatru Polskiego w Bydgoszczy, pracowałem w Teatrze Narodowym. Jest w nim grupa aktorów i aktorek, z którymi czuję się mocno związany. Nasze poprzednie produkcje realizowaliśmy na Scenie przy Wierzbowej. Kolejna będzie już na Scenie Bogusławskiego.

Dlaczego właśnie „Faust”?

– To był rodzaj impulsu, by sięgnąć po dzieło tak ogromne, że na początku tej pracy trudno założyć, dokąd wspólnie dojdziemy. Konieczne są potężne skróty, nie da się zagrać 500 stron. Nie wiem, czy nawet ktoś próbował. I chodzi tu nie o długość tego tekstu, ale o poziom komplikacji i liczbę wątków, postaci.

Spektakl musiałby trwać kilkanaście godzin.

– Dobę mogłoby to trwać, biologicznie nie do wytrzymania. Goethe w tym utworze próbuje się zmierzyć z dorobkiem kultury europejskiej. Jest to w pewnym sensie wyprawa w głąb tej kultury. Postanowiliśmy, że nasz „Faust” nie będzie sięgał do źródeł Europy, że zrobimy

opowieść o wieku XX. Postaramy się ulokować ją w figurach i znakach zeszłego wieku. Powoli zbliżamy się do tego celu. To fascynująca podróż. Zaskakuje nas w tej pracy, że to tak radykalny tekst, tak bardzo nowoczesny – np. na poziomie montażu. Dość dobrze pamiętam „Fausta” Jerzego Jarockiego – wywarł na mnie ogromne wrażenie. Ale dziś inaczej interpretujemy postać Fausta, żeby zrozumieć, kim jest człowiek, który próbuje sprawować władzę nad światem. Figura alchemika wymaga reinterpretacji, bo w przeciwnym razie ta opowieść staje się bajką o czarodzieju. Podstawą tej reinterpretacji jest koncepcja archiwum, którego budowanie ma doprowadzić do powstania wielkiego dzieła, w sposób kompletny ujmującego rzeczywistość.

„Faust” to nie pierwszy klasyk na pańskiej drodze, bo w zasadzie od klasyków wszystko się zaczęło.

– Nigdy nie miałem oporów przed mierzeniem się z tekstami klasycznymi. Dzisiaj jednak mało która dyrekcja – poza dyrekcją Teatru Narodowego – godzi się na teksty klasyczne spoza najbardziej popularnego kanonu 10 tytułów. Szkoda, bo mierzenie się z klasyką zawsze jest inspirujące. **W pańskim dorobku klasyka sąsiaduje z tekstami współczesnymi, scenariuszami, adaptacjami, wielka w tym różnorodność. Krytycy bez sukcesu próbują się doszukiwać stylu pańskich przedstawień, a pan przed tym się broni.**

– Uważam, że brak tzw. stylu reżyserskiego jest w moim przypadku konsekwencją zespołowej pracy nad spektaklami. Być może dlatego one się różnią, a nie dlatego, że z góry sobie wymyślam, że teraz będę inny. Taki przebiegły to ja nie jestem. Lubię nowe wyzwania i rodzaj zmienności. Długo czas pracowałem na dużej scenie, potem z przyjemnością wróciłem na małą, ale tej dużej nie porzucam. Staram się pilnować pewnej różnorodności, jak z „Faustem”. Wydaje mi się, że zawód reżysera czy reżyserki polega właśnie na ciągłym redefiniowaniu siebie w pracy z nowymi współnotami.

Obejmując Teatr Dramatyczny, zapowiada pan budowanie „teatru

środką”. Czy różnorodność to patent na formułę tego teatru?

– Myślę, że tak powinny wyglądać teatry publiczne, żeby nikogo nie wykluczać. Być przystępne i otwarte na wielu poziomach, również repertuaru. Mam pewien opór przed formułą „teatr środka”, bo utarło się, że jest to raczej przytyk niż świadectwo otwartości. Nie dzielę teatru na progresywny i „dla ludzi”. To niezbyt rozsądny punkt widzenia. Można robić teatr na wysokim poziomie artystycznym, który nie jest hermetyczny.

Teatr Dramatyczny to największa scena miejska w Warszawie. Inaczej się programuje na 100 osób, inaczej na scenę, która ma 500 foteli. Nawet gdybyśmy założyli, że w pierwszym sezonie stworzymy szlagier na miarę musicalu „1989”, pozostaje pytanie, czy to wystarczy, aby Dramatyczny stał się miejscem, do którego ludzie będą chcieli wracać. Jeden spektakl

Procedura mojego powoływania była dość niezwykła. Konkurs nie został rozstrzygnięty, a potem trwały utrzymywane w tajemnicy rozmowy z warszawskim ratuszem.

tego nie robi. Myślę, że to proces, który będzie trwał lata. Jestem powołany na pięć lat, ale żeby zbudować komunikację z widownią i wewnętrzną komunikację w zespole, potrzebne są przynajmniej trzy sezony artystyczne. Nie mówię, że na razie będzie źle, a za trzy lata będzie dobrze. Rozumiem, że w Teatrze Dramatycznym, w którym w ostatnich miesiącach atmosfera była dość napięta, może być takie oczekiwanie, że ktoś przyjdzie i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wszystko odmieni.

Nie jest pan czarodziejem Faustem.

– Jestem tylko reżyserem „Fausta”. I nie zamierzam paktować z diabłem. Będę musiał się oprzeć na pracy organicznej, a to zakłada cierpliwość. Prawdopodobnie pojawi się presja, oczekiwanie na szybkie rezultaty, ale to miejsce wymaga spokoju, oddechu i czasu, żeby zbudowało się na nowo po trudnych przejściach.

Ale też po dawnej, pięknej tradycji.

– To akurat pole bardzo ważne dla nas – kiedy z Julią Holewińską, która będzie moją zastępczynią, rozmawiamy i przysłuchujemy się różnym opiniom, odnosimy wrażenie, że historia Teatru Dramatycznego sprowadza się do ostatnich dwóch dyrekcji, do zderzenia modelu progresywnego i konserwatywnego, a to bardzo krzywdzące dla historii tego miejsca.

Coś o tym wiem: moi rodzice do dzisiaj mieszkają osiem minut na piechotę od Teatru Dramatycznego. Jako nastolatek ustawiałem się tu w długich kolejkach po wejściówki. Jako licealista – za czasów dyrekcji Piotra Cieślaka, kiedy powstało wiele ważnych spektakli – czułem się z tym teatrem mocno związany. A jako student reżyserii, kiedy dyrektorem był Paweł Miśkiewicz, postrzegałem to miejsce jako pełne niezwykle progresywnych idei. W mojej opinii Dramatyczny w tym czasie był jedną z najciekawszych polskich scen

w ostatnim ćwierćwieczu. Często niedocenianą z różnych powodów, ale warto o tym pamiętać. Dlatego chcielibyśmy zaproponować już w pierwszym sezonie cykl projekcji spektakli archiwalnych, żeby przypomnieć dokonania teatru. Byłby to także pretekst do spotkania z twórcami i twórczyniami tych spektakli.

Zapewne możecie w tych planach liczyć na uporządkowane i uzupełnione przez Dorotę Buchwald i Wojciecha Majcherka archiwum Dramatycznego, w którym znalazło się mnóstwo wartościowego materiału.

– Jeszcze nie objęliśmy tych zasobów, ale bardzo byśmy chcieli z nimi pracować. Ważne jest dla nas, żeby ten teatr, zlokalizowany w bardzo charakterystycznym budynku, z charakterystyczną semiotyką i historią, nie uciekał od swojej przeszłości – chcielibyśmy do niej nawiązywać.

Choć oceniani będziecie za to, co sami stworzycie.

– Gdy przychodziliśmy w roku 2020 do Teatru Polskiego w Bydgoszczy, a trwał już tam remont, wiedzieliśmy, że organizacja festiwalu prapremier – bez sceny i odpowiedniej dotacji – nie będzie możliwa w dawnym kształcie. Wymyśliliśmy więc Nagrodę Dramaturgiczną miasta Bydgoszczy Aurorę, skierowaną do twórców i twórczyń z krajów Europy Wschodniej i Środkowej.

I stała się ona znaczącą nagrodą europejską.

– Nawet wydawaliśmy książki z wyróżnionymi dramatami, co w Polsce jest pewnym ewenementem i ekstrawagancją. Ale jeszcze ważniejsze, że udało się wokół tego konkursu zbudować dość prężną międzynarodową społeczność. Odchodzimy teraz z Bydgoszczy.

Wspaniały jest zespół Teatru Polskiego, a właściwie trzy zespoły: artystyczny, znakomity zespół techniczny i administracyjny. Żegnać się z nimi wszystkimi jest bardzo trudno.

Nie planowaliście tego.

– Nie braliśmy udziału w konkursie na dyrektora Teatru Dramatycznego, decyzja została podjęta w ciągu ostatnich czterech tygodni. Pojawiła się taka propozycja, kiedy dobiegała końca nasza pierwsza kadencja w Bydgoszczy i znaliśmy już warunki drugiej – wiedzieliśmy, że nie mamy szansy na rozwój. A skądinąd praca przez cztery lata w Bydgoszczy przebiegała w bardzo ciężkich warunkach: pandemia, wybuch wojny, potem kryzys ekonomiczny, rozpoczęty remont teatru, który miał się zakończyć w 2023 r., a jak zakończy

mnie kolejne spotkanie z zespołem Teatru Dramatycznego, nadto ustaliliśmy, że będę wspierał zespół Teatru Polskiego w Bydgoszczy w okresie przejmowania teatru przez nową dyрекcję. Jeżeli nowa dyrekcja będzie chciała skorzystać z mojej wiedzy i doświadczenia w okresie przejściowym, będę do dyspozycji. Jestem po rozmowach z władzami Bydgoszczy i jest szansa, aby modelowo przekazać instytucję kultury w nowe ręce.

Czy już wiadomo, jaki będzie tytuł pierwszej premiery pod pańską dyrekcją?

– Na razie ten tytuł mamy potwierdzony z osobą, która ma reżyserować, na 99%. Rzecz będzie oparta na literaturze i wspomniana osoba jest w trakcie lektury, pierwsze sygnały są pozytywne, ale czekamy na potwierdzenie, żeby tytułu nie spalić. Zwłaszcza że Dramatyczny to duży teatr i ogromna odpowiedzialność, a pierwszy telefon z ratusza zadzwonił cztery tygodnie temu. Program jest już dopracowany w tym sensie, że wiemy, z kim chcielibyśmy pracować i co chcielibyśmy widzieć na afiszu, ale to wszystko wymaga jeszcze uzgodnień. Kiedy spotkam się teraz z zespołem Teatru Dramatycznego, powiem, na jakim jesteśmy etapie, ale to nie będą jeszcze decyzje ostateczne. Na samym początku sezonu zorganizujemy konferencję i poinformujemy o naszych planach. Wiem, że wszyscy na to czekają, ale wiem też, że czekają, aby ten sezon był dobry.

Pytanie techniczne: dlaczego pańska kadencja rozpoczyna się w listopadzie?

– W Bydgoszczy zaczynałem dyrekcję 2 listopada.

Tak? W Warszawie zwykle ma to miejsce od 1 września.

– Premierę „Fausta” w Narodowym zaplanowano na 26 października i chciałem się wywiązać z tego zobowiązania. Chciałbym w pełni poświęcić się pełnieniu funkcji dyrektora Teatru Dramatycznego i miałem poczucie, że byłoby czymś nieuczciwym wobec zespołu rozpocząć dyrekcję i realizować w tym czasie premierę na innej warszawskiej scenie.

Tomasz Mitkowski

Reżyser czy dyrektor teatru, choć o tym się nie mówi, to zawody, w których obciążenia psychiczne i stresy są ogromne. Trzeba więc wypracować sobie sposób na trzymanie pionu.

Ta edycja Aurory będzie ostatnią, którą współorganizujemy. Nie chcielibyśmy jednak tej grupy osób związanych z nagrodą porzucać, zamierzamy nadal rozwijać współpracę – mam nadzieję, że Teatr Dramatyczny stanie się miejscem spotkań i podejmowania tematyki tożsamości, dekolonizacji, kluczowej dla twórców szukających nowego centrum w tym regionie. Byłoby idealnie, gdybyśmy mogli się spotykać, współpracować i rozmawiać na te tematy w Warszawie.

Skoro mowa o Bydgoszczy, to narzuca się pytanie, czy nie żał panu odchodzić z tego miejsca.

– Bardzo żał, to oczywiście, żyliśmy się z tym wspaniałym, niedocenianym w Polsce miastem. Bydgoszcz miała okres, kiedy była trudna i mało przystępna. W ciągu ostatnich kilkunastu lat to się kompletnie zmieniło: budynki, które tam powstają, zwyciężają w najważniejszych plebiscytach architektonicznych, wiele terenów zostało zrewitalizowanych, dużo zieleni, wody – Bydgoszcz nazywana bywa polską Wenecją. To niezwykle przyjazne miejsce do życia, miasto tętniące dobrą energią.

się w 2026, to będzie dobrze. Do tego dochodziły trudności z pozyskiwaniem dotacji ministerialnych. Mimo to udało nam się przez cztery lata osiągnąć dość dobry poziom artystyczny, braliśmy udział w dwudziestu paru festiwalach, a spektakle, które stworzyliśmy, będą nadal jeździły, co bardzo nas cieszy. Stwierdziliśmy, że jeśli nie wykorzystamy okazji przejścia do Warszawy, to być może będziemy musieli zapłacić cenę wypalenia zawodowego.

Czy spotkał się pan już z zespołem Teatru Dramatycznego?

– Procedura mojego powoływania była dość niezwykła. Konkurs nie został rozstrzygnięty, a potem trwały utrzymywane w tajemnicy rozmowy z warszawskim ratuszem. W tej napiętej sytuacji to była jedyna możliwość spokojnego namysłu. Zaplanowane mieliśmy z miastem równoczesne poinformowanie zespołów Dramatycznego w Warszawie i Polskiego w Bydgoszczy o powziętych decyzjach, ale przeciek prasowy sprawił, że wiadomość dotarła wcześniej i nie wszyscy poczuli się w tej sytuacji komfortowo. Nie mieliśmy na to wpływu. Teraz czeka

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Powieść prawdę ci powie

Nie zamierzam tu wchodzić w ogólne rozważania literaturoznawcze, wznosić budowli argumentów do udowodnienia jakiejś uniwersalnej tezy. Chcę opowiedzieć o jednej, wydawałoby się skromnej, zaledwie 100-stronicowej, powieści. Ale te pozornie niepozorne 100 stron tekstu ma wielką wagę i ważność. Nie mówiąc już o walorach literackiej estetyki, finezji, maestrii konstrukcyjnej – a wszystko to autorka potrafi.

„Drobny szczegół” napisała 50-letnia obecnie pisarka palestyńska Adania Shibli, na język polski z arabskiego przetłumaczyła wybitnie Hanna Jankowska, a wydało wydawnictwo Drzazgi. Zanim książkę mogliśmy przeczytać po polsku, przeżyła ona swoją polityczną przygodę. Podczas zeszłorocznych jesiennych Targów Książki we Frankfurcie autorka miała odebrać przyznaną jej nagrodę LiBeraturpreis za przekład powieści na język niemiecki. Uroczystość miała się odbyć 19 października, czyli niespełna dwa tygodnie po ataku Hamasu z 7 października. Wręczenie nagrody odwołano, czemu towarzyszyły mętne usprawiedliwienia i nieczytelne wyjaśnienia.

Tak, powieść Shibli traktuje o relacjach izraelsko-palestyńskich. Pierwsza z dwóch części książki jest literacką rekonstrukcją prawdziwych wydarzeń z roku 1949, kiedy to operujący na pustyni Negew w pobliżu granicy z Egiptem oddział armii izraelskiej zabił grupę palestyńskich Beduinów i ich wielbłądy, a młodą dziewczynę, która przeżyła masakrę, wziął do niewoli. Pojmiana została zgwałcona przez izraelskich żołnierzy, w tym dowódcę oddziału, oficera, a po wszystkim – zabita i zakopana na odludziu. Zbrodnię ujawnił później izraelski dziennik „Ha-Arec”, doszło do procesu żołnierzy i wyroków skazujących. Druga część rozgrywa się kilka dekad później, kiedy młoda Palestynka trafia na informację o tamtym mordzie i – ponieważ m.in. łączy go z jej życiem pewien „drobny szczegół” (dramatyczne wydarzenia rozegrały się dokładnie 25 lat przed jej urodzeniem) – postanawia zgłębić historię zapisaną językiem krótkiej noty. Uduje się w „zakazaną” podróż, maskując i ukrywając swoją palestyńską tożsamość. Nie ma co zdradzać, co było dalej, to już będzie Państwa literacka podróż i przygoda, do czego najserdeczniej namawiam.

Parę słów jeszcze o pomyśle na pisaną 12 lat powieść. Shibli posługuje się językiem pozornie skrajnie prostym – językiem reportażu, można by powiedzieć. I tak, i nie. Ten ascetyczny, fizjologiczny zamysł jest dużo bardziej wyrafinowany. W niejednym drobnym szczególe korespondują

ze sobą zdania, obrazy, uczucia z pierwszej i drugiej części; dialogują ze sobą, tworzą subtelne nawiązania, więzi. W żadnym momencie autorka nie sięga po język bezpośredniego oskarżenia, po instrumentarium publicystyczne, polityczne. Ale równocześnie, albo dzięki temu, powieść ma potężny wymiar. Tu zresztą jest ukryta odpowiedź, dlaczego chciałem o niej napisać.

Otóż lektura tej powieści, nie wiem, czy w zamierzony sposób, rozbija w pył jeden z kluczowych mitów propagandowych opisujących dramatyczne, krwawe splątanie palestyńsko-izraelskich relacji, które trwają od momentu powstania państwa Izrael w 1948 r. Już samo używanie słowa konflikt jest kłamstwem i manipulacją. Istotniejsze jednak, że kiedy z jakiegokolwiek powodu oczy świata, mediów zwracają się w tamtą stronę, słyszymy jak mantrę: to jest tak bardzo skomplikowane, że najtęższe głowy nie są w stanie dojść, o co chodzi, kto jest winny, jak można wyjść z tego krwawego klinczu. To zabieg odsuwający od nas istotę problemu. Mówi on coś takiego: to jest tak

skomplikowane, że można dekadę stracić na badania i dociekania – najlepiej sobie odpuścić i pogodzić się z fałszywą tezą o symetrycznym konflikcie.

I tu pojawia się literatura, która ma moc opowiedzenia prawdy

w nieobszernym (stronicowo) wymiarze. Powieść Shibli wyręcza najlepszy reportaż, najtęższą analizę politologiczno-historyczną. Kreśli obraz przemocy założycielskiej, która przechodzi w przemoc, zbrodnie permanentne. Narratorka mówi tak: „To, że moją uwagę zwróciła data zdarzenia opisanego w artykule, wynika może z faktu, iż w jego głównych szczegółach nie było niczego nadzwyczajnego, jeśli porównać je z tym, co dzieje się na co dzień w miejscu, gdzie zgiełk okupacji i śmierć z rąk drugiego człowieka są rzeczą najzupełniej normalną. Wyśadenie budynku w powietrze to tylko jeden przykład. Nawet gwałt. To zdarza się nie tylko na wojnie, ale i w życiu codziennym. Mord albo gwałt, a czasem jedno i drugie”. Prawda nie leży pośrodku, to nie jest konflikt dwóch równoprawnych sił, to nie jest nie do zrozumienia.

Jedna opowieść Adanii Shibli wykonuje pracę za tysiące tekstów. Tylko literatura to potrafi. Ta książka jest zatem naprawdę groźna, tłumaczy niewytłumaczalne, pozwala zrozumieć niepojęte działania zbrodniczej przemocy, zrywa zasłonę okupacji, przemocy, apartheidu. Rzadko tak niewiele słów potrafi przekazać tak ogromną treść. Uduje się to jedynie najlepszej literaturze.

Strażnik Płaskowyżu Śmierci

Mimo panującej w czasach Hodży cenzury i prześladowań politycznych Ismail Kadare publikował utwory, w których zapisany był protest przeciw reżimowi

Tomasz Miłkowski

Wymieniany wśród kandydatów do Literackiej Nagrody Nobla Kadare był powszechnie uważany za najwybitniejszego pisarza albańskiego i jednego z wybitniejszych europejskich. Zmarł w Tiranie w poniedziałek, 1 lipca.

Studiował w Instytucie Literackim im. Maksyma Gorkiego w Moskwie. Do Albanii wrócił po zerwaniu przez nią stosunków z ZSRR w 1961 r. Od 1990 r. mieszkał we Francji, gdzie uzyskał azyl polityczny. W książkach portretował rodaków, ukazywał uniwersalne i lokalne mechanizmy polityczne, odślaniał niełatwe warunki bytowania w opresyjnych czasach reżimu Hodży, ale i ciężenie tradycji.

W powieści „Krew za krew” (tłum. z franc. Anna Mencwel) oddał mechanizm rodowej zemsty, obowiązującej wśród albańskich górali zamieszkujących tzw. Płaskowyż Śmierci. Akcja toczy się dwoma równoległymi torami: pierwszy wyznaczają porachunki ciągnące się od dziesięcioleci między rodzinami Krueciuciów i Beriszów. Kolejny potomek Beriszów, Gjorg, wypełnia obowiązek zemsty, zabijając mordercę swojego brata. Teraz role się odwracają. Gjorg po okresie 30-dniowej Besy (tj. chwilowego rozejmu) staje się kandydatem na ofiarę. Zgodnie z obowiązującym na płaskowyżu kodeksem – Kanunem – musi go dosięgnąć pomsta rodu Krueciuciów. Gjorg dobrze wie, jaka jest niemal mistyczna siła kodeksu: „Kanun był jeszcze potężniejszy, niż się zdawało. Jego władza rozciągała się wszędzie, na pola, na kamienie graniczne, przenikała fundamenty domów, groby, kościoły, drogi,



Ismail Kadare

– poeta i prozaik, laureat prestiżowych nagród, m.in. Bookera. Autor głównych powieści, ukazujących odrębność kulturową Albańczyków. Polskę odwiedził m.in. w 2007 r., po nominacji „Pałacu snów” do Nagrody Literackiej Europy Środkowej Angelus; spotykał się wówczas z czytelnikami w Warszawie i Wrocławiu. Urodził się w 1936 r. w Gjirokastrze, zmarł w wieku 88 lat.

jarmarki, wesela, wspinała się na górskie pastwiska, a nawet wyżej, sięgała aż do nieba...”.

Drugi tor to opis podróży poślubnej znanego pisarza, pragnącego spędzić miesiąc miodowy wśród górali, w atmosferze zarazem pociągającej i odpychającej etyki Kanunu. Jego młoda małżonka, zrazu przerażona pierwotnością, dzikością i bezwzględnością obyczaju, z wolna ulega fascynacji rytuałem śmierci, rządzącym nieubłaganiem od stuleci losem górali, poszukuje etycznego jądra tego mechanizmu.

Te dwa tory przecinają się w pewnym punkcie, kiedy Gjorg, wędrujący wedle obyczaju z okupem za krew, spotyka piękną kobietę z miasta,

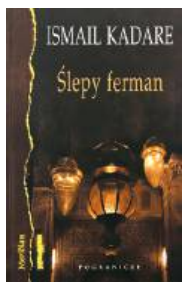
a ją zainteresuje ów błąd chłopiec z czarną opaską na ramieniu – znakiem równocześnie mściciela i ofiary. Od tej chwili bohaterowie poszukują siebie, czekają na ponowne spotkanie, wytwarza się między nimi tajemna siła przyciągania. Takie są ramy akcji, która nieuchronnie zmierza do finału zgodnego z regułami Kanunu. Na straży jego przestrzegania stoi cała społeczność, a także liczne gromy interpretatorów kodeksu i książę Oroszu, sprawujący władzę absolutną na płaskowyżu, ponad głowami oficjalnej administracji.

Sprawna akcja nie stanowiła największej zalety tej ani innych powieści, bo Kadare malował bogate wnętrza bohaterów, odtwarzając

KSIĄŻKI

„Ślepy ferman”
(„Qorrfermani”, 1999)

– trzy mikropowieści: „Ślepy ferman”, „Pokolenia Hankonatów”, „Uczta pojednania”, wydane razem, usytuowane w czasach osmańskich. Uważane są za metaforyczny zapis obłądnego reżimu Hodży; polski przekład ukazał się w 2010 r., książka nominowana do Angelusa. Druga mikropowieść przedstawia losy rodu z Gjirokastry, rodzinnej miejscowości autora.

„General martwej armii” („Gjene-
rali i ushtrisë së vdekur”, 1963)

– najsłynniejsza powieść Kadarego, doczekała się ponad 30 przekładów. Opowiada o misji włoskiego generała, który, prowadząc ekshumacje żołnierzy włoskich poległych w Albanii podczas II wojny światowej, mimo- wolnie odśladuje ich wojenne okrucieństwa. Polski przekład ukazał się w 1984 r. Kilkakrotnie ekranizowana, pierwszy raz w 1983 r. z tytułową rolą Marcello Mastroianniego.

„Pałac snów”
(„Pallati i ëndrrave”, 1996)

– political fiction. Akcja toczy się w czasach imperium osmańskiego. Metafora panującego w Albanii reżimu komunistycznego Envera Hodży, pierwsza w Polsce powieść tłumaczona bezpośrednio z języka albańskiego (przekład Doroty Horodyskiej), nominowana do Angelusa. Tytułowy pałac jest siedzibą tajnej policji kontrolującej sny.



szczególny stan psychiczny człowieka oczekującego na śmierć. Wystrzegał się przy tym wydawania jednoznacznych osądów. Daleki od wszelkiej dydaktyki, swoją rolę ograniczał do beznamytnego rejestrowania faktów i odczuć innych, obiektywnego zapisu obyczaju, stosunków społecznych, dodając malarski opis surowej natury płaskowyżu. Dzięki tej powściągliwej narracji, a zarazem umiejętności tworzenia gęstniejącej atmosfery zagrożenia, poruszał wyobraźnię czytelników, odwołując się do odwiecznej walki Dobra i Zła.

Mimo panującej w Albanii w czasach Hodży cenzury i prześladowań politycznych Kadaremu udawało się publikować utwory, w których zapisany był protest przeciw reżimowi. Kiedy zaś trafiał na opór, część utworów przemycił do Francji za pośrednictwem przyjaciół z wydawnictwa Fayard. Stosowano przy tym przemysłne wybiegi: teksty Kadarego wędrowały do Francji m.in. jako fikcyjne przekłady prozy niemieckiego pisarza Siegfrieda Lenza. Wśród tych przemyconych utworów znalazła się mikropowieść „Córka Agamemnona”, opublikowana dopiero w roku 2003 (w Polsce w 2011 r.), w której rzeczywistość polityczna komunistycznej Albanii przyrównywana była do militarystycznej polityki Greków szykujących się do wyprawy na Troję. Powieść zamykał metaforyczny obraz podniesienia kotwicy na statkach ruszających na wojnę: „Teraz nic już nie stoi na przeszkodzie, by ostatecznie uszło życie” (tłum. Dorota Horodyska). Te gorzkie słowa pisał Kadare przekonany, że nie doczeka zmian politycznych w Albanii. Na szczęście się mylił. ■



CONCILIUM
civitas

PRZYJDŹ
I WŁĄCZ SIĘ!

SPOTKANIE

12-14.07.2024

Pałac Kultury i Nauki

**NAJWAŻNIEJSZE SPRAWY
NAJWYBITNIEJSZE MÓZGI
NAJGORĘTSZE DEBATY**



30. Międzynarodowy Plenerowy Festiwal Jazz na Starówce Christian Sands Trio

Objawienie jazzowej pianistki ostatnich lat – pianista, kompozytor, aranżer, pięciokrotnie nominowany do nagrody Grammy, w tym za najlepszą kompozycję instrumentalną z wydanego w 2020 r. albumu „Be Water”. 35-letni Christian Sands jest wschodzącą gwiazdą amerykańskiej sceny jazzowej. Po mistrzowsku łączy tradycję i nowoczesność, wyróżniając się nie tylko innowacyjnym podejściem, lecz także subtelnością i elegancją. Magazyn „DownBeat” umieścił go na liście artystów wyznaczających nowe kierunki jazzu, a Wynton Marsalis, z którym Sands współpracował, nazwał „gwiazdą jazzu przyszłości”.
(ap)

Więcej na: www.jazznastarowce.pl, www.facebook.com/festiwaljazznastarowce.

Warszawa, Rynek Starego Miasta, 13 lipca, godz. 19

KURTYNA W GÓRĘ

Zagłada domu Tyronów

Luk Perceval wystawił w Narodowym Starym Teatrze klasyczną sztukę Eugene’a O’Neilla. Powstał spektakl gęsty, mroczny i wciągający.

Całość rozgrywa się na pustej scenie. Jedyne elementy scenografii stanowią mocno sfatygowany fotel. Doskonale pasujący do podupadłego domostwa, którego mieszkańcy mają coraz mniej siły, by ukrywać prawdziwe uczucia żywione do bliskich. Bo choć zaczyna się sielskim obrazem rodzinnego szczęścia, z każdą minutą przedstawienia zanurzamy się coraz głębiej w dusznej atmosferze pretensji, żalu, gorzkości. Nestor rodu James (Roman Gancarczyk) okazuje się pazernym, zgorzkniałym artystą, który talent rozmiął na pieniądze i utopił w kieliszku, czuła i troskliwa Mary (frenetyczna Małgorzata Zawadzka) jest nieszczęśliwą, samotną kobietą, dla której wymarzone małżeństwo i macierzyństwo okazały się pułapką. Los nie oszczędził dorastających w piekle tego małżeństwa synów – Jamiego (Łukasz Stawarczyk), obwiniającego się o śmierć młodszego brata, i umierającego na raka Edmunda (Mikołaj Kubacki). Wszyscy oni ostatecznie toną w nalu, który miał uśmierzyć ich ból.

Perceval w ślad za O’Neillem kreśli przejmujący portret ludzi złamanych, pojmujących, że pustki, którą noszą w sobie, nie da się wypełnić.

Michał Centkowski



„Pewnego długiego dnia” na motywach sztuki Eugene’a O’Neilla, reżyseria Luk Perceval, Narodowy Stary Teatr w Krakowie, premiera 23 czerwca 2023



Gioachino Rossini, „La Cenerentola”, dyrygent Dawid Runtz, reżyseria Jitka Stokalska, Polska Opera Królewska, premiera 22 i 23 czerwca 2024

Kopciuszek bez pantofelka

Ponoć Rossiniemu nie wypadło pokazywać na scenie damskiej nogi powyżej kostki, więc zamiast pantofelka wymyślono nakładaną na rękę bransoletkę. Operowy Kopciuszek jest strasznie gnębiony przez ojczyma, a nie macochę, ale ma to tylko takie znaczenie, że trudne arie śpiewa bas, a nie alt. Jednak wszyscy śpiewają znakomicie. Przedstawienie dla całych rodzin.

Bronisław Tumiłowicz

NA EKRANACH

Sentymalna melodia

Dla pokolenia dzisiejszych 30- i 40-latków postać Axela Foleya jest kultowa. Grany przez Eddiego Murphy’ego gliniarz z Beverly Hills w latach 80. był powiewem świeżości. Czarny aktor w głównej roli to nadal była rzadkość. Do tego Murphy obdarzył swoją postać charakterystycznym śmiechem i szybką mową – Axel strzelał nie tylko kulami, ale przede wszystkim puentami i żartami. Na tyle dobrymi, że filmy z nim szybko stały się globalnym fenomenem. Teraz, po latach serię próbuje ożywić Netflix.



Co ciekawe, robi to wbrew własnym zasadom. Sporo w „Axelu F” politycznie niepoprawnego humoru, choć gigant rozrywki kojarzy się przecież z wręcz nadmierną poprawnością. Dostaje się rozwydrzonym dzieciakom, niedomagającym seniorom i ludziom wszelkich ras. Klimat oryginału udaje się momentami odtworzyć, np. kiedy Axel demoluje pół miasta albo gdy próbuje nawiązać relację z córką, która się od niego odciga. Całość to jednak już kompletnie inny film – 63-letni Murphy nie ma energii 20-latką, czarny bohater na pierwszym planie też nikogo już nie dziwi. Twórcy mimo wszystko zdołali zagrać na naszym sentymencie. I to całkiem ładną melodię.

Artur Zaborski

Gliniarz z Beverly Hills: Axel F
reż. Mark Molloy, prod. USA, od 3 lipca na Netflixie

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Złe wiadomości

Prezzydent Biden fatalnie wypadł w debacie z Trumpem, mówił bez energii, czasami mamrotał, drepotał jak staruszek. Jest mądry, uczciwy, co z tego? Prezydent mocarstwa musi mieć moc, by dźwigać glob na grzbiecie. Demokraci powinni go wymienić na innego kandydata, nie zważając na koszty, gdyż cena zostawienia Bidena w wyścigu wyborczym będzie jeszcze wyższa. Trump, nałogowy kłamca, pajac i populistą, może znowu zostać prezydentem. Jego triumf po wygranej debacie był niezwykle pokazem chamstwa. I pomyśleć, że 30% Amerykanów to nie przeszkadza. A PiS z nim sympatyzuje, jakże inaczej. I na pewno nasz prezes zadowolony, że we Francji wygrywa faszystująca prawica.

Patrzyłem na twarze piłkarskiej reprezentacji Francji, która grała z Polską – niemal wszystkie ciemne. Imigracja to problem we Francji, ale niejedyny. Jest kilka innych, może większych. Sytuacja robotników i klasy średniej pogarszała się w ostatnich latach z powodu polityki wewnętrznej Francji, a nie przez migrantów. Ale to lęk przed imigrantami spowodował, że Francuzi masowo głosowali na narodową prawicę. Na Onecie przeczytałem piękny esej Olgi Stanisławskiej, która mieszka w podparyskiej dzielnicy Saint-Denis, uważanej za piekielną. Autorka świetnie się tam czuje, kolorowo i ciepło. Píše: „Wywoływać obawy i niechęć wobec osób, które pracują i mieszkają z nami i bez których nie możemy się obejść, to cyniczna socjotechnika. Wielu polityków robi to jednak z pełną świadomością. Jednym tchem, jak Marine Le Pen, mówią o »imigracji« i o »bezpieczeństwie«. Wzmacniają strach u wyborców, aby móc przedstawiać się jako jedyni, którzy ich obronią. Rezultat może być tylko jeden. Wzrost autorytaryzmu, czyli spadek demokracji, który dotknie wszystkich”.

Ten esej otwiera nagle drzwi i okna, które są zamknięte dla nas, patrzących na problem imigracji z daleka. Widać, jak to wszystko jest skomplikowane i nie tak demoniczne, jak się zdaje na odległość. Odkrywam, że ja sam, chociaż uważam, że mam społeczną empatię i jestem liberalnym demokratą, ulegam stereotypom opartym na braku wiedzy. A reprezentacja Francji jest przecież taka silna dzięki Francuzom, którzy mają orientalne korzenie. Śpiewali hymn bardzo przejęci. Ta mieszanina ras i kultur za jakiś czas będzie kapitałem krajów zachodniej Europy. A że wojujący islam może być problemem, to ten niepokój rozumiem.

Imieniny Jana Kochanowskiego w parku przy pałacu Krasińskich, kiermasz książki. Podpisuję na stoisku

Czytelnika, potem Iskier. Czasami ktoś podchodzi z książką, czasami widzę, jak ścieżką idą znajomi niewidziani od pół wieku. Kogoś pamiętam młodym, a teraz staruszka lub starzec. Metafizyczna maskarada. Nie znam innego tak potężnego spektaklu. Coraz młodszy są dla mnie ludzie w średnim wieku. Są maniacy książki, dosyć młody człowiek przyleciał na kiermasz specjalnie ze Szwajcarii, gdzie mieszka. Zaczęły się tam kradzieże, czy to imigranci? Szwajcarzy mają dosyć, niedługo referendum w sprawie ograniczenia imigracji. Nie wie, jak głosować, w końcu on też imigrant.

W odziedziczonym po synku iPhone jest odmienny system niż w moim dawnym smartfonie, więc się w tym gubię. Przy okazji straciłem sporo numerów i nie wiem, od kogo ponure słowa w esemesie: „Dzisiaj rano umarł Janek”. Data i miejsce pogrzebu, prośba, by nie składać kondolencji. Pomyłka, myślę, numer nieznany. Po chwili kolejna myśl: nasz miły sąsiad ma na imię Jan, przyjaźnimy się, on i Krysia to fajni ludzie, od lat spotykamy się,

Proszę żonę o numer sąsiadki i patrzę w trwodze, jak kolejne cyfry wypełniają po brzegi zbiornik złej myśli. Jak to, umarł, przecież byliśmy umówieni na kolację?

mamy takie same poglądy i emocje polityczne. Wielka radość mieć takich sąsiadów, ogród w ogród, z okna swojej pracowni widzę dach ich domu. Proszę żonę, by mi podała numer telefonu sąsiadki, i patrzę w trwodze, jak kolejne cyfry nieubłaganie i wiernie wypełniają po brzegi zbiornik złej myśli. Jak to umarł, przecież byliśmy umówieni na kolację? I miałem mu pożyczyć książkę, wiele czytał. Co teraz? W pewnym wieku mamy już wiele doświadczeń ze śmiercią bliskich i znajomych, a zawsze to samo oniemienie. Czasami śmierć z jakiegoś nieoczywistego powodu uderzy nas szczególnie mocno i tak jest teraz.

Ujawniany jest układ pisowski, który opanował Polskę jak nowotwór. Jego macki oplótł kraj. Pazerność połączona z niekompetencją. Masowe kradzieże, nepotyzm, oszustwa na wielką skalę. Zaczęliśmy przypominać kraj Ameryki Łacińskiej. Wszystko, co nieuczciwe, cyniczne, przylepiło się do PiS i ssało Polskę jak dojną krowę. Ale wyznawcy sekty niczego nie widzą, niczego nie słyszą. I nie zobaczą, nie usłyszą, bo wiara bywa głucha i ślepa. Nie przekonamy ich, trzeba ich po prostu przegłosować.



BIEBRZA

Mikołaj Gospodarek

wymaga poświęcenia

To rzeka rzek. Najpiękniejsze w niej to,
że nigdy z nią nic nie wiadomo

Biebrza to trudna rzeka. Trudna dla okolicznych mieszkańców, bo jak nie rozlewa się szeroko, to od wieków tworzy niedostępne mokradła i bagna. Dla kajakarzy od Sztabina robi się całkiem znośna, ale cóż widać z perspektywy wody? Tatarak, trzcinę i zielony brzeg. Dla fotografów rzeka ciekawa robi się dopiero w południowej części Basenu Dolnego. To już tak naprawdę koniec Biebrzy.

Kilka kadrów rodem z książek Wiktoru Wołkova można zrobić w Burzy nie czy Sieburczynie. Dalej Biebrza wpada do Narwi i koniec pieśni. Nie oznacza to jednak bynajmniej, że jest to rzeka nudna czy nieinteresująca. Żadną miarą, a wręcz przeciwnie. Jest dzika i tajemnicza. No i trudna.

Wiele lat zajęło mi dogadanie się z Biebrzą. Naoglądałem się zdjęć, naczałem się książek, zobaczyłem chyba wszystkie filmy traktujące o tej polskiej Amazonce. Długo

czekałem na moment, w którym Biebrza zdjęta przede mną wołał niedostępności. Pamiętam dokładnie ten dzień. Była połowa sierpnia 2010 r. Przyjechałem do Brzostowa późnym wieczorem i jak zwykle rozlokowałem się na polu namiotowym u pana Konopki. Przyjechałem głównie ze względu na krowy, które miały przepływać rzekę następnego dnia rano. Nim zapadł zmrok, to jednak ja pływałem w namiocie. Znad bagien przyszła burza. Powiedzieć, że lato, to jak nic nie powiedzieć.

W pewnym momencie uciekłem do samochodu, bo na ziemi było wody po kostki. Burza przeszła, ale zapadła już noc. Wybrałem więc mniejsze zło i pod kocem położyłem się na drewnianej ławie. Modliłem się, żeby tylko komary się o tym nie zwiędziały. Czekałem na świt. Niby spałem, ale było to bardziej czuwanie.

Już przed 5.00 zrobiło się widno. Nogi statywu z pluskiem wylądowały w wodzie. Wszedłem do rzeki prawie do pasa. To skutecznie przegoniło

resztki snu. Przed sobą miałem kilka łódek, dalej mgłę nad korytem rzeki i wyłaniające się słońce za nimi. Bajka! Gdyby tego było mało, to w środek tej sceny w pewnym momencie wpłynął wędkarz w pontonie. Pierwszy raz poczułem, że Biebrza jest dla mnie łaskawa. Tyle prób, tyle czekania i zawsze nic. Fiasko. Ten poranek przyniósł niespodziewanie dużo dobrych zdjęć. (...)

Stojąc po pas w wodzie, zrozumiałem, że Biebrza wymaga poświęcenia. Składałem jej więc za każdym razem „ofiara”. Najczęściej jest nią po prostu niewyspanie. Nawet jak rozbijam namiot nad samym brzegiem, to i tak wstaję dużo wcześniej niż potrzeba. Staję nad rzeką i słucham, jak toczy wodę. Nie ma piękniejszej melodii o poranku.

Czasami „ofiara” może być też walka z chłodem. W 2014 r. poranny mróz niemal przegnał mnie z pół nieopodal Burzyna. Stał tam jeszcze wtedy szpaler wierzb. Wschodzące słońce pięknie wyglądało za nimi. Polowałem na ten kadr żywcem wyjęty ze zdjęć Wiktora Wołkowa. Tego poranka miałem wszystko – słońce, duże rozlewisko i różowe niebo dookoła. Nie miałem jednak czapki i rękawiczek. Poprzedniego dnia nic nie wskazywało na to, że temperatura spadnie do minus 5 st. C. W marcu nie jest to może wielkie zaskoczenie. Mnie zamroczyło jednak wczesne wstawanie. Gdybym wrócił do auta po rzeczy, to straciłbym najlepsze ujęcie. Tańczyłem więc tam o poranku, żeby się rozgrzać, i czekałem, aż pierwsze promienie słońca zaleją dolinę rzeki. Dzisiaj, kiedy nawet pni nie widać po tych wierzbach, wiem, że podjąłem wtedy dobrą decyzję. Biebrza kazała czekać. I marznąć.

Nie umiem też wytłumaczyć tego, że ilekroć zaplanuję sobie nocleg w Jasionowie Dębowskim, to nadciągająca potężna burza i muszę w pośpiechu uciekać. (...)

Mam tam ulubione pole namiotowe nad samą rzeką. Zatrzymuję się w tym miejscu zawsze, kiedy jestem nad Biebrzą. Uwielbiam przesiadywać tam wieczorami na pomoście. Nigdzie nie słyszałem tak pięknego żabiego koncertu jak właśnie we Wroceniu.

W 2020 r. zawziętem się i postanowiłem zobaczyć całą Biebrzę. Logicznie takie projekty przeprowadza się od źródeł do ujścia. Ja jednak dobrze znam tę „cwaniarę”. Już kilka razy taplałem się w błocie koło Nowego Dworu, próbując znaleźć jej początek. Nie dałem się nabrać i odwróciłem schemat. W podróż wyruszyłem więc od ujścia i postanowiłem, że będę się trzymał jak najbliżej brzegu oraz że zobaczę wszystkie mosty, jakie przez nią przerzucono. Nie jest to długa wycieczka, bo Biebrza liczy ok. 165 km długości. Podzieliłem ją sobie na trzy odcinki. Pierwszy rozpoczynał się nieopodal Rusi, gdzie Biebrza wpada do Narwi, a kończył we Wroceniu. Drugi etap prowadził

Biebrza jest dzika i tajemnicza. No i trudna.

z Wrocenia do Sztabina. Końcówka to najbardziej dziki i niedostępny fragment ze Sztabina do źródeł w okolicach Nowego Dworu.

Zacząłem od tego, żeby znaleźć ujście. Niby prosta sprawa, ale kiedy wyjedzie się z Rusi, zabawa zaczyna się na całego. Satelitarne mapy pokazują jedno, a teren w rzeczywistości drugie. W skrócie trzeba wykazać się przebiegłością i nie planować dojścia tam przy wysokim stanie wody, bo będzie to po prostu niemożliwe. Byłem tam w połowie czerwca, więc suchą stopą przeszedłem przez łąki nad brzeg Narwi i szedłem wzdłuż niej aż do miejsca, w którym ewidentnie łączą się dwie rzeki. Proste? Pewnie, tylko jak dojść do Narwi? Wygląda to tak: jedzie się przez Ruś. Jest tam jedna droga, więc nie da się zgubić. Po lewej stronie mija się ostatnie zabudowania. Po prawej mija się zagajnik nr 1, łąkę i przed sobą ma się zagajnik nr 2. Charakterystyczne w tym miejscu są wyraźnie widoczne pozostałości grodziska po lewej stronie na skarpie. Ja przeszedłem przez łąkę między zagajnikami i wylądowałem niemal przy samym ujściu. Punkt zero zaliczony. Pora ruszyć dalej.

Kolejnym przystankiem jest Sieburczyn. Wioska położona jest na szczycie skarpy. U jej podnóża

znajduje się sporo miejsc z pięknymi okazami starych wierzb, które szczególnie w czasie rozlewisk prezentują się ciekawie, bo zdają się rosnąć w wodzie. Jadąc dalej, po chwili dociera się do Burzyna. Po prawej stronie przed wsią znajduje się dobrze oznakowany punkt widokowy. Nosi on imię Wiktora Wołkowa, który swoimi zdjęciami rozślawił to miejsce.

W czasie wiosennych rozlewisk z wieży roztacza się widok na szeroko rozlane wody Biebrzy, które przypominają jezioro. Gdyby nie kępy krzaków, byłoby to istne biebrzańskie morze. Burzyn należy docenić również dlatego, że jest to jedno z wielu miejsc nad tą rzeką, z którego

łapie się wyższą perspektywę do zdjęć. W 95% trafia się bowiem na przestrzeń płaską niczym stół. (...)

Mijając Brzostowo, jedzie się dalej przez Pluty do Radziłowa i następnie do wsi Mścichy. Biebrza na tym fragmencie niemal całkowicie znika z pola widzenia. Pojawia się jednak w cudownym wydaniu. W Mścichach rozpoczyna się ścieżka przyrodnicza, która wśród bagien prowadzi do wieży widokowej nad brzegiem rzeki. W okresach suchych można tam dojechać nawet samochodem, ale przejście półtora kilometra to czysta przyjemność, której nie warto sobie odmawiać. Po drodze, szczególnie wiosną, można podziwiać rozlewiska i rosnące w nich kaczęce.

Pierwszy most na Biebrzy od strony Basenu Dolnego znajduje się dopiero na drodze nr 65. W linii prostej jest to ponad 30 km.

Tuż za czynną przeprawą, po której każdego dnia mkną tysiące tirów, znajduje się stary most w Osowcu-Twierdzy. W okolicy roi się od pozostałości dawnych bunkrów, które miały chronić to strategiczne miejsce. Biegnie tam również niedługa kładka wśród mokradeł, ale przyznam, że nie lubię tego miejsca. Odstrasza mnie szum głównej drogi. Jest tyle ciszy nad Biebrzą, ▶

► że za każdym razem w podskokach uciekam z tego miejsca.

Kolejny most znajduje się w Goniądzu. Można dojechać do niego po obu stronach rzeki. Zdecydowanie ciekawsza droga biegnie po prawej stronie Biebrzy, przez Budne i Wólkę Piaseczną. Most nie jest zbyt imponujący. Ciekawsze jest jego otoczenie, gdzie można spotkać sporo łądek, które pięknie komponują się na zdjęciach. Lubię też zaglądać na goniądzki rynek. Dookoła niego piętrzą się gęsto zabudowane pierzeje, w których trudno znaleźć dwa takie same budynki. Kocham taką fantazję architektoniczną. Pikanterii dodaje studnia ulokowana na samym środku drogi.

Miejsc, gdzie można spokojnie i legalnie posiedzieć nad rzeką, nie ma wcale zbyt dużo. Albo są zarośnięte, albo prywatne.

Dawidowszczyzna i Wroceń to dwie kolejne wsie, w których można szukać biebrzańskiego klimatu. We Wroceniu, jak głoszą legendy, przez rzekę przepływają krowy. Tylko o tym słyszałem, ale nigdy nie widziałem zdjęć. Widziałem nawet krowy pasące się za rzeką, ale nikt we wsi sensownie nie umiał mi powiedzieć, jak one się tam znalazły. UFO? Opuściłem dalsze pytania, bo wołałem posiedzieć nad rzeką. Jestem przebiegły i celowo zatrzymuję się tam na polu namiotowym. W pakiecie z miejscem pod namiot dostaję dostęp do pomostu i Biebrzy. Takich miejsc, gdzie można spokojnie i legalnie posiedzieć nad rzeką, nie ma wcale zbyt dużo. Albo są zarośnięte, albo prywatne. Cóż z tego, że od Dolistowa Starego do Jasionowa Dębowskiego przez kilka kilometrów jedzie się tuż przy brzegu? (...)

Dolistowo Stare słynie z drewnianego mostu na Biebrzy. Jest w nim rzeczywiście swoisty romantyzm. Pokażnych rozmiarów konstrukcja od wielu lat pozwala mocno skrócić drogę w kierunku Augustowa. Za mostem kończy się asfalt. Latem droga tonie w kurzu. Zimą i wiosną tonie w wodzie. Dosłownie. Przez długie tygodnie potrafi być zalana i nie da się nią przejechać.

W Jasionowie Dębowskim, gdyby nie przystanek rowerowy Green Velo, można by śmiało rzec, że nic nie ma. Kiedyś była tam huśtawka na gałęzi starej wierzy, z której można było wskoczyć do rzeki. Dzisiaj pozostają tylko wspomnienia. Nieco dalej naturalny bieg rzeki styka się ze służą w Dębowie. Jest to pierwsza konstrukcja na Kanale Augustowskim od strony Biebrzy, dzięki której można pokonać różnicę w poziomie wody. Do tego służą właśnie służą. Ta w Dębowie jest o tyle ciekawa, że posiada drewnianą konstrukcję.

Następny punkt na mapie to most przed Jagłowem. Z końca wsi w dalszą drogę można wyruszyć niebieskim szlakiem, którym dochodzi się

promu na Biebrzy, przepłynąć się na drugą stronę rzeki, żeby dojść do Jałowa czy Lipska. (...)

Most w Lipsku to dobre miejsce, żeby kolejny raz pożegnać się z Biebrzą. O ile odcinek ze Sztabina do tego miejsca jest dziki i niedostępny, tak to, co następuje od Lipska do źródeł, to apogeum dzikości i niedostępności. Jedyne w Rogożynku może udać się dojrzeć rzekę. Płynie ona wśród wysokich trzcinowisk. Niewielki most na skraju parku narodowego znajduje się między Nowym Rogożynem a Koniuszkami. Kolejne mostki pojawiają się w jej dalszym biegu dość często. Biebrza w niczym jednak nie przypomina tam dzikiej, szeroko rozlanej rzeki. Miejscami wygląda jak nieco szerszy kanał płynący wśród pól. Ostatni (a licząc od źródeł pierwszy) most na Biebrzy znajduje się na drodze nr 670 koło Nowego Dworu.

Czy może być coś prostszego, niż pójście wzdłuż brzegu do źródła? W teorii banał. W praktyce próbowałem dwa razy i nigdy nie doszedłem do celu. Raz utknąłem po pas w bagnie i odepuszciliśmy. Drugim razem spróbowałem zimą. Brak liści, mało wody, duży mróz i... nagle rzeka po prostu zniknęła pod białą połacią. Próbowałem też dostać się do źródeł z nawigacją GPS z obu stron – od Talek i od Grzebieni-Kolonii. Dwa razy pudło. Dlaczego? Trudno stwierdzić, bo zawzięty jestem, ale kiedy natrafiam na niebezpieczne bagno, to wiem, kiedy odepuszcę.

Czy martwi mnie to, że nie znalazłem źródeł Biebrzy? Wcale. Wręcz przeciwnie, to mnie w sumie cieszy. Mam zawsze pretekst do tego, żeby kolejny raz spróbować. Dzisiaj wiem, że w tej grze terenowej nie chodzi o cel, ale o drogę do niego. Biebrza w swoich wodach niesie wolność. Kołyszę nią tak bardzo swobodnie. (...) Rzeką rzek. Biebrza jest dla mnie synonimem naturalności. (...) Najpiękniejsze jest w niej to, że z nią nigdy nic nie wiadomo.



Fragmenty książki Mikołaja Gospodarka *Jak poznać Podlasie?*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Kielce 2024



Do lasu (odc. 2)

Wojciech Kuczok

Mieszczuszek wiejski

Eryś miał się uczyć, dużo uczyć, do żadnych robót przydomowych go nie zmuszano, nawet kiedy go do nich ciągnęło.

– Siedź nad książkami, ty jesteś umysłowy, tobie inne życie jest pisane – mówił ojciec Erysiowi, kiedy ten się zgłaszał do pomocy w stolarni. – Nie przychodź mi tu, bo se palca utniesz albo ci drzazga pod paznokcie wejdzie.

No i wracał Eryś ku chałupie, a jak matkę przy rąbaniu drewna chciał zastąpić, przepędzała go tak samo jak Suchy Karol. – Idźże mi stela, siekiery nie tykaj, ja se poradzę. Zadanie odrób, doucz się rachunków, poczytaj se co, synek, nie trza mi cie tu. Jakesz głodny, zaraz ci chleba nakroje, kanapki zrobie, kolacja będzie, dopiero jak ojciec z roboty wróci.

No i tak sobie rósł Eryś, dziecko wychuchane i wykarmione; rósł, a z nim rosły jego dwie lewe ręce, rosła też niechęć innych dzieciaków do niego, bo to ani konia zaprząć nie wyuczony, ani świni do rżnięcia nie trzymał. Ojciec do ciesiołki i stolarki go nie przysposobił, matka chowała z dala od wysiłków, a i od kuchni. Powiadali, że to taki mieszczuszek wiejski, a to gorzej jeszcze niż miejski wsiok. Nie miał lekko Eryś poza domem; im więcej się uczył, tym bardziej mieli go za głupiego.

– Po co ty się tyle uczysz, głupi Erysiu? Marnujesz czas na trudne nauki, które ci się do niczego w życiu nie przydadzą, a najprostszych rzeczy i tak nie umiesz – mówili ci co łaskawsi, a ubywało ich wciąż na rzecz tych, co to uznali, że z głupim wcale rozmawiać nie będą. Aż przyszedł czas, że Eryś zaczął dojeżdżać do miejskiego liceum, uczył się zatem jeszcze więcej i jeszcze bardziej drażnił swoją praktyczną niewiedzą lokalnych rówieśników, co to zasadniczo na zawodowe przysposobienie postavili. Aby zaś unikać kłopotów, unikać zaczął ludzi, zwłaszcza że z plecaczka pełnego podręczników najchętniej dobywał książkę o przyrodzie.

Głupi Eryś w szkole średniej był po prostu Erykiem, dopiero kiedy wysiadł z powrotnego pekaesu i drapał się pod Migdałskie ku rodzinnej chałupie, czynił to jako Głupi. Nauczyciele znaleźli w nim pasjonata botaniki, nakłonili do udziału w olimpiadzie i odtąd Eryk stał się „tym od przyry”, bo wykosił konkurencję także w regionie, jak i w skali ogólnopolskiej. Eryk od przyry już nie był taki głupi, bo wyszedł od ludzi między buczyny karpackie – i jak jego ojciec, Suchy Karol, przez lata całe przywracał ducha martwym drzewom, żłobiąc w nich kształty,

zbijając, sklejjąc i polerując, by zaczęły wieść swój drugi, funkcjonalny, drewniany żywot, tak Eryka ciągnęło ku drzewom żywym, z nimi się dogadywał, a nawet przegadywał godziny całe w ustroniach. Bukowej gładkości nigdy mu nie było dosyć, do buków się przytulał, w splotach ich korzeni drzemał, na bukowych liściach zjeżdżał mistrzowskim slalomem między pniami nawet w sezonach martwych i podczas zim kusych, łacnych i beżśnieźnych. Narty zabytkowe znalazł Eryś w opuszczonym ośrodku narciarskim pod Klimczokiem, gdzie robiły za dekoracje na ścianach. Kiedy bankructwo, ząb czasu i zapal złomiarzy dokonały ostatecznej destrukcji, a w ruinie pozostała tylko powiewająca na wyłamanych drzwiach kartka z odręczną kłtwą właścicielki, której nie było stać na firmę ochroniarską („Złodzieju! Bądź przeklęty!”), Eryś długo się wahał, czy traktować tę uwagę

No i tak sobie rósł Eryś, a z nim rosły jego dwie lewe ręce, rosła też niechęć innych dzieciaków do niego, bo to ani konia zaprząć nie wyuczony, ani świni do rżnięcia nie trzymał.

osobiście, ostatecznie jednak wyniósł jedyną parę nart, które się uchowały niepołamane, i uznał, że je wypożycza celem serwisowania. Suchy Karol mu je oporządził, oheblował, pomalował, rzemyki u wiązań wymienił na nowe, myśląc, że w synu obudził się zmysł kolekcjonerski.

– Eryś, teraz możesz z tym jechać na jarmark staroci i powiem ci, targuj się, nie sprzedawaj pierwszemu z brzegu, żeby mojej roboty nie było szkoda.

Tyle że Eryś, zamiast na targowisko, jak zwykle poszedł do lasu, w upalny dzień wrześniowy, z nartami przytroczonymi do plecaka, i kiedy tak szedł przez wieś, odpowiadając na lewo i prawo, że się wybiera na nartach pojeździć pod Hyrcę, ludzie nabierali ostatecznego przekonania, że Eryś do reszty postradał zmysły – to znaczy ci, którzy mieli wciąż niejakie wątpliwości, czyli w gruncie rzeczy niewielu, ci najłitościwsi, najbardziej życzliwi.

Liście bukowe gęstą, śliską i grubą warstwą zalegają jak świat światem puszcze karpackie, jazda na nich pyszna i wartka jak w kopnym świeżym puchu, którego coraz mniej widywano w dawnych kurortach, ale żeby na nich sunąć bezpiecznie na deskach, trzeba było znać las, omijać ukryte wiatrołomy, wybierać zdrowe i silne buczyny, a takie to miejsca wypatrzeć potrafił Eryś lepiej od leniwych mundurowców ze straży leśnej (cdn.).

Anna J. Dudek

Piąta już odsłona kampanii „Porozmawiajmy szczerze o otyłości” nosi podtytuł „Z miłości”. Bo wsparcie najbliższych połączone z wiedzą na temat choroby, świadomością, jak ją leczyć i jej przeciwdziałać, jest kluczowe.

Otyłość, która dotyka 9 mln dorosłych Polek i Polaków, powoduje ok. 200 dodatkowych dolegliwości i chorób. Narodowy Fundusz Zdrowia ogłosił, że ryzyko, iż pulchny przedszkolak stanie się otyłym dorosłym, jest czterokrotnie większe niż w przypadku jego rówieśników o prawidłowej masie ciała. A nadmierna waga u dzieci wywołuje poważne następstwa i choroby, na które jeszcze niedawno zapadali głównie dorośli. To m.in. cukrzyca typu II czy nadciśnienie oraz insulinooporność, a także zwiększone ryzyko wystąpienia rozmaitych zaburzeń psychicznych związanych m.in. z niską samooceną, izolacją społeczną czy zaburzeniami odżywiania.

Świat stanął do góry nogami

Psycholożka Justyna Żukowska-Gołębiewska: – Otyłość wpływa też na niskie osiągnięcia szkolne dzieci, które mogą mieć trudności z koncentracją, motywacją do nauki i uczestnictwem w zajęciach sportowych. Zdarza się, że to prowadzi do obniżonej samooceny i poczucia niepowodzenia.

Kacper Łukasiewicz, 21-letni aktor i student prawa, jeden z ambasadorów kampanii, tak opowiada o swoim doświadczeniu: – Z otyłością mierzę się, odkąd pamiętam; zaczęło się jakoś w podstawówce. Na początku nie miałem świadomości, że to, co się dzieje z moim ciałem, to choroba. Ale pierwszą „uświadamiającą” rozmowę o tym pamiętam z czwartej klasy szkoły podstawowej. Jedno z trudniejszych doświadczeń wiązało się z uczestnictwem w specjalnym dietetycznym programie dla dzieci z otyłością. To był dla mnie bardzo intensywny okres: restrykcyjne zalecenia żywieniowe spowodowały, że moja masa ciała zmniejszyła się

23 tyżeczki cukru

Tyle jedzą dziennie polskie dzieci.
Na otyłość cierpi 9 mln Polek i Polaków.
To katastrofa – alarmują eksperci



Dzieci jedzą coraz gorzej, często poza kontrolą rodziców.

o 6-7 kg w trzy tygodnie. Niestety, potem nastąpił nawrót choroby, kilogramy wróciły, choć również byłem wtedy pod opieką endokrynologa.

Jak dodaje, z perspektywy dziecka jego „świat stanął do góry nogami”. – Nie rozumiałem, dlaczego muszę jeść „zdrowe” rzeczy, a inni moi rówieśnicy mogą sięgać po to, co lubią – mówi. Podkreśla, że kolejnym bolesnym doświadczeniem był dla niego hejt, którego doświadczył. Jako pięciolatek zaczął grać w serialu „Na Wspólnej”, widzowie obserwowali, jak dorastał na ekranie. Aktor wspomina: – Moja zbyt duża masa ciała stała się powodem ataków na jednym z portali społecznościowych. Powstawały grupy liczące kilkadziesiąt tysięcy osób; byli tam przede wszystkim dorośli, którzy nie znali ani mnie, ani historii mojej choroby, a jednak mój wygląd był dla nich pretekstem do słownej przemocy.

O podobnym doświadczeniu opowiada inny aktor, Robert Kudelski: – Oczywiście przez lata, będąc wystawionym na ciągłą ocenę i krytykę, nauczyłem się dawać sobie z tym radę. Wiem jednak, że wiele osób nie ma wsparcia w obliczu wykluczenia ze względu na otyłość bądź sama się wyklucza, uważając, że otyłość dyskwalifikuje z wielu aktywności życiowych. Nic bardziej mylnego.

Pulchne nie znaczy zdrowe

Narodowe Centrum Edukacji Żywieniowej wskazuje powody coraz częściej występującej nadmiernej wagi: zwiększona dostępność żywności wysokokalorycznej o dużej zawartości tłuszczu, cukru bądź soli, nieprawidłowe nawyki żywieniowe, jedzenie wysokoprzetworzonych, gotowych dań, brak dyscypliny żywieniowej, małe spożycie owoców

i warzyw oraz produktów zbożowych gruboziarnistych. No i brak ruchu.

Szacuje się, że dzieci jedzą ok. 23 łyżeczek cukru dziennie – nie tylko w słodzonej herbacie, ale i w innych napojach czy przekąskach. Nadwaga lub otyłość nie oznaczają, że najmłodszy się na nie skazani w przyszłości. Powinny jednak stanowić sygnał, by sięgnąć po pomoc i poszukać diagnozy. Jak ostrzega Narodowe Centrum Edukacji Żywnościowej, „nie należy otyłości postrzegać jako zjawiska przejściowego, niegroźnego, które minie z czasem bez żadnych konsekwencji”.

Dlaczego więc nie traktujemy jej poważnie? W Polsce pokutuje przekonanie, że dziecko pulchniutkie to dziecko dobrze wykarmione i zdrowe, co z kolei jest pokłosiem powojennych lat niedostatku. Także w PRL ludziom się nie przelewało, więc teraz, gdy widzą przedszkolaka z nadwagą czy otyłością, mają tendencję do mówienia, że „taka jego uroda” albo że „wyrośnie”. Z drugiej strony osoby postronne czują opór przed tym, by zasugerować sięgnięcie po poradę specjalistów. Boją się urazić rodziców czy opiekunów. Szczególnie że wiele dzieci zmagają się z obniżonym poczuciem własnej wartości, niepewnością, kompleksami, zaburzeniami lękowymi czy depresją.

Justyna Żukowska-Gołębiewska: – Moim zadaniem jako psychologa jest ocenić, na ile przyczyna trudności leży po stronie psychologii, a na ile po stronie somatyki, a może jednego i drugiego. Często potrzebuję konsultacji specjalistycznej, aby wykluczyć np. insulinooporność. To dotyczy też bardziej zaawansowanych chorób metabolicznych, np. cukrzycy, lub hormonalnych, takich jak niedoczynność tarczycy, które mogą objawiać się nie tylko nadwagą, ale i zaburzeniami na poziomie poznawczym oraz emocjonalnym dziecka.

Jest jeszcze jeden aspekt, o którym mówią eksperci. Dzieci jedzą coraz szybciej i coraz gorzej, często poza kontrolą rodziców. Dobra, jakościowa i pełnowartościowa żywność kosztuje, a koszty życia są coraz wyższe. Sięgamy więc po tańsze produkty. W połączeniu z brakiem czasu na przygotowanie

posiłków czy dopilnowanie dzieci mamy przepis na dietę fastfoodową i słodczywą.

Nie traćmy kontroli

Żukowska-Gołębiewska: – Pamiętajmy o tym, że kulturowo w Polsce to kobiety zazwyczaj przygotowywały posiłki domownikom. To ich zadaniem było przypilnowanie, aby dziecko nie wyszło z domu bez śniadania, i to wartościowego. Dzisiejsze matki zwykle są aktywne zawodowo. Często przy braku wsparcia i dzielonej odpowiedzialności z ojcem starają się wypracowywać jakieś kompromisy, bywa, że kosztem posiłków. Te są szybkie, często słodkie – płatki z mlekiem czy bułka. Gdy dziecko samodzielnie ma sobie zrobić śniadanie lub zdecydować, co będzie jadło, bez nadzoru dorosłego, zdarzy się, że w naturalny sposób wybierze

chorych na otyłość. Co roku przybywa też ok. 400 tys. dzieci i młodzieży z nadmierną masą ciała – to może sprawić, że młode pokolenie statystycznie będzie żyło krócej niż ich rodzice i dziadkowie”, alarmowała prof. dr hab. n. med. Lucyna Ostrowska, prezeska Polskiego Towarzystwa Leczenia Otyłości.

Ale nadwaga i otyłość to poważne skutki nie tylko zdrowotne i społeczne, lecz także finansowe. W naszym kraju w latach 2020-2022 leczyło się z powodu otyłości ponad 800 tys. pacjentów, którzy uzyskali ponad 2 mln świadczeń zdrowotnych. Koszty związane z leczeniem otyłości mogły stanowić ponad 9 mld zł, a pośrednie, czyli wynikające z chorób wywołanych otyłością lub z nią powiązanych, nawet 27 mld zł. To spora pozycja w budżecie, bo wydatki NFZ na zdrowie w 2022 r. wyniosły prawie 134 mld zł. Obciążony

W Polsce najszybciej w całej Europie przybywa otyłych dzieci. Co roku 400 tys. To może sprawić, że młode pokolenie statystycznie będzie żyło krócej niż rodzice.

to, na co w danym momencie ma ochotę, co lubi – coś słodkiego czy przetworzonego. I nie ma w tym absolutnie niczego złego, jeśli będzie to raz na jakiś czas. Kto raz w życiu nie dał dziecku parówki do ręki, niech pierwszy rzuci kamieniem. Natomiast problem pojawia się, gdy rodzice, szczególnie dzieci w wieku szkolnym, tracą nad tym kontrolę. Zbyt często dieta przedszkolaków już w samej placówce jest słabo zbilansowana i znajduje się w niej dużo taniego i niezdrowego jedzenia.

Nadwaga lub otyłość występuje u 10% dzieci w grupie wiekowej od roku do trzech lat, a wśród trzylatków to już 25%. Jak wynika z raportu Najwyższej Izby Kontroli „Profilaktyka i leczenie otyłości u osób dorosłych”, w 2022 r. nadwagę lub otyłość miało od 59,2% do 69,2% dorosłych (dane różnią się w zależności od województwa). „Właśnie przekroczyliśmy w Polsce próg zdrowotnej katastrofy: w tym momencie mamy już 9 mln dorosłych Polaków

jest też ZUS: w dekadzie 2012-2022 koszty świadczeń z powodu niezdolności do pracy w związku z otyłością wzrosły o 9 mln zł – z 22 mln do 31 mln. Według szacunków OECD Polska w ciągu 30 lat straci ponad 100 mld zł z powodu chorób wywołanych otyłością i z nią związanych.

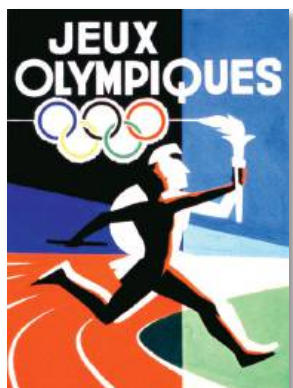
Psychoterapeutka Adrianna Sobol podkreśla: – W moim gabinecie często pojawiają się także rodziny pacjentów z nadmiernym BMI. Choroba przewlekła, a taką jest otyłość, nigdy nie dotyka wyłącznie pacjenta, ona wpływa na całe rodziny. Niestety, brakuje możliwości zaopiekowania się systemowo wszystkimi. A bliscy pacjentów potrzebują edukacji, wiedzy merytorycznej, praktycznych wskazówek. I szczególnej rozmowy, jak w haśle kampanii.

Można wówczas nie tylko budować wokół chorych bezpieczną przestrzeń emocjonalną, ale i wprowadzać wyznaczone przez lekarza zmiany w codziennym życiu.





100 LAT TEMU w Paryżu



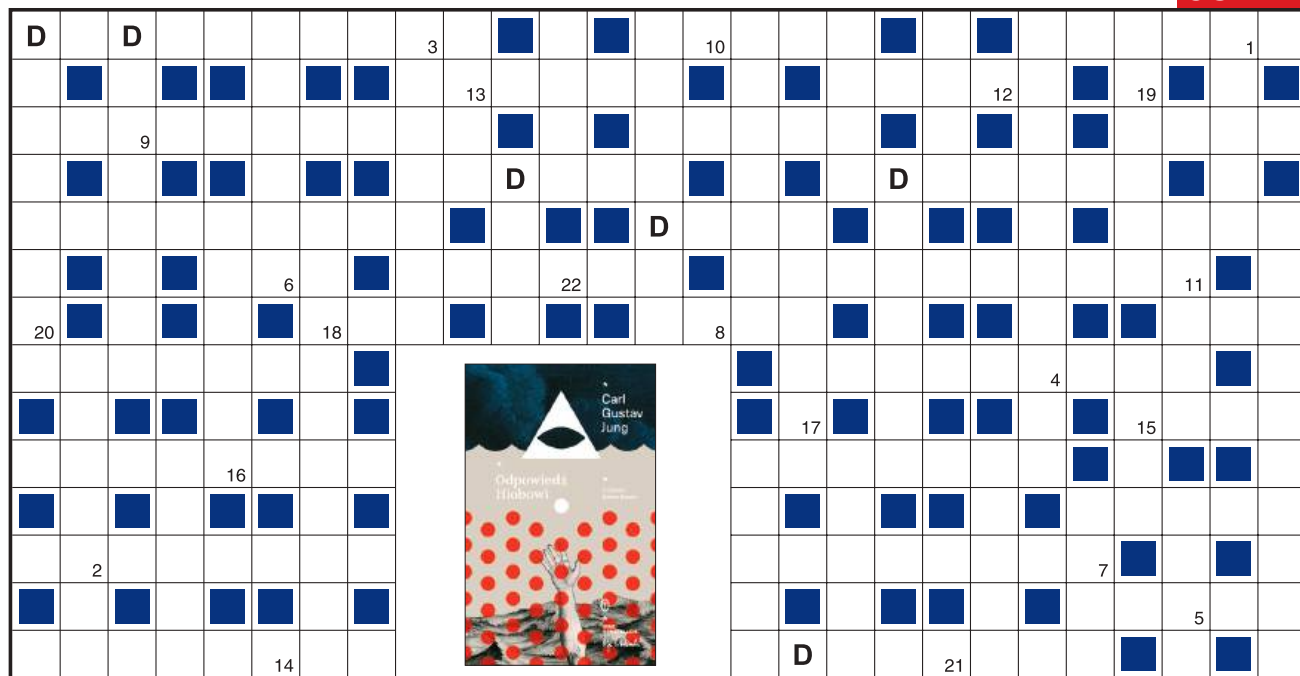


Agencja Fotograficzna East News, Muzeum Sportu i Turystyki w Warszawie oraz Polski Komitet Olimpijski zapraszają na wystawę poświęconą Igrzyskom VIII Olimpiady Paryż 1924. To pierwsze po odzyskaniu w 1918 r. niepodległości letnie igrzyska, w których startowała polska reprezentacja. Dorobkiem były dwa medale: srebrny w kolarskim wyścigu drużynowym na dochodzenie i brązowy w jeździectwie zdobyty przez Adama Królikiewicza. Zdjęcia pochodzą z archiwów Agencji Roger-Viollet.

Centrum Olimpijskie
Warszawa, ul. Wybrzeże Gdyńskie 4
do 30 sierpnia

1. Polska ekipa kolarska. Od lewej: Wiktor Hoechsman, Kazimierz Krzemiński, Feliks Kostrzębski, Oswald Miller.
2. W 1924 r. po raz pierwszy zbudowano dla zawodników oddzielne miasteczko olimpijskie.
3. Księżę Walii, późniejszy król Edward VIII, gratuluje francuskiemu lekkoatlecie.
4. Martha Norelius z USA, złota medalistka w pływaniu na 400 m.
5. W jeździectwie startował Tadeusz Komorowski, późniejszy „Bór”, dowódca powstania warszawskiego.
6. Wyścig mężczyzn na 800 m.





1	2	3	4	5	6	7
---	---	---	---	---	---	---

8	9	10	11	12	13
---	---	----	----	----	----

14	15	16
----	----	----

17	18	19	20	21	22
----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadanych wyrazów.
Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery D ujawniono.
Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- do strefy czystego transportu nie każdym wjedziesz
- dawniej o lubiącym pić w wesołym gronie
- znawcy roślin
- przedświt
- klinga miecza
- robić ją z gęby – mówić na wiatr

- o ostrym mgły Andrzej Duda rapował
- zupa z krwi zwierzęcej
- ucieczka wojaka
- dostatek, zamożność
- dawka leku, nieco optymizmu
- drobina Krzyża Świętego w relikwiarzu

- chrząstka między kręgami
- gdy przynętą na ryby – rosówka
- części całości, podstawowe wiadomości
- bywa o wysoką stawkę
- synonim lubiącego pić w wesołym gronie
- litera za iksem
- posłanka bogów lub pisarka Murdoch
- i zbiór zasad, i „Panie Janie”
- guma z drzewa
- dietetyczna potrawa z kaszy
- serial „Wielkie...”
- z Kidman i Witherspoon
- obozowisko włóczęgów

- owad żądny krwi
- tułów lub oddział wojska
- potocznie o kierownicy
- taflę wiosną na rzece
- kryta wnęką balkonowa
- rabuś, grabieżca
- szczeżuja lub sercówka
- Wasikowska albo Farrow
- część uprząży lub czapki przeciwsłonecznej
- miejsce pracy gisera
- losu, pogody lub przez przypadki
- publiczność nimi nagradza
- transferowe – dla klubów i zawodników
- gdy nieprzyjaciel otoczył
- opactwo cystersów w Gościkowie
- długie włócznie formacji piechoty
- zboże na kaszę jaglaną

- ciągnięta przez traktor, samochód
- zwinięty papier, dywan
- dawniej wieś, osiedle wiejskie
- sznur z rączkami jako zabawka
- w dal lub na bank
- hala z krosnami
- ciżba
- karciany listek koniczyny
- wypoczynek urlopowy
- wianków lub gniazda
- pokrywa skrzyni, kufra
- soczewka w drzwiach
- i wtęt, i wszywka
- roślina zielna z bobowatych
- zużyte przedmioty metalowe
- klucze, dżganie
- kamyki na alejkę

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1177”. Do rozlosowania książki „Odpowiedź Hiobowi” ufundowane przez Wydawnictwo Literackie. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 14 lipca 2024 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1174” z nr. 25: Dziurawej kieszeni nie napelnisz. Nagrody otrzymują: Janusz Jędrasik z Kobyłki, Grzegorz Józwiak z Legnicy, Mirosława Zajac z Warszawy.

Dlaczego naszym się nie udaje?

Więci dyplomatyczne z ostatnich dni są takie: Tomasz Szatkowski, niedawny ambasador przy NATO, był w wąskiej grupie kandydatów na stanowisko zastępcy sekretarza generalnego NATO. Ale minister Sikorski go odwołał, więc przepadł. Mateusz Morawiecki z kolei rozmawiał z premierem Włoch Georgią Meloni i m.in. namawiał ją, by Włochy nie udzieliły agrément kandydatowi RP na ambasadora w Rzymie, Ryszardowi Schnepfowi. Dziwne?

To rzecz znana od lat – Polska i polscy urzędnicy są niedoreprezentowani w instytucjach międzynarodowych, zarówno oenizacyjnych, jak i unijnych. Jaki jest tego powód?

Po pierwsze, Polak Polakowi podstawia nogę. Jeśli ktoś jest nie z mojej partii, nie z mojej grupy – to bum! Robię wszystko, by go zatrzymać. Choć historia z Szatkowskim jest bardziej skomplikowana. Fakt, że znajdował się na krótkiej liście, nie oznacza, że dostałby stanowisko, poza tym od 15 października wiadomo było, że nie ma on przyszłości jako ambasador przy NATO i podobnie będzie w instytucjach natowskich. Mądrością MSZ byłoby zatem namówić go odpowiednio wcześniej do wycofania kandydatury (bo Duda nie pomoże), do jej podmienienia itd. Za coś. A zostawiono sprawę samą sobie. I skończyło się tak, jak musiało się skończyć.

Nawiasem mówiąc, podstawianie nogi miało miejsce szczególnie w czasach PiS. Witold Waszczykowski tym się chlubił. To on np. zatrzymał kandydaturę Tomasza Chłonia na szefa przedstawicielstwa NATO w Moskwie. Chłoń przeszedł wieloetapowe sito testów, oczekiwał tylko na akredytację naszego MSZ. I jej nie dostał. Ministerstwo w tamtym czasie hamowało też kariery innych wysokich urzędników, którzy aplikowali na stanowiska w Unii Europejskiej.

Po drugie, w ONZ czy w Unii ważny jest nie tylko kandydat, ale i państwo, które za nim stoi. To państwo musi mieć dobrą markę. W ONZ mieliśmy (i chyba wciąż mamy) kłopot, bo postrzegani jesteśmy jako mało samodzielni, wsłuchujący się w głos USA. W Unii proamerykanizm przeszkadzał Polsce mniej, ale inna rzecz miała swoją wagę – PiS. Przez osiem lat Polska miała przyklejoną gębę państwa antydemokratycznego, antyunijnego, wroga Brukseli, awanturnika itd. Ku zadowoleniu wielu. W takim klimacie trudno było o promowanie nawet niezłych kandydatów.

Trzecia kwestia – owo promowanie. Nie jest proste, trzeba to dobrze przygotować. Swego czasu były nawet w MSZ powoływane zespoły, które taką politykę miały prowadzić, ale efektów to nie przyniosło...

Przypomnijmy więc zasady: trzeba najpierw mieć przygotowany kalendarz wyborczy, ale taki z wyprzedzeniem przynajmniej dwóch-trzech lat, by wiedzieć, jakie wybory i gdzie będą miały miejsce. To jest czas na zawieranie różnych koalicji, różne zabiegi, w grę wchodzi i takie sprawy jak równowaga geograficzna, parytety. Pamiętajmy, kandydowanie ad hoc to pewna porażka. Tak jak przegrana Włodzimierza Cimoszewicza w wyborach na stanowisko sekretarza generalnego Rady Europy w roku 2009. Przegrał wówczas z byłym premierem Norwegii Jaglandem 80:165.

I teraz jest okazja, by niektóre kwestie naprawić. Będzie nią przewodnictwo Polski w Unii Europejskiej w pierwszej połowie 2025 r. Jego sprawne przeprowadzenie może zmienić obraz Polski. Może też wylansować grupę urzędników.

To może się udać. I nie warto tego zmarnować.

Attaché



Pierwsza wizyta Viktora Orbána w Ukrainie od czasu rozpoczęcia rosyjskiej inwazji. Kijów, 2 lipca 2024 r.



PENETRACJE



WŁADYSŁAW SOKOŁOWSKI, WYDAWNICTWO „POZNANIE”, B. AMBASADOR RP W KAZACHSTANIE

Ta wojna nie zaczęła się 24 lutego 2022 r., nie zaczęła się w roku 2014 ani nawet w momencie, kiedy Ukraina ogłosiła niepodległość. Ta wojna być może trwała wcześniej, jeszcze za czasów Związku Radzieckiego. Formułuję tę hipotezę na podstawie analiz, jakie przez wiele lat regularnie pisałem w Instytucie Studiów Wschodnich. Szukałem różnic, rozbieżności interesów, zderzeń między Rosją a Ukrainą i innymi krajami postradzieckimi. Powstała z tego dość duża mapa takich zjawisk i rozbieżności. Tylko że ta wojna trwała wtedy w innej postaci. Podczas moich wielu wyjazdów, spotkań, rozmów, widziałem, że ta wojna jest w umysłach części elit rosyjskich: „My musimy Ukrainę odzyskać”. I dzisiaj z kimkolwiek byśmy rozmawiali, nawet z przebywającymi za granicą przedstawicielami antyputinowskiej opozycji, słyszymy: Krym jest nasz”.



HENRYK MARTENKA, PUBLICYSTA

Dyskusję o lekturach szkolnych ożywiła, bezwiednie zapewne, Basia ministerka, wchodząc w buty poprzedników bez żenady negujących twórców, z którymi nie było im po drodze. Relacjonując heroiczne swe wysiłki, ministra tak oceniła stan rzeczy: „Lista lektur była gigantyczna i, niestety, nieczytana. Były pewne pomysły indoktrynacyjne, np. w ostatnich latach powkładano poezję niejakiego (Jarosława Marka) Rymkiewicza”. Brak solidnego wykształcenia humanistycznego Basi ministerki (jest informatykiem) pogłębia jej ideologiczną awersję wobec aroganta Głińskiego, ale niczego nie usprawiedliwia. To z jej strony wyjątkowy nietakt godzący w wybitnego twórcę i obraźliwy dla Polaków wykształconych nie tylko na fragmentach. Mocny odpór bezmyślnej ministrze dał pisarz Żulczyk: „Nie żyję w toksycznym kulcie Rymkiewicza, ale jest w nim złapana przerażająca, prawdziwa polskość. Nie był niejaki, do kurwy nędzy...”.

PANI KRYSTYNA JANDA, AKTORKA, REŻYSERKA

Jeszcze o moim „lewym profilu”, bo często spotykam się ze złośliwościami na ten temat. Jak mówią, wymuszam fotografowanie mnie tylko z lewej strony. Tak, proszę o to, jeśli mogę, jeśli fotograf czy kamerzysta to rozumie. Wiele lat temu przeszłam półpasiec na twarzy, z osłabienia i przepracowania podobno. Klinika w Kajetanach uratowała mnie od zniekształcenia twarzy, paraliżu mięśni czy półprzymkniętego oka, co jest powikłaniem po tej chorobie. Pomógł mi kochany prof. Skarżyński, który zareagował natychmiast i wdrożył bardzo intensywne leczenie. A trzeba powiedzieć, że rozpoznał tę „cholera” po jednej małej krosteczce koło ucha i bólu ucha. Jestem Kajetanom za to bardzo wdzięczna. Niestety, pozostały ślady, nieregularność rysów czy przykurcz po prawej stronie. Tak bywa. Oto cała tajemnica. Wiem jednak, że mogło być dużo gorzej, co dla aktorki mogłoby być naprawdę problemem. Pozdrawiam zatem wszystkich fotoedytorów i proszę o przychylność.



URSZULA DUDZIAK, PIOSENKARKA JAZZOWA

Bez tamtego roztania w moim życiu nie zdarzyłoby się wiele wspólnych rzeczy. A poza tym los... bywa przewrotny. Dwa lata po naszym rozstaniu Michał Urbaniak przyjechał, żeby wypłakać się na moim ramieniu, bo Liliana Głabczyńska go zostawiła. Chciał wrócić, ale byłam już na innym etapie. Kobieta, którą porzucił, nie istniała. Nie odrzuciłam go jednak. Płakałam z nim, dobrze znałam ból, który czuł. Było mi go żal, ale jednocześnie czułam się wolna. Również od jego krytycyzmu. I nie chciałam już zrezygnować z siebie. Dziś byłyby mąż jest dla mnie jak brat. Zawsze mu pomogę w potrzebie, ale jest jasne, że coś się skończyło.

BRAKUJĄCE LITERY

W każdym rzędzie wstaw po 6 liter, tak aby odczytać trzy hasła – rozwiązania.

ODAGTOBAKYOBAZI

JACĘWIZATKTECIPACA

ZEWYORYKAZAPLTAH

ROZWIĄZANIA: ODWAGA TO BRAK WYOBRAŹNI, JAK CIĘ WIDZĄ TAK TEŻ CI PŁACA, ZŁE WYBORY KARZA PO LATACH



Aby język giętki...

MARCI SHORE O SYTUACJI W GAZIE

Netanjahu jest faszystą i strasznym człowiekiem, Hamas jest organizacją terrorystyczną. A ci biedni ludzie są pomiędzy.

ARTUR NOWAK

O ABP. MARKU JĘDRZEJEWSKIM

To żaden skromny intelektualista, ale łasy na mamonę satrapa, który nie uszanuje żadnej świętości.

ANDRZEJ STASIUK O GEOPOLITYCE

Rosja będzie wieczna, Europa tak samo, ale my zawsze pomiędzy.

PROF. ALEKSANDRA PRZEGALIŃSKA O SZTUCZNEJ INTELIGENCJI

Uczy się od każdego użytkownika. Nie od każdego tak samo, ale uczy się cały czas, jak prezydent Duda.

JAKUB ŻULCZYK O BARBARZE NOWACKIEJ

Mówienie o Jarosławie Marku Rymkiewiczu per „niejaki Rymkiewicz” jest wstrętne i świadczy o horyzontach kulturowych ministery.

IGA ŚWIĄTEK O WALCE ZE STRESEM

Oczywiście na co dzień polecam ruch – ten, który lubimy i który nam pasuje. Każdy ruch wspiera nasz dobrostan psychiczny.

KRZYSZTOF GOSZTYŁA O OTWIERANIU GARDŁA

Śpiewać jak Romowie lub Czarni. Śpiewanie cygańskich romansów po rosyjsku i soulowych pieśni to w gruncie rzeczy to samo.

AGATA KULESHA O SOBIE

Lubię być sama ze sobą. Ja się ze sobą nie nudzę.



ADRES REDAKCJI

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak

Sekretarze redakcji: Małgorzata Fiejdasz-Kaczyńska, Agata Gogolkiewicz

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz,
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drag, Jakub Dymek,
Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski,
Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Rafał Pikuła,
Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,
Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest,

Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak,
Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczała

Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun,
Wojciech Kuczek, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka, Anna Rosiak

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoreporterzy: Magdalena Gluska, Rafał Pysznar

Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:

Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WKBKPLPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





MAGIA SPOTKANIA

patronat PRZEGLĄDU

Rzeźby Łukasza Krupskiego

23 rzeźby eksponowane na placu Trzech Krzyży to opowieść o przeplataniu się w ludzkim życiu duchowości i cielesności, zawierająca odniesienia do kultury antycznej (Syzyf), chrześcijańskiej (Pusta Pieta) i najnowszej. W rzeźbach portretowych odnajdujemy dialog z wielkimi twórcami kultury: Herbertem, Miłoszem, Kołakowskim, a w innych formach nawiązania do największych artystów europejskich: Michała Anioła, Rodina, Kapoora, Abakanowicz. Autor, Łukasz Krupski (rocznik 1990), jest

absolwentem Wydziału Rzeźby warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, dyplom z wyróżnieniem rektorskim pod kierunkiem prof. Piotra Gawrona obronił w 2014 r. Laureat wielu nagród i stypendiów artystycznych, m.in. nagrody w konkursie rzeźby kamiennej w niemieckim Neuzelle i stypendium „Młoda Polska”.

**Warszawa, plac Trzech Krzyży
do 10 września**



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

HUMANITARNA WAMPIRZYCA POSZUKUJE OSÓB CHCĄCYCH POPEŁNIĆ SAMOBÓJSTWO

REŻYSERIA ARIANE LOUIS-SEIZE

Takiej historii o wampirach
jeszcze nie widzieliście!

19 NAGRÓD I 22 NOMINACJE



GIORNATE
DEGLIAUTORI
VENICEDAYS

nagrody Giornate degli Autori,
Fanthart3, Wyróżnienie za
scenariusz Authors Under 40



THESSALONIKI
INTERNATIONAL
FILM FESTIVAL

Nagroda publiczności



VANCOUVER
INTERNATIONAL
FILM FESTIVAL

Nagroda publiczności
One to Watch,
Najlepsza aktorka
w kanadyjskim filmie



BOSTON
FILM FESTIVAL

Nagroda publiczności



WINDSOR
INTERNATIONAL
FILM FESTIVAL

Nagroda WIFF



AURORA

W KINACH OD 5 LIPCA

WARSAW

Rocks '24

PIĄTEK 26 LIPCA
PGE NARODOWY



SCORPIONS

EUROPE



OMEGA
TESTAMENTUM

BILETY:
TICKETMASTER.PL
LIVENATION.PL

WP CGM STRÖER RMF

LIVE NATION